



SŁAWOMIR
KOPER
TYMOTEUSZ
PAWŁOWSKI

MITY
polskiego
września
1939

MITY
polskiego
września
1939



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujemy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

SŁAWOMIR
KOPER
TYMOTEUSZ
PAWŁOWSKI

MITY
polskiego
września
1939

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Redakcja: Witold Grzechnik

Korekta: Adam Osiński

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcia na okładce: © Popperfoto / GettyImages

© Keystone / GettyImages

Fotografia ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego,

Zajęcie Zaolzia – wkroczenie wojsk polskich do Czeskiego Cieszyzna

(sygnatura 1-H-487-28).



DTP: Dariusz Piskulak

Copyright © by Sławomir Koper, 2019

Copyright © by Tymoteusz Pawłowski, 2019

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2019

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-331-0

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5
00-519 Warszawa
www.czar-naowca.pl

DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Wstęp

Mitem założycielskim Hellady jest wojna trojańska, Rzymu – *Eneida*, wilczyca kapitolinińska i spór Romulusa z Remusem. Również Polska ma ich kilka: o królu Kraku, o Popielu i Piaście, a także ten dzielony z sąsiadami, a opowiadający o najwcześniejszych czasach: o Lechu i Czechu. Gdzieś na przestrzeni lat do legendy dołączył Rus, ale jeszcze Jan Długosz nie wiedział, kim ów Rus właściwie był – bratem czy synem.

Mit założycielski nie służy przekazywaniu prawdy, ale treści ideologicznych. Przykładem mogą być spotykane niemal na całym świecie mity o pierwszych władcach. Niezależnie od tego, czy chodziło o Siemowita, Lestka i Siemomysła, czy też o Romulusa, Numę Pompiliusza i Tullusa Hostiliusza, to pierwszy z nich był budowniczym państwa, drugi – prawodawcą, a trzeci – wielkim wodzem.

Wydarzenia 1939 roku to mit założycielski PRL. Formalnie rzecz biorąc, Polska Rzeczpospolita Ludowa powstała dopiero w 1952 roku, ale odnosimy się tu do czasów, w których władzę nad Polską sprawowali komuniści, a dokładniej – ludzie wierni zasadom marksizmu, czy jeszcze

precyzyjniej – posłusznie wykonujący polecenia z Moskwy. To właśnie te dwa elementy: wykonywanie poleceń Moskwy i wierność zasadom marksizmu leżą u podstaw mitu założycielskiego i przedstawiania wydarzeń 1939 roku.

Przypomnijmy najpierw teorię Karla Marxa, XIX-wiecznego filozofa, twórcy najbardziej morderczej ideologii świata. Jego zdaniem źródłem wszelkich przemian społecznych były zmiany „w zakresie środków i stosunków produkcji”. Dzieje człowieka podzielił na okresy, w których dominowała określona forma własności środków produkcji: wspólnotę pierwotną, okres niewolnictwa, feudalizm i kapitalizm. Ukoronowaniem rozwoju ludzkości miał być komunizm – powstanie społeczeństwa, w którym wszelka własność będzie wspólna. Marx uznał, że nie ma żadnej alternatywy, nie można zboczyć z tej ścieżki i cały świat, chcąc nie chcąc, podąży do celu, jakim jest komunizm.

Marx, który uważał się również za historyka, uznał, że przejścia pomiędzy wielkimi okresami historycznymi dokonują się wskutek rewolucji i wojen. Feudalizm narodził się więc po najazdach barbarzyńców i upadku Cesarstwa Rzymskiego, a upadł w wyniku Wielkiej Rewolucji Francuskiej. (Nawet dla historyków marksistowskich przedłużenie średnio-wiecza do 1789 roku było dość karkołomne, czasem nawet dosłownie). Również kapitalizm musiał zakończyć się czymś wielkim, na przykład Wielką Socjalistyczną Rewolucją Październikową albo przynajmniej porządną wojną. Komuniści w Polsce – przypomnijmy, że rozumiemy pod tym pojęciem ludzi wykonujących polecenia z Moskwy – potrzebowali więc jakiejś polskiej rewolucji albo wojny. Jako że Polska płynnie i bezkrwawo stała się państwem gwarantującym podstawowe swobody ludziom pracy – jednego dnia, 11 listopada 1918 roku, bez udziału komunistów – trzeba było znaleźć wojnę.

Znaleziono ją i nazwano „wojną obronną Polski”. Zaczęła się 1 września 1939 roku, skończyła 6 października, doprowadziła do upadku kapitalistycznej, burżuazyjnej Polski i płynnie przeszła w wojnę wyzwoleniczą narodu polskiego, która doprowadziła do powstania Polski Ludowej.

Komuniści w Polsce upiekli dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zamiast odpowiadać na kłopotliwe pytania, kto ich tutaj sprowadził i jaka armia ich tu zainstalowała, mogli usprawiedliwić swoją obecność zgnilizną II Rzeczypospolitej, czyli państwa – zgodnie z determinizmem historycznym Marxa – od początku skazanego na porażkę. Wystarczyło jedynie w odpowiedni sposób przedstawić wydarzenia 1939 roku. I głównie tym zajmowała się służba historyczno-propagandowa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Nie było tematu politycznie ważniejszego dla komunistów w Polsce niż wydarzenia 1939 roku. Mało kogo obchodziła geneza ruchu robotniczego, wojnę polsko-sowiecką lat 1919–1920 można było przemilczeć, podobnie jak zbrodnię katyńską. Natomiast wydarzenia 1939 roku trzeba było tak przedstawić, aby uprawdopodobnić zasady marksizmu i uniknąć oskarżeń o zdradę stanu i kolaborację z Sowietami. Zadanie to powierzono wybranym ludziom.

Najpierw jednak zabrano możliwość badania tych wydarzeń naukowcom niezwiązanym z władzą. Dokumenty dotyczące 1939 roku oraz Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej zamknięto w archiwach państwowych, a do lat 80. XX wieku dostęp do nich mieli tylko zaufani badacze, czyli historycy i propagandziści partyjni. Później reżim nieco złagodził, ale nawet w połowie lat 90., gdy autorzy tej książki po raz pierwszy odwiedzali Centralne Archiwum Wojskowe, prowadzenie w nim badań było drogą przez mękę. Tygodniami czekało się na zgodę na przejrzenie dokumentów; ograniczano liczbę

teczek archiwalnych, o które można było prosić; ich wydobycie z magazynów trwało kilka dni; wówczas okazywało się, że nie ma miejsca, aby je przeczytać, bo miejsc w czytelni było tylko kilkanaście. To wystarczało, żeby zniechęcić prawie wszystkich. A po to, by zniechęcić tych najbardziej wytrwałych, w początkach lat 80. zbiory CAW uporządkowano: zmieniono wszystkie sygnatury teczek i rozdzielono je na mniejsze. Konia z rzędem temu, kto jest w stanie dopasować współczesne sygnatury do tych publikowanych w książkach z lat 60. i 70.

Jednak weterani 1939 roku nie musieli korzystać z archiwów, byli przecież naoczniymi świadkami wydarzeń, zachowali w swoich rękach część dokumentów, mogli też zbierać relacje od towarzyszy broni. Ale i na nich ludowa ojczyzna miała sposób: reglamentację papieru potrzebnego do druku. Proces produkcyjny książki był bardzo długi, czasami trwał nawet kilkanaście lat. To, co było aktualne w końcu lat 60., traciło na wartości na początku lat 80. Poza tym książki pokazujące Wojsko Polskie II Rzeczypospolitej we właściwym, z punktu widzenia komunistów, świetle drukowano w setkach tysięcy egzemplarzy. Książki pokazujące prawdę – w setkach lub tysiącach. Społeczeństwo nie miało do nich dostępu.

Dodatkową kontrolę sprawował Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli cenzura. Zazwyczaj w kwestii 1939 roku wystarczały inne środki bezpieczeństwa, więc niewiele miała ona do roboty. Zdarzały się jednak widowiskowe porażki, na przykład zezwolenie na publikację *Wojny polskiej* Leszka Moczulskiego. Cenzura dbała natomiast o to, by w podręcznikach szkolnych znajdowały się „odpowiednie” treści. Lekcje historii w PRL często wyglądały niczym tajne komplety i gotowi jesteśmy się założyć, że większość Czytelników w naszym wieku (i starszych) po poleceniu „spakujcie

zeszyty i podręczniki, schowajcie ręce pod pupę” słuchało wykładów o wojnie 1920 roku, 17 września i Katyniu. Nauczycielkę jednego z autorów tej książki wyrzucono za to z pracy, a Waszą, drodzy Czytelnicy?

Chociaż Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk zlikwidowano w kwietniu 1990 roku, to wiele jego zapisów – siłą bezwładu – ciągle trwa. Określanie kampanii polskiej 1939 roku „wojną obronną Polski”, przedstawianie niemieckiego ataku na mapie tylko zachodniej części Polski, a więc tak, aby czytelnicy nie mogli się zorientować, jak wielka część Rzeczypospolitej wpadła w ręce Związku Sowieckiego.

Większość społeczeństwa miała związane ręce i zakneblowane usta, kto więc przedstawiał mity 1939 roku i upadku II Rzeczypospolitej? Ci, którym władza mogła zaufać – niemal wyłącznie pracownicy Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego oraz Wojskowego Instytutu Historycznego im. Wandy Wasilewskiej. Imiona patronów mówią wszystko. Tych Czytelników, którzy są na tyle młodzi, że mają szczęście nie znać tych postaci, pragniemy zapewnić, że nie mają czego żałować. Oczywiście generalizowanie ma swoje wady – większość pracowników WAP i WIH była porządnyymi ludźmi i rzetelnymi badaczami, niektórzy jednak naprawdę przysłużyli się komunistom.

Niestety poza granicami kraju, na wychodźstwie, sytuacja wyglądała podobnie. Władysław Sikorski został premierem i wodzem naczelnym w sposób, który wielu nazwało zamachem stanu. Jednym z jego pierwszych posunięć było powołanie specjalnej komisji do badania „wyniku kampanii wojennej 1939 roku”. Oficerowie musieli odpowiedzieć na szereg pytań, w których zachęcano ich do obwiniania przełożonych. Tych, którzy nie chcieli złożyć obciążających zeznań, odsuwano od dowodzenia. Większość dokumentów w polskich archiwach

na wychodźstwie to właśnie takie raporty, a właściwie „kwity” na sanację zbierane w latach 1939–1943. Władysław Sikorski i jego ekipa także potrzebowali mitu założycielskiego i wybrali taki sam jak komuniści: nieudolność sanacyjnych władz.

Jakie treści przedstawiali mitotwórcy? Bardzo rzadko kłamałi wprost, jednak narracja dotycząca 1939 roku jest bardzo specyficzna. Przede wszystkim nikt – może oprócz Leszka Moczulskiego w *Wojnie polskiej* – nie pokusił się o stworzenie obrazu całości, syntezy. Kampanię 1939 roku przedstawiano jako chaotyczne zamieszanie, do którego Wojsko Polskie przystąpiło bez planu, a dowódcy prowadzili swoje wojska bez celu. Skupiano się wyłącznie na szczegółach, najczęściej pokazując bohaterstwo polskiego żołnierza: szeregowych oraz niższych szarż dowódczych. Dzięki temu można było wykazać, że ich wysiłek zmarnowali sanacyjni generałowie i niejako przy okazji uspokoić nastroje społeczne Polaków. W natłoku epizodów i szczegółów gubił się sens kampanii. I można było nie wspominać o 17 września. Atak Związku Sowieckiego na Polskę nie miał większego znaczenia: przecież, zgodnie z naukami Marxa, kapitalistyczna II Rzeczpospolita musiała upaść, aby na jej trupie zbudować Polskę Ludową.

Kolejnym elementem były komentarze. Oczywiście „odpowiednie” komentarze. W natłoku szczegółów bardzo łatwo pomylić je z faktami. Istotna jest też długość trwania narracji – komuniści w PRL przekonywali Polaków do swojej wersji wydarzeń przez 45 lat. A nawet i dłużej. Najbardziej skompromitowani politrucy, wyrzuceni z wojska po zmianach 1989 roku, znaleźli zatrudnienie na uczelniach. Trzeba zrozumieć – byli to jedyni historycy zajmujący się 1939 rokiem. W 1989 czy w 1990 roku rektorzy uniwersytetów i dziekani wydziałów historycznych byli wciąż przekonani – co prawda przez komunistyczne władze – że 1939 rokiem powinni

zajmować się specjaliści. Więc specjaliści z Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego kontynuowali swoje prace i przekazywali swoje przekonania młodemu pokoleniu naukowców...

W ten sposób „jedyna właściwa” wizja wydarzeń 1939 roku na stałe zagościła w naszych umysłach. Mit powtarzany tysiące razy stał się rzeczywistością. Dzisiaj bardzo trudno przedstawić prawdę i trudno ją zaakceptować. Czy można zaprzeczyć temu, czego nauczano nas w szkole, co czytaliśmy w prasie i w książkach, co oglądaliśmy w telewizji? Musielibyśmy wówczas przyznać, że zostaliśmy oszukani, że jesteśmy frajerami. Oszukani nie tylko przez propagandę i szkołę, ale – co najgorsze – również przez rodziców, którzy nauczili nas patrzeć na świat i go oceniać. Także wydarzenia 1939 roku. Czy nasi rodzice mogli się mylić?

Przed autorami tej książki – i przed jej Czytelnikami – stoi trudne zadanie.

Agresor był tylko jeden

Napadli na nas Niemcy, a potem wkroczyli Ludzie Radzieccy.

Tak właśnie wygląda to w powszechnej narracji: Niemcy „zaatakowały” 1 września, a Sowieci „wkroczyli” 17 września. Na pierwszy rzut oka różnica jest niewielka, ale skutki stosowania takich słów są daleko idące. Niemcy są traktowani jako oczywisty wróg Polaków, Sowieci – kimkolwiek by nie byli – postrzegani są dużo łagodniej. Podbój Polski przez Związek Sowiecki – zakończony w latach 1944–1945 – nazywa się... „wyzwoleniem”. Tymczasem Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich zbrojnie zaatakował Rzeczpospolitą 17 września, a we wcześniejszych dniach pomagał Niemcom na różne sposoby. Decyzję o wojnie obu państw przeciwko Polsce podjęto już 23 sierpnia, podczas podpisywania tajnego protokołu paktu Ribbentrop–Mołotow, nazywanego przez wielu historyków po prostu paktem Hitler–Stalin.

Rzesza Niemiecka była potężnym państwem, które przed wojną zajmowało powierzchnię 583 tys. km², z blisko 79 mln ludzi. Dzisiejsze Niemcy są niemal o 40% mniejsze – mają 357 tys. km². Zamieszkuje je obecnie więcej, bo 83 mln ludzi,

jednak przed wojną 95% obywateli Rzeszy – około 75 mln – było narodowości niemieckiej, a dziś jedynie 80% – około 67 mln. Te dane statystyczne są może nudne, ale pozwalają obalić błędne przekonanie, że w gruncie rzeczy Niemcom opłaciła się II wojna światowa i wyszli na niej nie najgorzej, a Polska poniosła sromotną porażkę. Warto więc porównać te same liczby dla Polski. W 1939 roku jej powierzchnia wynosiła 390 tys. km², na których mieszkało około 35,5 mln obywateli, przy czym dwie trzecie z nich, czyli około 25 mln, było narodowości polskiej. Tymczasem dzisiejsze terytorium Polski to 312 tys. km², zamieszkiwane przez 38,5 mln obywateli, z których 97%, czyli 37 mln, jest narodowości polskiej.

Niemcy były formalnie państwem prawa, republiką parlamentarną. Faktycznie władzę sprawowała tam tylko jedna partia – NSDAP, czyli Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników. Była ona w oczywisty sposób partią lewicową, co dzisiaj większości polityków i historyków nie chce przejść przez gardła. Życie polityczne ówczesnych Niemiec – zwanych nieoficjalnie III Rzeszą, a czasem Tysiącletnią Rzeszą – ograniczało się do partii nazistowskiej. Umożliwiło to naginanie i łamanie prawa, zakładanie obozów koncentracyjnych, organizowanie pogromów i uchwalanie rasistowskich ustaw wymierzonych w jedną grupę etniczną. Ówczesne Niemcy w żaden sposób nie spełniają dzisiejszych standardów państwa demokratycznego, ale w 1939 roku były traktowane jako cywilizowane państwo. Holokaust miał dopiero nadejść.

Drugim agresorem był Związek Socjalistycznych Republik Sowietkich. Po 1945 roku zakazano w Polsce używania słowa „sowiecki”, zastępując je słowem „radziecki”. Jest ono prostym tłumaczeniem z rosyjskiego – *sowiet* to po polsku „rada”. Pomijając już kwestie naukowe – bo w polskiej

historiografii słowo „radziecki” istnieje od dawna i ma zupełnie inne znaczenie – autorzy nie chcą używać słów, które zostały narzucone przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Określenie „sowiecki” Polakom kojarzyło się jednoznacznie źle. Nie ma jednak żadnych powodów, żeby Związek Sowiecki kojarzył się dobrze. Określenie „sowiecki” obowiązuje w państwach, które były suwerenne – dla przykładu, po angielsku powiemy *Soviet Union*, a po francusku *Union des républiques socialistes soviétiques*. Termin ten tłumaczono natomiast w krajach, które były lub miały być częścią Związku. Jest jeszcze jeden powód, czysto literacki, przemawiający za stosowaniem określenia „sowiecki”. Otóż zdanie „Sowieci rabowali i gwałcili” brzmi dużo lepiej niż zdanie „Ludzie radzieccy rabowali i gwałcili”, również „Sowieci wylecieli w kosmos” jest dużo bardziej sensowne niż „Ludzie radzieccy wylecieli w kosmos”.

To ostatnie zdanie pochodzi z dowcipu, który pojawił się w Polsce w 1961 roku z okazji lotu kosmicznego Jurija Gagarina. Dialog pomiędzy majstrem a czeladnikiem brzmiał następująco:

- Panie majster, panie majster!
- Czego...
- Ruskie wylecieli w kosmos!
- Wszystkie?
- Nie. Tylko jeden.
- To co mi głowę zawracasz!

Ta anegdota pokazuje nie tylko emocje, jakimi Polacy darzą Sowieców – czy też ludzi radzieckich – ale również powszechne ich utożsamianie z Rosjanami. Czy dopuszczalne jest to na niwie naukowej? Autorzy uważają, że tak można, a jeśli chodzi o stosunki sowiecko-polskie, nawet trzeba. Utworzony 30 grudnia 1922 roku Związek Socjalistycznych

Republik Sowieckich był emanacją mocarstwowej Rosji. Rosyjski był tam językiem urzędowym, a rosyjskie myślenie obowiązywało wszystkich – także tych, którzy pochodzili z mniejszości narodowych. To, że przywódca ZSRS Iosif Stalin pochodził z Gruzji, nie ma nic do rzeczy – Adolf Hitler też był przecież Austriakiem. W Związku Sowieckim nie przyznawano innym narodom takich samych praw jak Rosjanom, czego ostatecznym dowodem są czystki etniczne, z których powinniśmy pamiętać „operację polską”, przeprowadzoną w latach 1937–1938 przez NKWD. Zamordowano wówczas co najmniej 111 091 Polaków, obywateli Związku Sowieckiego.

Trudno podać rzetelne dane statystyczne dotyczące Związku Sowieckiego. Pewna jest tylko jego powierzchnia, wynosząca przed wojną ponad 21 mln km². To olbrzymi kraj, w którym ogromne przestrzenie pozostają jednak niezamieszkane. Ludność – zgodnie z oficjalnymi danymi sowieckimi – liczyła 170 mln osób. Wielu historyków uważa te dane za fałszywe, a Czytelnicy, którzy pamiętają „rzetelność” statystyk w czasach PRL, na pewno to rozumieją. Trudno ocenić, o ile powinniśmy zmniejszyć tę liczbę. W oficjalnych statystykach nie miały odzwierciedlenia chociażby wielkie klęski głodu, z których ta najsłynniejsza, ale nie jedyna w ZSRS – Hołodomor – odpowiada za śmierć milionów ludzi, przede wszystkim Ukraińców. Czy ofiar Hołodomoru było kilka milionów czy kilkanaście – do dziś nie wiadomo.

Związek Sowiecki był państwem totalitarnym, rządzonym przez Wszechzwiązkową Komunistyczną Partię (bolszewików) – WKP(b). Na czele partii i państwa stał Iosif Stalin. W państwie panował terror, w obozach koncentracyjnych zwanych łagrami przebywały miliony ludzi, z których wielka część zmarła lub zginęła. Miliony straciły życie podczas

sprobowanych klęsk głodu, a setki tysięcy – nie tylko Polaków – w czystkach etnicznych. Pomimo tych zbrodni ZSRS był traktowany przez cywilizowane państwa jako równorzędnny partner. Doniesieniom o milionach zamordowanych ludzi nie dawano wiary – podobnie jak kilka lat później nie wierzono w zbrodnie III Rzeszy.

Agresor był jeden, może dwóch

1 września 1939 roku Polskę zaatakowała III Rzesza, a później, gdy Wojsko Polskie zostało rozбите, na ziemię Rzeczypospolitej wkroczyła Armia Czerwona. Pozostali sąsiedzi, z wyjątkiem Słowacji, byli pokojowo nastawieni, a Czesi i Litwini sympatyzowali z Polakami i nie brali udziału w agresji.

Nie tylko Niemcy i Sowieci uczestniczyli w agresji na Polskę. 1 września do Rzeczypospolitej wkroczyły również wojska słowackie. Republika Słowacka powstała pół roku wcześniej, w wyniku rozpadu Czechosłowacji. Niemcy zajęli Czechy, a od Słowacji zażądali zgody, aby na zachodzie kraju mógł stacjonować Wehrmacht. Rząd w Bratysławie zgodził się na to, choć niechętnie. Wielu słowackich polityków uważało nawet, że lepszym rozwiązaniem będzie szukanie oparcia w Polsce, a przez nią we Francji i Wielkiej Brytanii. Tak się jednak nie stało, a co gorsza, Słowacy musieli zaakceptować fakt, że z ich terytorium wyjdzie również niemiecki atak na Polskę. W ostatnich dniach sierpnia postawiono w stan gotowości Armię Słowacką, obawiano się bowiem polskiej kontrakcji.

Dowódcą Armii Słowackiej był generał Ferdinand Čatloš. Przekonywany przez generałów Wehrmachtu, uznał on, że opłaca się wpłatać Republikę Słowacką w wojnę przeciwko Polsce. Liczył, że wzmocni to polityczną pozycję Słowacji i Niemcy będą życzliwie traktowali to małe państwo, a przy okazji wzrośnie prestiż jego osoby i zmaleje znaczenie prezydenta Jozefa Tiso. Wydał więc rozkaz wkroczenia wojsk słowackich na teren Polski. Prezydent Tiso nie miał innego wyjścia, niż rozkaz ten zatwierdzić. Słowacka Armia „Bernolak” wkroczyła trzema dywizjami do Polski. Nie wykazywała szczególnie dużego ducha bojowego i inicjatywy, szczególnie po 3 września, gdy Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom. Wydaje się, że większość społeczeństwa słowackiego nie była nastawiona antypolsko, znamieną jest też postawa słowackiego ambasadora w Polsce Ladislava Szathmáregó, który zdecydowanie potępił atak.

Walki pomiędzy Polakami a Słowakami były sporadyczne. Armia „Bernolak” zdołała nawiązać kontakt bojowy z polską Armią „Karpаты”, Polacy z kolei w kilku miejscach wtargnęli na teren Słowacji, niszcząc mosty i tamy. Na przełomie września i października oddziały słowackie przemaszerowały w defiladach przez Zakopane i Sanok, a następnie wróciły do kraju. Słowackim łupem padło 770 km² terenu Rzeczypospolitej, z blisko 35 tys. mieszkańców. Przez kolejnych sześć lat wojny „słowacka strefa okupacyjna w Polsce” była najlepszym miejscem do życia w pustoszonej przez wojnę Europie. Rządzącym w Bratysławie bardzo zależało, żeby mieszkańcy „ziem włączonych do Słowacji” docenili nowe państwo i czuli się w nim lepiej niż w Rzeczypospolitej. Wydalili polskich urzędników oraz księży, lecz dopilnowali, by w lokalnych sklepach nie brakowało niczego, a nawet najbardziej deficytowe towary miały niskie ceny. I osiągnęli swój cel: gdy w 1945

roku przywracano przedwojenne granice, mieszkańcy niektórych polskich wsi chcieli pozostać w granicach Słowacji, wybuchły nawet zamieszki, były ofiary, również śmiertelne. Nie są to chwalebne wydarzenia...

Wehrmacht, Armia Czerwona i Slovenská Armáda nie wyczerpują listy agresorów. Przeciwno Polsce wystąpiły jeszcze dwa państwa. Pierwszym z nich jest Republika Litewska ze stolicą w Kownie. Mitem założycielskim Republiki Litewskiej była nienawiść wobec Polaków i pamięć o rzekomym odebraniu jej przez Rzeczpospolitą Wilna – historycznej stolicy Litwy. Bez znaczenia było to, że Republika Litewska miała niewiele wspólnego z historycznym Wielkim Księstwem Litewskim, którego terytorialny trzon stanowiły ziemie dzisiejszej Białorusi i którego językiem urzędowym był ruski. Bez znaczenia było również to, że w Wilnie – według dość obiektywnego, bo przeprowadzonego w 1916 roku przez Niemców spisu powszechnego – „Litwini” stanowili mniej niż 2% ludności.

Władze Republiki Litewskiej niemal od początku powstania tego państwa twierdziły, że znajduje się ono w stanie wojny z Polską, nie utrzymywały z nią żadnych wzajemnych kontaktów oraz głosiły otwarcie, że przy najbliższej nadarzącej się okazji wesprą dowolnego agresora w ataku na Polskę. W 1938 roku, po zabiciu przez Straż Graniczną Republiki Litewskiej polskiego żołnierza Władysława Serafina, cierpliwość Warszawy się wyczerpała. Zmobilizowano Wojsko Polskie i wystosowano do Kowna ultimatum, w którym zażądano... zakończenia stanu wojny i nawiązania stosunków pokojowych. Chcąc nie chcąc, rząd w Kownie dostosował się do polskich żądań.

Armia Litewska nie brała udziału w działaniach wojennych we wrześniu 1939 roku. Decyzja o wystąpieniu

przeciwko Polsce zapadła dopiero 10 października, podczas negocjacji litewsko-sowieckich. 27 października 1939 roku korpus ekspedycyjny wojsk litewskich pod dowództwem generała Vincasa Vitkauskasa przekroczył granicę z Polską. Następnego dnia zajął Wilno i okoliczne powiaty. Litwini nie musieli walczyć z Polakami – przejęli bowiem te ziemie od Sowieców.

To, że we wrześniu 1939 roku Litwini nie walczyli zbrojnie przeciwko Polakom, nie oznacza, że nie byli agresorami. Sytuację w dużym stopniu zakłamuje używanie narzuconych przez okupantów – a niewłaściwych naukowo i prawnie – terminów „wojna obronna Polski” oraz „kampania wrześniowa”. Jeśli jednak używamy poprawnego terminu „kampania polska 1939 roku”, sytuacja staje się oczywista: Republika Litewska brała w niej niechlubny udział. Polskie siły zbrojne wciąż jeszcze walczyły na terenie Polski przeciwko agresorowi. Skierowanie wojsk Republiki Litewskiej do okupacji Wileńszczyzny pozwalało Armii Czerwonej i NKWD na wysłanie zwolnionych w ten sposób sił do zwalczania polskiego oporu. Pamiętajmy też, że zgodnie z prawem międzynarodowym zmiany granic można dokonać wyłącznie podczas rozmów pokojowych. Republikę Litewską wciąż obowiązywała granica pokojowa. Jej przekroczenie bez polskiej zgody oznaczało agresję.

Rzesza Niemiecka, Związek Sowiecki, Republika Słowacka i Republika Litewska to nie wszystkie państwa, które brały udział w agresji na Polskę. Trzeba jednak przyznać, że sprawa państwa czeskiego – piątego agresora – jest nieco mniej jednoznaczna. Czesi swój udział, czy raczej brak udziału w II wojnie światowej zakłamali i zmitologizowali najbardziej spośród wszystkich państw Europy. Zdaniem Czechów po rzekomej zdradzie Francji i Wielkiej Brytanii na konferencji

w Monachium jesienią 1938 roku zostali oni zmuszeni do oddania Sudetów III Rzeszy, następnie stali się obiektem agresji hitlerowskiej, a w marcu 1939 roku – pierwszym państwem okupowanym przez Niemcy. Faktycznie natomiast sami zgodzili się na oddanie Sudetów, po konferencji monachijskiej zerwali sojusz z Francją i podpisali porozumienie z Niemcami. Próby zbrojnego stłumienia dążeń narodowych Słowacji doprowadziły do groźby najazdu węgierskiego, w związku z czym Niemcy – zgodnie z obustronnym porozumieniem – wprowadzili swoje wojska do Czech.

Czesi nie byli pierwszą ofiarą agresji niemieckiej – byli pierwszym sojusznikiem Niemców. Ich państwo wciąż istniało pod nazwą Protektoratu Czech i Moraw, nadal miało swojego prezydenta – Emila Háchę – i posiadało nawet własne wojsko (Vládní vojsko), które później zostało wysłane do Włoch, żeby pomóc Niemcom w odparciu alianckiego ataku, i niewiele brakowało, żeby doszło do jego walk z II Korpusem Polskim generała Andersa. Oczywiście, że wiele spośród tych decyzji podjętych w Pradze było wymuszonych przez Niemców, ale prawo międzynarodowe nie zwraca na to uwagi: wymuszenie stacjonowania Wehrmachtu w Czechach ma dokładnie taką samą wagę jak wymuszenie stacjonowania sił rozjemczych ONZ na spornych granicach.

We wrześniu 1939 roku uderzenie Wehrmachtu na Polskę odbyło się z terytorium Protektoratu Czech i Moraw. Niemcy korzystali z czeskich dróg i kolei, niemieckie bombowce startowały na Polskę z czeskich lotnisk. Czeska policja i żandarmeria pomagały w utrzymaniu porządku na zapleczu niemieckich wojsk, a czeski rząd dbał o przejezdność szlaków drogowych i kolejowych. Czy takie pomocnictwo – posłużmy się żargonem prawniczym – wystarczy, aby nazwać Czechów agresorami? Przypomnijmy dla porównania, że gdy

w 1940 roku sowieckie bombowce startowały na Helsinku z baz położonych na terytorium Estonii, fiński rząd rozpoczął przeciwko Tallinowi kampanię dyplomatyczną – właśnie jako agresorowi. Gdy w 1986 roku amerykańskie samoloty bombardowały Libię, musiały to robić z terytorium Wielkiej Brytanii i lecieć nad Atlantykiem, bo ani Francuzi, ani Hiszpanie, ani Włosi nie zgodzili się na wykorzystanie swoich baz i przestrzeni powietrznej. Zaatakowanie z terenu innego państwa – a nawet takie podejrzenie – wielokrotnie było traktowane jako usprawiedliwiony *casus belli* i prowadziło do wybuchu wojen.

Nie można zapominać o tym, że w 1939 roku Związek Sowiecki był takim samym agresorem jak Niemcy. Pamięć ta pozwala lepiej ocenić rolę Sowietów w późniejszej historii Polski. Udział Słowaków, Litwinów i Czechów w agresji na Rzeczpospolitą ma znaczenie dużo mniejsze – przynajmniej dla nas. Dla nich ma jednak znaczenie olbrzymie, choć niewymierne. Ich obywatele w szkołach uczą się historii zakłamej i zmanipulowanej, a jeśli później poznają prawdę, to albo żyją z pogardą dla własnej ojczyzny – i dla honoru – albo starają się racjonalizować ówczesne wybory, podążając tym samym – niczym ich przodkowie – w kierunku ideologii nazistowskiej.

Czy „kampanię wrześniową” naprawdę wygrała III Rzesza?

Niemcy wygrały kampanię 1939 roku. Wehrmacht rozbił Wojsko Polskie i zajął niemal całą Rzeczpospolitą, a pomoc innych państw – szczególnie Związku Sowieckiego – nie była mu do niczego potrzebna.

Wojna jest zjawiskiem społeczno-politycznym, a kampania to tylko jeden z jej militarnych wymiarów. Niemieckim planowaniem wojennym jeszcze się zajmujemy, teraz zwróćmy tylko uwagę, że wiosną 1939 roku w Berlinie nie zamierzano prowadzić żadnej wojny. Próbowano jedynie rozwiązać polityczne i – w mniejszym stopniu – społeczne problemy związane z Polską. Niemcy nie liczyli na szybkie i pokojowe rozwiązanie, jakie nastąpiło z Austrią, Czechosłowacją czy Republiką Litewską, żywili jednak nadzieję, że wystarczy demonstracja zbrojna lub krótka akcja policyjna. Gdy po kilku tygodniach okazało się, iż Polska nie ulegnie bez walki, zamiarem Niemców była wojna wyłącznie z Polską – wojna, która miała się zakończyć w wyniku jednej błyskawicznej kampanii. I taką kampanię zaczęli planować.

„Celem operacji – wyjaśniał swoim podwładnym dowódca niemieckich wojsk lądowych generał Walther von Brauchitsch – jest zniszczenie polskich sił zbrojnych. Względę wyższej polityki wymagają, aby wojna rozpoczęła się gwałtownym uderzeniem przez zaskoczenie dla uzyskania szybkich rezultatów. Zamiarem Naczelnego Dowództwa Wojsk jest zapobiec regularnej mobilizacji i koncentracji polskiej armii przez niespodziewaną inwazję polskiego terytorium i zniszczenie masy polskiego wojska, którego należy się spodziewać na zachód od linii Wisła–Narew”.

Operacja miała być dostatecznie szybka, aby Francja i Wielka Brytania nie zdążyły stanąć po polskiej stronie. Na wypadek gdyby do tego doszło, zaplanowano, że kampania w Polsce ma trwać nie dłużej niż 14 dni, aby można było przerzucić wojska na front zachodni.

Nieco na marginesie warto zauważyć, że takie postawienie sprawy miało pewne mało istotne, ale niewygodne dla historyków konsekwencje. Otóż niemieckie armie walczące w Polsce były tworamii prowizorycznymi, które reorganizowano albo nawet rozwiązywano po kampanii polskiej. Nie prowadziły one właściwej dokumentacji i nasza wiedza na temat decyzji podejmowanych na szczeblu armijnym jest dość uboga.

Czy cele postawione przed Wehrmachtem zostały zrealizowane? Wojsko Polskie było faktycznie skoncentrowane na zachód od linii Wisły i Narwi, więc Niemcy mieli okazję je zniszczyć. Z różnych przyczyn – które opiszemy później – nie zdołali tego zrobić. Większość polskich armii przekroczyła Wisłę, tam się odbudowała i podążyła dalej na wschód. Na zachodzie kraju pozostały armie „Poznań” i „Pomorze”, ale 14 września, czyli po dwóch tygodniach trwania kampanii, Niemcy wciąż byli daleko od ich zniszczenia. Co więcej,

polski opór już od pierwszego dnia ataku nie dał naszym sojusznikom szansy na reakcję inną niż wypowiedzenie Niemcom wojny.

1 września 1939 roku Niemcy rozpoczęli „akcję policyjną” przeciwko Polsce, a 3 września toczyli już II wojnę światową, która doprowadziła do kompletnej klęski Niemiec. Co to znaczy „kompletna klęska”? W latach 1939–1945 ludność Niemiec została zdziesiątkowana; wojsko, marynarka i lotnictwo uległy całkowitemu zniszczeniu; gospodarka legła w gruzach. Ze społeczeństwa również zostały ruiny, gdyż straty wojenne i powojenny głód przetrąciły mu moralny kręgosłup: mężczyźni pozbawili teutońskiej buty, kobiety zmusiły do prostytucji, a dzieci – do uczenia się w szkołach treści narzuconych przez zwycięzców (co trwa do dziś). Państwo niemieckie przestało istnieć – podobnie jak Polska w 1795 roku. Jego namiastki odbudowano co prawda po czterech i pół roku – dwa razy szybciej niż niegdyś namiastkę państwa polskiego, czyli Księstwo Warszawskie – ale przez niemal pięć dekad trwały rozbiory Niemiec, bo jak inaczej nazwać podział na RFN i NRD? Nawet teraz, po 74 latach od zakończenia wojny, w Niemczech wciąż stacjonują zwycięskie wojska amerykańskie, a rząd w Berlinie nie może samodzielnie prowadzić polityki zagranicznej.

„Niemniej niezrealizowanie postawionego celu to klęska”^{*} – napisał o bitwie pod Kurskiem pewien rosyjski historyk. Słowo „niemniej” dotyczy sukcesów niemieckich w tej rzekomo największej bitwie pancерnej świata. Te same słowa doskonale odnoszą się do roku 1939: Niemcy odnosili zwycięstwa nad Wojskiem Polskim, niemniej nie zrealizowali postawionego celu, a to oznacza klęskę. Powtórzmy raz jeszcze:

^{*} Władimir Bieszanow, *1943 – rok przełomu*, Warszawa 2001, s. 367.

1 września 1939 roku Niemcy rozpoczęli „akcję policyjną” przeciwko Polsce, a 3 września toczyli już wojnę światową, której koszmarnie skutki odczuwają do dziś. Zadecydowały o tym trzy dni, podczas których Wojsko Polskie samotnie walczyło przeciwko Wehrmachtowi. To były trzy decydujące dni II wojny światowej.

Niemieckie sukcesy wojenne w tym trzydniowym okresie nie mają większego znaczenia. Wojna – przypomnijmy – to zjawisko polityczne, a jak napisał pewien sławny Niemiec: to realizowanie polityki zagranicznej innymi środkami. Akurat w tym przypadku wybór środka do realizowania celów politycznych był najgorszy z możliwych.

Czy to znaczy, że to Polacy byli zwycięzcami? Przywołajmy słowa marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza: „Rozpoczynając wojnę, rozumiałem dobrze, że będzie ona z konieczności przegrana na froncie polskim, który uważałem za jeden z odcinków wielkiego frontu antyniemieckiego. Zaczynając w niebywałych warunkach walkę, czułem się tak jak dowódca odcinka, który ma być poświęcony, aby dać czas i możliwość organizacji i przygotowania innych”. Słowa te zostały spisane 24 grudnia 1939 roku na wygnaniu w rumuńskim mieście Dragoslavele, można więc zrozumieć ich gorzki wydźwięk. Taka była jednak gorzka prawda: kampania polska była jedną z wielu kampanii wojny przeciwko Niemcom, kampanią, w której należało liczyć się w ryzykiem porażki.

Jakie były cele kampanii dla Polaków? W Rzeczypospolitej nie ma zwyczaju pisania dyrektyw – takich, jakie pisali Hitler i jego generałowie – nie znajdziemy więc precyzyjnie opisanego celu, jednak nie był on sekretem. Po pierwsze, należało powstrzymać wroga w bitwie granicznej, co umożliwiłoby mobilizację państwa oraz wymusiło na Francuzach i Brytyjczykach decyzję o przyścisii Polsce z pomocą. Kolejnym celem

było zachowanie armii, co dawało szansę na wyzwolenie kraju, gdy uderzenie francuskie zmusi Niemców do wycofania z Polski znacznej części Wehrmachtu. Nikt w Warszawie nie liczył na to, że Niemców można samodzielnie pokonać!

Pierwszy – polityczny – cel kampanii został zrealizowany. Niestety ostateczne zwycięstwo nad Niemcami przeciągnęło się do roku 1945 i nie wyglądało tak, jak sobie wyobrażano w przedwojennej Warszawie. Drugi cel – zachowanie sił Wojska Polskiego – udawało się realizować do pewnego momentu, na pewno dłużej niż dwa tygodnie postawione Wehrmachtowi na zniszczenie sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Po dwóch tygodniach sytuację wojenną oceniano w sztabie polskiego naczelnego wodza całkiem dobrze. „Wszystko to [czyli wieści o udanym odwrocie] złożyło się na stworzenie u szeregu oficerów Sztabu wieczorem dnia 16 września nastroju optymistycznego. Pojawiła się nawet butelka wina, którą oficerowie Sztabu chcieli uczcić sukces gen. Sosnkowskiego”^{*}.

Wojsko Polskie realizowało swój drugi cel wojenny – czyli zachowanie sił – dość długo. (Oceną tego, jak sprawnie to szło, zajmiemy się w jednym z kolejnych rozdziałów). Dłużej niż dwa tygodnie zakładane przez Niemców. Co najmniej 16 dni – według ocen polskich sztabowców. Do 16 września Niemcy nie osiągnęli żadnego ze swoich celów wojennych, natomiast Polacy zrealizowali już jeden i byli w trakcie realizacji drugiego.

Możemy dokładnie – niemal co do minuty – określić moment, w którym realizowanie polskiego celu wojennego załamało się. Wydarzyło się to 17 września 1939 roku o godzinie 3.00, gdy Armia Czerwona otworzyła „drugi front” w wojnie

^{*} Wacław Stachewicz, *Wierności dochować żołnierskiej*, Warszawa 1998, s. 597.

przeciwko Polsce. Wobec ciosu w plecy – zajęcia magazynów i opanowania terenu, na którym polscy żołnierze mieli odzyskać zdolność bojową – zachowanie sił Wojska Polskiego nie było możliwe. Cele wojenne postawione niemieckiemu Wehrmachtowi przez Hitlera i jego generałów zostały zrealizowane przez sowiecką Armię Czerwoną.

To, że Niemcy podczas kampanii polskiej nie osiągnęli swoich celów wojennych, nie oznacza, że Polacy wygrali. Oznacza tylko, że Niemcy przegrali. Przegrali wojnę. Polacy również nie zrealizowali wszystkich swoich celów, ale nie z powodu działań niemieckich.

Czy wszystko skończyło się 6 października?

6 października 1939 roku rozegrano pod Kockiem ostatnią bitwę „kampanii wrześniowej”. Tego właśnie dnia wojna skończyła się dla Polski.

Pomijając inne kwestie, data 6 października jest mocno naciągana. Decyzję o zaprzestaniu walk podjęto wieczorem 5 października, zawieszenie broni trwało od 19.30, a polscy parlamentariusze przekazali Niemcom akt kapitulacji dwie godziny po północy.

Najśmieszniejsze – chociaż wcale nie zabawne – jest to, że niemal wszyscy wiedzą, iż walcząca pod Kockiem Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” nie była ostatnią walczącą na ojczyściej ziemi formacją Wojska Polskiego. Powszechnie znana jest postać majora Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, który na czele Oddziału Wydzielonego kontynuował walkę do końca wiosny 1940 roku. Ani on, ani jego żołnierze nie byli partyzantami – walczyli jawnie, w mundurach wojskowych.

Oddział Wydzielony Wojska Polskiego majora Henryka Hubala-Dobrzańskiego nie był jedynym, który nie złożył broni. Walkę kontynuowały również większe i mniejsze formacje,

które podczas wrzeźniowego odwrotu pozostały na zachodnim brzegu Wisły czy też na Lubelszczyźnie. Oddział Hubala walczył jednak najdłużej i utrzymywał kontakt z przełożonymi. Jego losy doskonale pokazują, dlaczego słuszny był rozkaz naczelnego wodza o zaprzestaniu walki i przejściu przez granice do państw neutralnych. Do tego wątku jednak powrócimy.

We wrześniu Hubal walczył przeciwko Sowiecom, a następnie przeszedł na Kielecczynę, gdzie nawiązał walkę z Niemcami. Dlatego jego imię jest doskonale pamiętane. O polskich żołnierzach kontynuujących opór, ale walczących przeciwko Sowiecom wiadomo bardzo niewiele. Pamięć o nich została skutecznie zatarta przez sowieckie NKWD, które wymordowało wszystkich walczących, oraz polską Służbę Bezpieczeństwa, która pilnowała, aby nikt ich nie wspominał.

A przecież wiemy, że Wojsko Polskie walczyło przeciwko Sowiecom aż do końca czerwca 1940 roku. Najdłużej przetrwało ugrupowanie mające swoją siedzibę w uroczysku Kobielno nad Biebrzą nieopodal Jedwabnego. Nie wiemy nawet, kim był dowódca kilkusetosobowego oddziału, podpisujący się jako „major Burski”. A takich było wielu. Podobne oddziały były w okolicach Wizny, a najprawdopodobniej i dalej na wschód, tam gdzie potem przez wiele lat istniał Związek Sowiecki.

6 października nic się nie skończyło. Proszę zwrócić uwagę, że w tytule użyliśmy sformułowania: „wszystko się skończyło”. Cóż innego mogliśmy zrobić? Napisać, że „kampania wrzeźniowa” skończyła się 6 października? Czy może, że „wojna obronna Polski” skończyła się 6 października? Tego właśnie chcieli rządzący w Polsce komuniści: po 6 października rozpoczyna się bowiem inna wojna – wojna wyzwolenicza narodu polskiego.

Wydarzeń, które nastąpiły w Polsce po 1 września 1939 roku, nie można nazwać „wojną obronną”. Wojna to zjawisko społeczno-polityczne dotyczące wszystkich zaangażowanych państw. Rozpoczęta 1 września 1939 roku i zakończona wiele lat później wojna objęła niemal cały świat. Wydarzenia w Polsce były jedynie jej częścią. Działania zbrojne toczące się na określonym obszarze i w określonej fazie wojny, na przykład w Polsce w 1939 roku, nazywa się kampanią. To jest nazwa zgodna z zasadami nauki i, co ważniejsze, zgodna z prawem. Prawo międzynarodowe mówi bowiem, że wszelkie zmiany, na przykład terytorialne, muszą zostać uzgodnione w traktacie pokojowym pomiędzy państwami. Skoro zaś „wojna obronna Polski” zakończyła się upadkiem państwa polskiego 6 października 1939 roku, to Rosjanie z Moskwy nie musieli sobie zwracać głowy podpisywaniem żadnego traktatu pokojowego i mogli wziąć to, co chcieli.

Kampanii w dziejach świata stoczono tak wiele, że dla ich rozróżnienia potrzebne są określenia dotyczące czasu i miejsca. Mówimy więc na przykład o „kampanii francuskiej” albo „kampanii 1940 roku”, ale nikt nie używa określenia „wojna obronna Francji”. Działania zbrojne toczące się w Polsce po 1 września 1939 roku należy więc nazwać „kampanią 1939 roku”, „kampanią polską” albo nieco redundantnie „kampanią polską 1939 roku”. Tak też są one nazywane w literaturze naukowej obcojęzycznej, przede wszystkim niemieckiej, bo tylko Niemcy poważniej interesują się problemem *Feldzug in Polen*.

Skąd więc niesamowicie popularne określenie „kampania wrześniowa”? Z propagandy, mającej podkreślić krótkotrwałość walk. Określenie wymyślili Niemcy. *September Feldzug* stanowił według nich zasłużony koniec *Saisonstaat* – państwa sezonowego, czyli Polski. Z pomysłu Goebbelsa skorzystali

później – zresztą nie po raz pierwszy i nie ostatni – komuniści rządzący w Polsce. Weteranom 1939 roku, którzy nie chcieli posługiwać się kłamliwym określeniem „wojna obronna Polski”, łaskawie pozwolili używać nazwy „kampania wrześniowa”. Nie tylko z tych samych powodów co Niemcy, ale także po to, by uniknąć niewygodnych pytań o 17 września i o najazd Armii Czerwonej.

„Kampania wrześniowa” z definicji toczy się we wrześniu. Nie można więc stawiać pytań o październik. Nie trzeba zastanawiać się, jakie plany miało polskie dowództwo, a co za tym idzie, kto te plany 17 września storpedował. Nie trzeba przedstawiać zamierzeń naczelnego wodza. Jaki sens ma rozważanie jego decyzji, skoro wojna i tak miała się skończyć we wrześniu? Można natomiast wyśmiewać głupotę polskich generałów: że działali zachowawczo, że spośród niemal 1000 polskich samolotów 1 września w linii było tylko 400, że magazyny amunicji były zbyt daleko, że wojsko zamiast bronić Warszawy, uciekało na wschód. Skoro II Rzeczpospolita miała tak nieudolnych generałów, nic dziwnego, że upadła i zastąpiła ją Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Jeśli jednak użyjemy nazwy „kampania 1939 roku” albo jeszcze lepiej „kampania polska”, zaczniemy rozumieć wiele spraw i mieć wiele wątpliwości. Skoro kampania miała trwać miesiące, to zostawienie 600 samolotów w rezerwie, oddalenie magazynów od granic, odwrót na wschód i wiele innych decyzji nagle zaczynają mieć sens. Być może dowodzenie Wojskiem Polskim nie było nieudolne, tylko przemyślane i perspektywiczne? Wówczas pojawia się też pytanie: czy zaatakowanie Polski przez Rosjan 17 września storpedowało polskie plany wojenne? A jeśli tak – to w jakim stopniu?

Ograniczanie kampanii polskiej do września, czy do „wrześniopaździernika”, wprowadza również zamieszanie

w panteonie polskich bohaterów. Skoro kampania była krótka, to chyba trzeba cenić tych dowódców, którzy walczyli krótko, odnosili błyskotliwe zwycięstwa moralne i ograniczali straty wśród swoich żołnierzy. Ci, którzy przeszli pół kraju, ryzykowali życiem swych żołnierzy, a później unikali bitew – nie wydają się godni szacunku. Ale czy na pewno?

Nie można wydarzeń wojennych rozpoczętych 1 września nazywać „kampanią wrześniową”, ani nawet „kampanią wrześniowopaździernikową”, tylko „kampanią polską”. I kampania polska nie skończyła się 6 października. Skończyła się... dużo wcześniej.

Ostatni rozkaz marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza jako wodza naczelnego, wydany 20 września 1939 w Craiovej, zaczynał się następująco:

„Żołnierze! Najazd bolszewicki na Polskę nastąpił w czasie wykonywania przez nasze wojska manewru, którego celem było skoncentrowanie się w południowo-wschodniej części Polski tak, by mając do otrzymywania zaopatrzenia i materiału wojennego komunikację i łączność przez Rumunię z Francją i Anglią, móc dalej prowadzić wojnę.

Najazd bolszewicki uniemożliwił wykonanie tego planu”.

Do 17 września Wojsko Polskie działało według planu. Po dołączeniu się Rosjan do Niemców w agresji na Polskę wszelkie plany przestały się liczyć. Wojska straciły możliwość manewrowania, komunikacja z krajem została odcięta przez Armię Czerwoną. Wódz naczelny utracił zdolność dowodzenia i w ciągu kilku godzin mógłby zostać złapany przez NKWD. Kampania – jako zorganizowane działania wojenne – dobiegła końca. Śmigłemu pozostało wydać – i zrobił to 17 września około godz. 22 – rozkaz o kontynuowaniu oporu: „Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć,

chyba że w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia oddziałów. Zadanie Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii”.

Do tego rozkazu jeszcze wrócimy, zauważmy jednak, że niektórzy – na przykład major Hubal i major Burski – nie podporządkowali się rozkazowi. Jakie były skutki? Jeśli chodzi o rejon działania Hubala, to cztery polskie wsie zostały doszczętnie spalone, w piątej zniszczono większość zabudowy, a mieszkańców 26 innych dotknęły inne represje: Niemcy zamordowali 712 Polaków, w tym 2 kobiety i 6 dzieci. Represje stosowane przez Rosjan wobec Polaków wspierających majora Burskiego nie były łżejsze, brak jednak dokładnych danych liczbowych. Pod uwagę trzeba wziąć również straty społeczne: naruszono zaufanie społeczeństwa do Wojska Polskiego – wojsko ma przecież bronić cywilów, a nie narażać ich na niebezpieczeństwo. Hubal został najprawdopodobniej zdradzony Niemcom przez Polaka mającego dość niemieckich represji. Podobnie było w Jedwabnem, a konflikt pomiędzy mieszkańcami miał swój krwawy finał w lipcu 1941 roku...

Kampania polska miała trwać miesiącami, lecz zorganizowany opór skończył się po 17 dniach walk. Walki trwały jednak... miesiącami, aż do czerwca 1940 roku, choć z perspektywy wojny światowej epizody po 17 września nie miały znaczenia. Wojna nie była skończona – Wojsko Polskie nadal walczyło, Rzeczpospolita Polska nadal istniała.

Czy sanacja była faszystowska?

Sanacyjna II Rzeczpospolita była państwem faszystowskim, a jeśli nawet nie faszystowskim, to na pewno rasistowskim i niedemokratycznym.

Początek tego mitu bardzo łatwo wyśledzić. Był nim Dekret o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego wydany 22 stycznia 1946 roku przez „prezydenta” Bolesława Bierutą. Według tego dekretu „karze więzienia lub dożywotniego więzienia” podlegali niemal wszyscy sprawujący w Polsce „naczelne funkcje kierownicze” cywilne i wojskowe od 1921 do 1939 roku. Za co? „Za faszyzację życia państwowego” oraz za pomoc w niej, a nawet za... przewożenie ulotek.

Czym była owa faszyzacja? Czy doprowadziła do wzrostu antysemityzmu w Polsce i prześladowania Żydów – czyli tego, co dziś robią neofaszyści? Nie! Chodziło o zupełnie inne kwestie, bo rozumienie słowa „fasyzm” było zupełnie inne.

Faszyzm powstał w latach 20. XX wieku we Włoszech. Jego głównym założeniem był prymat państwa nad innymi formami aktywności społecznej i politycznej. Z naszego punktu widzenia istotne jest, że faszyzm nie interesował

się narodowością czy rasą, tylko obywatelstwem. Obywatel Włoch był Włochem, niezależnie od tego, czy był pochodzenia włoskiego, albańskiego, etiopskiego, libijskiego czy żydowskiego. Przede wszystkim jednak faszyzm nie uznawał klas społecznych.

Z punktu widzenia komunistów – jak również wszystkich ruchów lewicowych łącznie z najbardziej umiarkowanymi socjalistami – faszyzm był złem. Negował bowiem fundament, na którym zbudowano politykę lewicową. Skoro nie ma klas społecznych, to niemożliwa jest walka klas, więc istnienie partii socjalistycznej, komunistycznej (czy nawet związków zawodowych) jest pozbawione sensu. Faszyzm podważał sens istnienia Związku Socjalistycznych Republik Sowietkich. Najważniejszym wrogiem Związku Sowieckiego był więc nie kapitalizm, tylko faszyzm. Faszyzm należało zniszczyć jako pierwszy, żeby nikomu nie przyszło do głowy zastanawiać się, czy faktycznie walka klas nie jest bezsensowna... Warto zwrócić uwagę, że zarówno Stany Zjednoczone Ameryki, jak i Unia Europejska to społeczeństwa bezklasowe.

Faszyzm należało zniszczyć, faszyści stali się więc największymi wrogami propagandy moskiewskiej. „Faszysta” to oskarżenie najcięższe z możliwych, ostateczny epitet, którym Sowietci określali wszystkich swoich wrogów. Nawet tych, którzy z faszyzmem mieli niewiele wspólnego. Na przykład „faszystowsko-niemieckich” nazistów.

Nazizm to narodowy socjalizm, ideologia zakładająca – w dużym uproszczeniu – likwidację klas posiadających, obrabowanie ich i podzielenie się łupem. NSDAP była partią bardzo lewicową, przynajmniej do „nocy długich noży” w czerwcu 1934 roku. Wówczas prawicowa frakcja NSDAP zlikwidowała – w rosyjskim rozumieniu tego słowa, a więc fizycznie – przywódców frakcji lewicowej. Otworzyło to drogę

do porozumienia Hitlera z klasami posiadającymi Niemiec i wówczas doszedł do głosu nurt „narodowy” nazistów. Rozpoczęto rabunek i likwidację Żydów.

Dzisiaj nie pamięta się o większości tych detali. W zbiorowej pamięci pozostał sowiecki slogan propagandowy o „bestii faszystowsko-niemieckiej”, a sojusz narodowo-socjalistycznych Niemiec z faszystowskimi Włochami sprawia, że slogan ten brzmi całkiem prawdopodobnie. Neonaziści są więc wymiennie nazywani neofaszystami i niemal nikt nie zwraca na to uwagi.

Wróćmy jednak do pytania: czy Polska przed 1939 rokiem – w jakimkolwiek znaczeniu – była państwem faszystowskim?

Nie, nie była.

Rzeczpospolita Polska przed 1939 rokiem była demokratycznym państwem prawa. Od 1926 roku władzę nad krajem sprawowali ludzie nazywani – przez samych siebie – sanacją. Sanacją, czyli „uzdrowieniem”. Propagandowo oznaczało to dokładnie to samo co po roku 2015 oznacza termin „dobra zmiana” – ze wszystkimi, zarówno pozytywnymi, jak i negatywnymi, konotacjami. Sanacja nie stanowiła partii politycznej i nie była jednolita ideologicznie, choć dziś nazywalibyśmy ją – *horribile dictu* – „umiarkowaną lewicą laicką”.

II Rzeczpospolita była państwem demokratycznym, w którym władzę ustawodawczą sprawował parlament, ale wiele decyzji mógł podjąć prezydent. Rządowi sanacyjnemu udawało się z reguły przeforsować w parlamencie korzystne dla siebie ustawy przede wszystkim ze względu na rozbięcie polityczne opozycji. Jej najważniejszymi ugrupowaniami była lewicowa Polska Partia Socjalistyczna, chłopskie Stronnictwo Ludowe oraz prawicowe Stronnictwo Narodowe. Pamiętać jednak trzeba, że pod tymi nazwami nie kryły się monolityczne

partie, tylko środowiska polityczne, wewnętrznie skłócone i niezbyt skuteczne.

Jedyną partią, którą można by oskarżyć o antysemityzm – ale oskarżenie to byłoby palcem na wodzie pisane i nie dałoby się utrzymać go w sądzie – było Stronnictwo Narodowe (którego wielu działaczy było notabene pochodzenia żydowskiego). W początkach lat 30. przeżywało ono kryzys i właśnie wtedy oddzielili się od niego co bardziej radykalni działacze. W ten sposób powstało ugrupowanie znane jako Obóz Narodowo-Radykalny. ONR faktycznie występował przeciwko Żydom, jednak trudno nazwać jego działalność antysemicką, choć niewątpliwie antysemitów można było tam znaleźć. Żeby zrozumieć motywy tych akcji, trzeba poświęcić nieco uwagi bezrobociu młodych.

Bezrobocie młodych zawsze jest problemem, ale w czasach II Rzeczypospolitej było problemem szczególnie dużym ze względu na utrudnienia w dostępie do najbardziej intratnych zawodów: znaczną część prawników, lekarzy i farmaceutów stanowili Żydzi. W czasach rozbiorów Polacy mieli bowiem ograniczoną możliwość studiowania. Co więcej, większość studentów prawa, medycyny i farmacji – także w niepodległej Polsce – stanowili Żydzi. Młodzież gimnazjalna i studencka była z tego powodu bardzo niezadowolona. Duża jej część stała się zwolennikami i działaczami ONR, którego podstawowym postulatem było wprowadzenie administracyjnych parytetów na uniwersytetach, nie – jak dziś – ze względu na płeć, tylko na narodowość. Współcześnie nazywa się to „akcją afirmacyjną”, wówczas używano określenia *numerus clausus*.

Parytety narodowościowe na uniwersytetach wprowadzono i wszyscy poczuli się pokrzywdzeni. Polscy Żydzi dlatego, że utrudniało im to zdobycie wykształcenia. Polscy Polacy dlatego, że ułatwień w zdobywaniu wykształcenia było zbyt

mało. ONR rósł w siłę, na ulicach dochodziło do starć bojówek polskich Żydów z bojówkami polskich Polaków. W tej sytuacji sanacyjny rząd administracyjnie rozwiązał ONR i podjął szereg działań, żeby skierować aktywność młodzieży w inną stronę.

W początkach 1937 roku powstał Obóz Zjednoczenia Narodowego, organizacja mająca skupiać społeczeństwo polskie – szczególnie młodzież – chcące pracy na rzecz rozwoju kraju. OZN, zwany „Ozonem”, osiągnął umiarkowany sukces, odciągnął część radykalnej młodzieży od ONR, a przy okazji dał możliwość do oskarżeń o przygotowywanie w Polsce „nocy krótkich noży” – nacjonalistycznego zamachu stanu. Plotkę rozpuścili komuniści, później podjęli ją „użyteczni idioci” z Frontu Morges – emigracyjnego kręgu opozycyjnego popierającego generała Władysława Sikorskiego – a i dziś żyje własnym życiem (nawet w literaturze). Za komentarz tych plotek niech posłużą słowa generała Kordiana Józefa Zamorskiego, komendanta głównego Policji Państwowej. Jak wspomina, gdy Aleksandra Piłsudska przyniosła plotkę, że wyszkolił bojówki oenerowskie liczące 40 tys. ludzi: „Zapytałem ją, czy informator jej wyobraża sobie, co to jest 40 000 i ile to kosztuje”^{*}.

ONR był nielegalny, a jego aktywni działacze byli zatrzymywani przez Policję Państwową i zsyłani do obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej. Czy istnienie obozu koncentracyjnego nie świadczy o tym, że państwo jest faszystowskie? Nie zawsze, a już na pewno nie istnienie takiego obozu jak ten w Berezie. Oficjalnie było to „miejsce odosobnienia” zorganizowane w celu izolowania terrorystów związanych

^{*} Kordian Józef Zamorski, *Dzienniki (1930–1938)*, Warszawa 2011, s. 432.

z zamachem na ministra Bronisława Pierackiego. Takie ówczesne Guantanamo, tylko dużo bardziej kulturalne: przez pięć lat funkcjonowania zmarł tam jeden osadzony. Dokładnie: jeden. Bereza była wykorzystywana nie tylko do izolowania terrorystów, ale również oenerowców i podobnych radykałów, a w 1939 roku – spekulantów wykorzystujących panikę wojenną oraz osoby podejrzane o współpracę z Niemcami.

Pewną grupę stanowili również komuniści, trzeba jednak pamiętać, że akurat ich łatwo było skazać na więzienie. Otóż w statucie Komunistycznej Partii Polski – i każdej innej partii komunistycznej – zapisane było, że członek partii musi wykonywać polecenia Kominternu, a jako że Komintern był częścią sowieckiego wywiadu, każdy, kto słuchał jego poleceń – czyli każdy członek partii komunistycznej – stawał się automatycznie sowieckim szpiegiem.

Bereza Kartuska różniła się od więzienia tym, że można było tam trafić na mocy decyzji administracyjnej i tylko na trzy miesiące. Do więzienia trafiało się jedynie po wyroku sądu. Sądy – choć, jak to w Polsce, opieszale – były niezależne. Najlepszym tego przykładem jest osławiony proces brzeski, podczas którego skazano na kary więzienia kilku działaczy partii opozycyjnych. O tym, że nie była to zemsta polityczna, a sąd wydał właściwy wyrok, przekonują nas długotrwałe próby jego podważenia, czynione nawet w XXI wieku. Kasacja wyroków – podjęta z inicjatywy szerokiego kręgu posłów i z poparciem ówczesnych ministrów sprawiedliwości – jest jednak niemożliwa, chociażby z tego powodu, że sami oskarżeni przyznawali się do „nawoływania do usunięcia przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienia ich przez inne osoby”...

Spójrzmy teraz, jak wyglądało rozwiązywanie „problemów opozycji” u naszych sąsiadów. O „nocy długich noży”

w III Rzeszy już wspomnieliśmy. Ofiar było około setki, dziesiątki tysięcy trafiło do obozów koncentracyjnych. Związek Sowiecki był dużo bardziej brutalny: setki tysięcy przeciwników politycznych Stalina zostało wymordowanych, dziesiątki milionów wysłano do obozów koncentracyjnych zwanych łagrami. W Rumunii zamachy stanu odbywały się regularnie: najgroźniejszy przywódca opozycji, Horia Sima, został zastrzelony, a jego ciało zalano tonami wapna i betonu, a jako że sądy nie chciały się zająć morderstwem, zrobili to towarzysze zamordowanego, mordując premiera i innych, których uznali za współodpowiedzialnych. Nieco kulturalniej było w Czechosłowacji, rzekomo „jedynej demokracji w Europie Środkowej”: konstytucja zezwalała prezydentowi na dwie kadencje, Tomáš Masaryk był nim przez cztery, a później płynnie przekazał władzę swojemu sekretarzowi – Edvardowi Benešowi.

Za dyktatora „sanacyjnej Rzeczypospolitej” powszechnie uważa się Józefa Piłsudskiego. Trudno jednak wskazać, na czym miała polegać jego dyktatorska władza. Jego następcą został rzekomo Edward Śmigły-Rydz. Jemu poświęcimy dużo uwagi w kolejnych rozdziałach, tu pozwolimy sobie przypomnieć dekret premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, nakazujący traktowanie generalnego inspektora sił zbrojnych Edwarda Śmigłego-Rydza jako „drugiej osoby w państwie”. Mało kto jednak jest świadomy tego, że Składkowski również był oficerem, a dekret ten regulował przede wszystkim sprawy formalne, czyli to, komu oficerowie powinni salutować jako pierwszemu: premierowi czy generalnemu inspektorowi sił zbrojnych. Premier był jednak tylko dwugwiazdkowym generałem, a Śmigły-Rydz generalnym inspektorem sił zbrojnych...

II Rzeczpospolita w żadnym stopniu nie była państwem faszystowskim. To, że inwektywy tej wciąż się używa, wynika

ze skuteczności propagandy komunistycznej, naszej niepełnej wiedzy opierającej się na półprawdach i półkłamstwach oraz nieznajomości ówczesnych realiów, tak różnych od dzisiejszych. Wprost przeciwnie – w Berezie Kartuskiej siedzieli przecież nie Żydzi, ale ich potencjalni prześladowcy spod znaku ONR. Potencjalni, ponieważ bowiem bardzo wielu oenerowców w czasie niemieckiej okupacji pomagało Żydom. Robił to chociażby ich przywódca, Jan Mosdorf, który zapłacił za to życiem.

Alianci poświęcili Polskę dla swoich interesów?

Polskę rzucono na pożarcie Hitlerowi, aby Francja i Wielka Brytania miały czas na przygotowanie się do wojny. Tak samo uczyniły zresztą z innymi państwami – przede wszystkim z Czechosłowacją, zdradzoną podczas konferencji monachijskiej w 1938 roku.

Jest to kolejny mit stworzony przez propagandę sowiecką, w który wierzy znaczna część społeczeństwa. Sięga on swoimi korzeniami co najmniej do konferencji monachijskiej, ale wynika z idei walki klas: otóż wstrętni kapitaliści pogardzają klasami pracującymi i dbają tylko o swoje własne interesy. Być może rzeczywiście tak uważano w Moskwie, która za nic miała ludzkie życie i nie wahała się mordować milionów, żeby zbudować komunizm. Kapitaliści musieli być jeszcze gorsi.

Tymczasem nawet konferencja w Monachium, która doprowadziła do zajęcia przez III Rzeszę przygranicznych ziem Czechosłowacji, nie była rzuceniem tego państwa na pożarcie Niemcom. Nie była to zdrada aliantów. Dziś chętnie zapomina się o tym, że zarówno Francja, jak i Wielka Brytania namawiały Czechosłowację do stawienia oporu Niemcom

i były gotowe ją zbrojnie wspierać. Czesi sami uznali, że walka o całość państwa nie ma sensu (innego zdania byli Słowacy, którzy obawiali się, że ustępstwa wobec Niemiec sprowokują Węgrów do zaboru znacznej części Słowacji). Czesi na długo przed konferencją monachijską deklarowali chęć oddania spornych ziem III Rzeszy. Na konferencji w Monachium – można to sprawdzić, czytając nie taki długi tekst końcowego porozumienia – uregulowano jedynie kwestie techniczne: wytyczono granice i ustalono sposób przekazania tych ziem Niemcom. Co więcej, w Monachium bardzo chcieli być również Sowieci, nie zostali jednak dopuszczeni do rokowań. Był to dla nich szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż mogli rozpocząć ofensywę propagandową pt. „Czesi zostali zdradzeni przez Francuzów i Brytyjczyków”.

Taka sama ofensywa propagandowa została rozwinięta przy okazji niemieckiego (i rosyjskiego) najazdu na Polskę. Niemcom była ona na rękę. O zdradzonej Polsce można było przeczytać w prasie gadzinowej wydawanej przez obydwu okupantów. W 1940 roku niemiecki propagandzista Theo Matejko stworzył plakat, na którym ranny polski żołnierz pokazuje brytyjskiemu premierowi Chamberlainowi płonąca Warszawę, krzycząc: „Anglio! Twoje dzieło!”. Plakat ten był powszechnie publikowany w czasie okupacji i jest publikowany... również dziś. Co więcej, autorzy niniejszej książki wielokrotnie widzieli to dzieło na różnego rodzaju wystawach z okazji 1939 roku – pokazywane w dobrej wierze, bez żadnego komentarza i bez świadomości, że jest to niemiecka propaganda!

Podczas gdy niemiecka i rosyjska propaganda pokazywała Polskę jako ofiarę Francuzów i Anglików, Francuzom wmawiano niemal to samo. Bardzo podobny plakat, ze słowami „To Anglik nam to zrobił!” (*C'est l'Anglais qui nous a fait ça!*), był rozpowszechniany w okupowanej Francji.

Można zadać sobie pytanie, czy Polaków, którzy powtarzają słowa propagandy nazistowskiej i komunistycznej o zdradzie naszych sojuszników, nie należałoby pociągać do odpowiedzialności za „propagowanie ideologii totalitarnej”.

Polska nie mogła zostać poświęcona przez Francuzów z kilku przynajmniej powodów. Przede wszystkim Francja była supermocarstwem. Jej pozycja wynikała ze zobowiązań sojusznicznych wobec państw Europy Środkowej, przede wszystkim Polski, Rumunii, Jugosławii i Czechosłowacji. Po upadku Czechosłowacji – obojętne, czy zawinionej przez Paryż, czy nie – Francuzi nie mogli dopuścić do upadku kolejnego swojego sojusznika. Jej pozycja – powtórzmy – wynikała ze zobowiązań sojusznicznych. Jeśli chciała ją zachować, musiała swoje zobowiązania realizować za wszelką cenę. (Przypomina to nieco sytuację Rosji, która po porażce w wojnie z Japonią w 1905 roku dziewięć lat później za wszelką cenę musiała przyjść z pomocą Serbii – nawet ryzykując upadek państwa).

Co więcej, Francja była fundamentem porządku wersalskiego, a Polska – zwornikiem tego systemu w Europie Środkowej. Upadek Polski oznaczałby ruinę całej francuskiej polityki zagranicznej prowadzonej przez 20 lat. Francja musiała nie tylko wypełnić swoje zobowiązania sojusznicze wobec Polski, ale również zadbać o to, żeby Polska przetrwała niemieckie uderzenie. Przetrwanie Polski było bardzo istotne. Zauważmy, że pierwszą część planu Francja zrealizowała, a drugiej – nie, a wówczas odstąpili od Paryża wszyscy środkowoeuropejscy sojusznicy.

W dziejach świata można znaleźć przykłady porzucenia i zdradzenia sojusznika. Niemal wszystkie te przykłady będą dotyczyły odstąpienia przez słabszego partnera – nawet zdrada, której dopuścili się wobec Rzeczypospolitej w 1792 roku Prusacy. Przypadki, w których mocarstwo porzuca swojego

słabszego partnera, zdarzają się wyłącznie w wyniku przegranej wojny. Czemu więc sytuacja Polski w 1939 roku miałaby być wyjątkiem na skalę światową?

Rzucenie Polski na łup Niemcom było również nie do przyjęcia przez francuskich wojskowych. Samo trwanie Wojska Polskiego, nawet gdzieś daleko w błotach Polesia, wiązało ręce Niemcom, uniemożliwiało im manewr i utrudniało skierowanie całości sił przeciwko Francji. Wojsko Polskie w dobrej kondycji zapewniało sukces Paryżowi i oszczędzało życie Francuzów. Paryż z pewnością wolałby, żeby we wspólnej wojnie zginęło mniej Francuzów, nawet kosztem śmierci Polaków.

Równie ważne były pieniądze. Francuzi udzielili Rzeczypospolitej olbrzymich, bardzo nisko oprocentowanych pożyczek na rozbudowę armii. Była to zupełnie inna sytuacja niż dzisiaj, kiedy my gotowi jesteśmy płacić naszemu najważniejszemu sojusznikowi, aby dbał o bezpieczeństwo Polski. Francuzi wydawali swoje pieniądze nie po to, żeby później porzucić swojego sojusznika na pastwę Niemców i Rosjan.

A były to ogromne sumy. Wojsko Polskie, które odparło Rosjan w 1920 roku, zostało wyposażone za francuskie pieniądze (wymiar tej pomocy do dziś nie jest dokładnie znany), oficjalne podpisanie sojuszu również pociągnęło za sobą powódź francuskich kredytów, za które Polacy zbroili się przez kolejnych 15 lat. Gdy pieniądze wyczerpały się w marcu 1936 roku, Francuzi udzielili Polsce tzw. pożyczki z Rambouillet – 2,6 mld ówczesnych franków na 35 lat. Suma ta niewiele nam dziś mówi. Postarajmy się ją przybliżyć: 2,6 mld franków to niemal 700 mln złotych, a więc roczny budżet Wojska Polskiego albo jedna czwarta budżetu państwa. Nawet jeśli zabrakło czasu, aby wykorzystać całość pożyczki z Rambouillet, to finansowe zaangażowanie Francji w Polskę w ciągu 20 lat przewyższało roczny budżet Rzeczypospolitej.

Francuzi – przynajmniej ci, którzy stali na czele państwa i armii – doskonale zdawali sobie sprawę, że porażka Polski zwiastuje klęskę ich kraju. I tak się właśnie stało. Jednak francuską niechęć wobec Polaków w latach 1939–1940 łatwiej jest zrozumieć z perspektywy finansowej: „My wydaliśmy nasze pieniądze na waszą armię, uzbroiliśmy ją, zbudowaliśmy okręty waszej floty, wyposażyliśmy waszą artylerię, pomogliśmy zbudować wasze lotnictwo, a wy? Tak wiele obiecywaliście, ale nie potrafiliście wykorzystać tego, co Francja wam dała! Teraz mamy zaufać wam po raz drugi?”

Francja była najważniejszym sojusznikiem Rzeczypospolitej, Wielka Brytania stała się nim dopiero wiosną 1939 roku, po udzieleniu Polsce gwarancji bezpieczeństwa. Gwarancji jednostronnych, trudno bowiem sobie wyobrazić, że podobne gwarancje Londynowi daje Warszawa. (Chociaż wyobrażenie sobie polskiej floty walczącej w obronie Hongkongu lub Falklandów jest kuszące).

Brytyjskie gwarancje dla Polski z 31 marca 1939 roku są często przedstawiane jako... nielojalność. Genezą takich opinii jest broszura Władysława Studnickiego *Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej*, w której sugerował on, że prawdziwą intencją Londynu jest wciągnięcie Związku Sowieckiego do sojuszu antyniemieckiego, za co Sowieci zostaną wynagrodzeni wschodnimi województwami Polski. Rozmowy brytyjsko-sowieckie z 1939 roku wykazały w sposób oczywisty, że Studnicki się mylił, ale jego publikacja – niezauważona w momencie wydania – została odkryta po wojnie i rozumiana zupełnie na opak.

Studnicki, drobny urzędnik państwowy o olbrzymich ambicjach politycznych i pewnych zdolnościach literackich, przede wszystkim był germanofilem – zarówno w czasie I wojny światowej, co można zrozumieć, jak i podczas tej

drugiej, czego zrozumieć się nie da. Był jedynym germanofilem w Polsce, więc jego elukubracjom poświęcono wiele uwagi. Po wojnie zauważono, że już w 1939 roku „przewidział” fakt, że w 1945 roku Związek Sowiecki dokona zaboru wschodnich ziem Polski. To, że pisał o zupełnie innej sytuacji politycznej, nie ma większego znaczenia, skoro jego twórczość znana jest niemal wyłącznie z omówień.

Brytyjskie gwarancje dla Polski zostały dane w chwili, gdy konflikt polsko-niemiecki był już w pełnym toku. Niemcy wykorzystali je jako pretekst do zerwania paktu o nieagresji z Rzeczpospolitą. Można sobie jednak zadać pytanie – i od razu na nie odpowiedzieć – co jest lepszym rozwiązaniem dla państwa skonfliktowanego z sąsiadem: izolacja czy sojusznicy?

Po klęsce Francji w 1940 roku i w obliczu zdecydowanego oporu samotnej Wielkiej Brytanii w latach 1940–1941 może się wydawać, że Paryż był bierny wobec III Rzeszy, a stanowczość okazywał jedynie Londyn. Nie jest to prawda. Francuzi faktycznie, z różnych powodów, byli bierni wobec III Rzeszy, ale Brytyjczycy przez długi czas sprawami Europy nie zajmowali się wcale. Skupili się na nich dopiero po anszlusie, dlatego że włączenie Austrii do III Rzeszy było sygnałem nawiązania współpracy Niemców z Włochami. A to Włosi – z ich posiadłościami kolonialnymi i potężną marynarką wojenną – stanowili zagrożenie dla Imperium Brytyjskiego.

Wszyscy w Europie zdawali sobie sprawę, że Wielka Brytania nie ma armii lądowej. W chwili wybuchu I wojny światowej do Francji popłynęło wszystkich pięć brytyjskich dywizji, a dopiero wiosną 1915 roku Anglicy zbudowali odpowiedni potencjał lądowy. Wiadomo było, że dokładnie tak samo będzie wyglądała kolejna europejska wojna z udziałem Wielkiej Brytanii. Polacy zostali o tym oficjalnie poinformowani

podczas rozmów sztabowych w maju 1939 roku, ale nie miało to większego znaczenia, gdyż siłą Londynu były Królewska Marynarka, imperium kolonialne i kontrolowanie światowego handlu. W Warszawie doskonale zdawano sobie sprawę, że nie można oczekiwać od Brytyjczyków żadnej pomocy zbrojnej.

Wielka Brytania – od chwili powstania – toczy bowiem wojny inaczej niż państwa europejskie. W Europie prowadzi się wojnę bezpośrednią – armia spotyka się z armią, rozgrywa serię bitew, rozstrzyga się kampanię jedną i drugą, a wynik tych zmagających decyduje o kształcie porozumienia pokojowego. Brytyjczycy – chociażby z powodów swojego wyspiarskiego położenia – korzystają z działań pośrednich. Izolują przeciwnika, odcinają go od światowego handlu, wyczerpują desantami, organizują sojusze i doprowadzają – niemal zawsze – do kapitulacji wroga. Bezpośrednie działania lądowe mają charakter peryferyjny (oficjalna nazwa takiej strategii to właśnie „działania peryferyjne”). Królewska Marynarka Wojenna panuje nad morzami i pozwala brytyjskiej armii na przeprowadzenie desantu na skraju kontynentu – dajmy na to w Dardanelach, w Narwiku, na Sycylii czy w Normandii. Jeśli desant powiedzie się – otwiera się nowy front. Jeśli desant się nie uda – następuje ewakuacja, a następnie szuka się szczęścia gdzie indziej.

Brytyjski zwyczaj prowadzenia wojny lądowej odbiega tak znacznie od europejskiego, że jest niezrozumiały i podatny na krytykę. „Jak to może być, że my – Europejczycy – bronimy się do ostatniej kropli krwi, a wy – Brytyjczycy – wsiadacie na okręty i uciekacie!” Stąd już niewiele potrzeba, żeby oskarżyć Londyn o „walkę do ostatniej kropli krwi swoich sojuszników”, o ich porzucenie, a nawet o zdradę. Zapomina się przy tym, że Wielka Brytania wygrywa niemal wszystkie wojny, a w razie potrzeby nie szczędzi krwi swoich obywateli.

Toteż w Warszawie w 1939 roku wszyscy w rządzie i w wojsku zdawali sobie sprawę, jak będzie wyglądała brytyjska pomoc. Zaskoczeni tym mogli być jedynie czytelnicy broszur Studnickiego (bo sam Studnicki, pomimo wszystkich swoich ograniczeń, chyba zdawał sobie z tego sprawę).

Jak więc w Warszawie wyobrażano sobie przebieg przyszłej wojny? Niemcy uderzają na Polskę. Bitwa graniczna trwa dwa tygodnie, potem następuje – biorąc pod uwagę doświadczenia wojen toczonych w latach 30. – powolny odwrót w stronę Wisły. Po dwóch–trzech tygodniach Francuzi uderzają nad Renem. Niezależnie od wyniku francuskiego uderzenia Niemcy muszą skierować większość swoich sił na zachód. Wojsko Polskie odbudowuje swoje siły, korzystając z posiadanych zapasów i dostaw płynących przez Rumunię i być może przez Związek Sowiecki. Wielka Brytania odcina morskie szlaki prowadzące do Niemiec – także przez zajęcie neutralnych portów Norwegii – i rozpoczyna bombardowania lotnicze. Jednocześnie toczą się negocjacje z sąsiadami III Rzeszy – Belgią, Jugosławią, Węgrami – w sprawie ich udziału w krucjacie antyhitlerowskiej. Jeśli Francuzom poszczęściło się w wojnie lądowej, Zagłębie Ruhry – niemiecki arsenał – zostało już zajęte, Berlin jest zagrożony, a Polacy wypierają Wehrmacht z Polski. Być może Niemcy proszą o pokój jeszcze przed Bożym Narodzeniem, a jeśli nie, to po Wielkiejnocy następuje koncentryczne uderzenie połączonych armii Francji, Polski, Wielkiej Brytanii, Jugosławii, wspartych kontyngentami z Rumunii, Turcji i Grecji. Latem 1940 roku wojna w Europie kończy się porażką Niemiec.

Wojna skończyła się dopiero w 1945 roku – katastrofalną klęską Niemiec. Gdyby jednak w Berlinie nie rządili szaleńcy, do wojny w ogóle by nie doszło.

Umierać za Gdańsk

Najważniejszą przyczyną wybuchu wojny były niemieckie roszczenia terytorialne wobec Rzeczypospolitej. Gdyby Polacy zgodzili się na te żądania – przekazanie Gdańska i zbudowanie eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Pomorze – do wojny by nie doszło.

Po I wojnie światowej zdecydowano, że zostanie odbudowana Polska z dostępem do morza. Nie ma co się doszukiwać tutaj humanitaryzmu czy wielkoduszności zachodnich polityków – „wolny i nieskrępowany” dostęp do morza potrzebny był po to, żeby Polska nie była uzależniona gospodarczo od Niemiec.

W początkach 1919 roku Rzeczypospolitej miał zostać zwrócony Gdańsk, ale jego mieszkańcy zaprotestowali tak gwałtownie, że ententa musiała uznać ich prawo do samostanowienia i w traktacie wersalskim postanowiła pozostawić to miasto poza polskim terytorium. Polska uzyskała w mieście specjalne prawa związane z gospodarką i tranzytem, a miasto wyłączono z Rzeszy i podporządkowano Lidze Narodów. W ten sposób powstało Wolne Miasto Gdańsk. Miało ono dużo cech samodzielnego państwa, ale niejako *post factum* zadecydowano, że jednak państwem nie było: w 1990 roku,

gdy jednoczono dwa państwa niemieckie, zrzekły się one swojego terytorium położonego na wschód od Odry. Decyzja nie dotyczyła Wolnego Miasta Gdańska. Uznano wówczas, że nie było to państwo, więc Polska mogła je sobie samodzielnie anektować (co formalnie uczyniła kilkakrotnie: w 1939, 1945 i 1949).

Wolne Miasto Gdańsk miało niemal 2 tys. km² powierzchni, na których żyło około 400 tys. mieszkańców. Połowa z nich mieszkała w Gdańsku, niewielka część w Sopocie, a reszta na rolniczych Żuławach. Większość ludności stanowili Niemcy, Polaków było niewielu. Statystyki niemieckie wskazywały, że ponad 95% obywateli WMG używało języka niemieckiego. Polacy twierdzili, że trzecią część mieszkańców Wolnego Miasta stanowią katolicy, więc Polaków jest tam dużo. Jedno nie wyklucza drugiego: polscy mieszkańcy Gdańska mogli używać języka niemieckiego. Interesująca była geografia polskości: w Sopocie Polaków mogło być nawet 30%, w Gdańsku i okolicach – 15%, a na Żuławach – prawie w ogóle ich nie było. Językiem urzędowym był niemiecki, lecz dokumenty wysyłane do Polaków i Kaszubów były tłumaczone na polski.

Wolne Miasto Gdańsk popęliło w latach 20. i 30. widowiskowe samobójstwo. Jego niemieckojęzyczni obywatele postanowili na wszelkie sposoby zwalczać polskie prawa i utrudniać korzystanie z portu. Niczego jednak nie osiągnęli, bo Rzeczpospolita miała prawo reagować siłą i robiła to: w 1927 roku wprowadziła kompanię wartowniczą na Westerplatte, a w 1932 dywizjon kontrtorpedowców wpłynął do portu i zagroził ostrzelaniem miasta. Niemieccy gdańszczanie nie byli w stanie pojąć, że bogactwo ich miasta zależy od polskiego handlu. Polacy, zniechęceni postawą gdańszczan, zbudowali więc własny port w Gdyni. To doprowadziło do upadku gospodarczego Gdańska, po którym nastąpił kryzys

demograficzny (z miasta wyjechało 50 tys. Niemców), a potem – upadek polityczny. Zrujnowani i bezrobotni mieszkańcy masowo poparli partię NSDAP. Czyż można upaść niżej?

Można, gdyż miłość gdańszczan do Adolfa Hitlera nie została odwzajemniona. On był Austriakiem, myślał w kategoriach naddunajskich, mało dbał o Bałtyk i o junkrów z Prus Wschodnich. Konflikt z Polską był mu nie na rękę, więc w 1934 roku – po podpisaniu paktu o nieagresji – kazał zamknąć usta wszystkim wrogom Polski. W prasie niemieckiej nie ukazywały się żadne artykuły wrogie Rzeczypospolitej, a sprawy mniejszości niemieckiej w Polsce czy problemy Gdańska były poza zainteresowaniem rządu w Berlinie. Do czasu.

W samym końcu 1938 roku polski ambasador w Berlinie Józef Lipski zawiadomił swojego zwierzchnika, ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, że Hitler chce z nim przedyskutować kwestię „wyrównania stosunków” pomiędzy oboma krajami. 4 stycznia 1939 roku Beck odwiedził Hitlera w Obersalzbergu, a po powrocie do kraju zawiadomił prezydenta Ignacego Mościckiego i generalnego inspektora sił zbrojnych marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, że Polsce grozi wojna. Hitler podjął bowiem temat przyłączenia do III Rzeszy Wolnego Miasta Gdańska i wybudowania na Pomorzu eksterytorialnej autostrady łączącej Prusy Wschodnie z Berlinem.

Minister Beck wiedział, że „obiekty te są jedynie pretekstem”, a „jeśli Niemcy będą podtrzymywać nacisk w sprawach dla nich drugorzędnych jak Gdańsk i autostrada, to nie można mieć złudzeń, że grozi nam konflikt w wielkim stylu”^{*}.

^{*} Józef Beck, *Wspomnienia o polskiej polityce zagranicznej 1926–1939*, Warszawa–Kraków 2015, s. 218.

Dlaczego nazwał Gdańsk i autostradę eksterytorialną „sprawami drugorzędnymi” i „pretekstem”?

Bo tym właśnie były.

Autostrada, o której wspomina minister Beck, miała łączyć Prusy Wschodnie z Berlinem ponad polskim Pomorzem. Miała być jednak eksterytorialna, czyli wyłączona z polskiego terytorium. Był to pomysł, który pojawił się już w latach 20., w Lidze Narodów, która zaaprobowwała podobne rozwiązania, chociażby na granicy belgijsko-niemieckiej. Koncept ten był rozważany przez Polaków, a gdy III Rzesza ogłosiła w 1934 roku wielki plan budowania autostrad, taką możliwość zasugerowano nawet Niemcom. Projekt zakładał zbudowanie autostrady na estakadzie. Dzięki temu Polacy w każdej chwili mogliby ją wysadzić w powietrze i uczynić niezdolną do przejazdów. Takie przedsięwzięcie dałoby również zatrudnienie dziesiątkom tysięcy bezrobotnych i impuls polskiemu przemysłowi wydobywczemu i chemicznemu. We wrześniu 1935 roku do Warszawy przybył nawet generalny inspektor budowy autostrad Fritz Todt, dowiedział się jednak, że sprawa jest już nieaktualna. W grę wchodziły oczywiście polskie ambicje, ale również czysty pragmatyzm: stosunki polsko-niemieckie były już wtedy poprawne i nic nie stało na przeszkodzie, żeby Niemcy korzystali z polskiego tranzytu. Był to również specyficzny papierek lakmusowy niemieckich intencji, jak się okazało – bardzo skuteczny.

Sprawa oddania Wolnego Miasta Gdańska Niemcom nie była również niczym innym niż papierkiem lakmusowym. Jego wartość gospodarcza była – po zbudowaniu portu w Gdyni – mało istotna. Gdańsk miał pewną wartość militarną, ale nie miał znaczenia ani strategicznego, ani nawet operacyjnego, a jedynie taktyczne. Polscy sztabowcy wiedzieli, że aby bronić Gdyni, należy zająć stanowiska obronne

w Sopocie, co uniemożliwiłoby ostrzeliwanie portu z artylerii polowej. Ale nawet to znaczenie taktyczne było jedynie iluzoryczne: w razie wojny przeciwko Niemcom Polacy nie zamierzali zamieniać Gdyni w twierdzę i z góry godzili się z jej utratą.

Najważniejsze jednak jest to, że Polska nie mogła oddać Wolnego Miasta Gdańska Niemcom, bo Wolne Miasto Gdańsk... nie należało przecież do Polski. Było wspólną własnością Francji, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Włoch i Japonii, to właśnie bowiem na rzecz tych państw – artykułem nr 100 traktatu wersalskiego – Niemcy rzekły się Gdańska. Mocarstwa te realizowały swoją władzę poprzez Ligę Narodów, a własną wolę polityczną wyrażali również sami obywatele WMG w miejscowym parlamencie, czyli Volkstagu (Senat WMG – wbrew nazwie – był władzą wykonawczą).

Wymuszenie zgody na eksterytorialną autostradę łączącą Prusy Wschodnie z Berlinem PONAD terytorium Polski miało upokorzyć Rzeczpospolitą, natomiast zgoda Warszawy na włączenie Gdańska do III Rzeszy stanowiłaby sygnał zerwania przez Polskę z Ligą Narodów i z mocarstwami sojusznicznymi – przede wszystkim z Francją i Wielką Brytanią. Tylko tyle i aż tyle. Doskonale rozumiał to Józef Beck, który wiedział też, jakie były prawdziwe cele niemieckie.

Czego więc naprawdę chcieli Niemcy od Polski?

Niemiecka „przestrzeń życiowa”

Główną przyczyną agresywnej polityki III Rzeszy Adolfa Hitlera była walka o przestrzeń życiową dla narodu niemieckiego, czyli *Lebensraum*. Wystarczającym na to dowodem są niemieckie podboje bezpośrednio przed II wojną światową oraz w jej trakcie.

Lebensraum – termin wprowadzony w 1897 roku przez antropologa, geografa i biologa prof. Oscara Peschela – rzeczywiście miał usprawiedliwiać niemieckie podboje, ale podboje kolonialne. Był wykorzystywany – a i to nie bez wątpliwości – do uzasadnienia celów I wojny światowej, ale po niej pozostał pustym sloganem.

Niemców w 1919 roku zmuszono do podpisania traktatu wersalskiego. Utracili wówczas kolonie i niektóre prowincje, musieli też zapłacić olbrzymie odszkodowania wojenne. Dlatego niemal wszystkie niemieckie partie polityczne nawoływały do zbrojnego rewanzu – odbudowania silnej armii i odzyskania utraconych ziem. Paradoksalnie naziści, najbardziej kojarzeni z ideologią rewanzystowską, nie nawoływali do wojny. NSDAP Adolfa Hitlera, jako partia robotnicza, głosiła,

że drogą do odzyskania znaczenia jest wytężona praca i rozwój ekonomiczny. Dzięki temu odniosła sukces polityczny. Wyborcy, zmęczeni propagandą nawołującą do kolejnej wojny, głosowali na tych, którzy do niej nie dążyli – na nazistów.

Co więcej, III Rzesza, zamiast dążyć do wzmocnienia niemieckich mniejszości w ościennych państwach, dążyła do sprowadzenia „zagranicznych” Niemców do kraju. Na podstawie umów międzynarodowych do Rzeszy musieli powrócić Niemcy z Włoch, Estonii, Łotwy, Litwy, Rumunii i Węgier, a przymus jest tu dość istotnym czynnikiem. I wracali, czy tego chcieli, czy nie. Większość niemieckich „kolonistów” osiedlanych w czasie okupacji w polskich wsiach to właśnie tacy Bogu ducha winni nieszczęśnicy, zmuszeni do porzucenia grobów swoich przodków i opuszczenia ojcowizn, na których mieszkali od setek lat. „Wstrętny niemiecki kolonista” zasiedlający odebrane Polakom gospodarstwa na Zamojszczyźnie był ofiarą czystki etnicznej – biednym chłopem wyrwanym ze swej niemieckiej wsi w Siedmiogrodzie i rzuconym do wrogiego kraju, w którym strzelali do niego zarówno Polacy (bo chciał zabrać to, co polskie), jak i esesmani (bo nie wykazywał dość entuzjazmu w rabunku tego, co nie jego).

Oczywiście można zadać sobie pytanie, skąd Niemcy wzięli się na Zamojszczyźnie, ale odpowiedź nie będzie miała wiele wspólnego z *Lebensraum*, tylko z niekorzystnym przebiegiem II wojny światowej, paktem Ribbentrop–Mołotow i bezmyślnymi ambicjami kowieńskich Litwinów, które spowodowały, że Zamojszczyzna – mająca być łupem Związku Sowieckiego – została wymieniona na Republikę Litewską.

Skoro więc Niemcom nie zależało ani na Gdańsku, ani na eksterytorialnej autostradzie nad Pomorzem, ani na „przestrzeni życiowej”, to czego tak naprawdę chcieli od Polski w 1939 roku?

Najtrafniejszą odpowiedzią jest, że chcieli popełnić zbiorowe samobójstwo, wywołując wojnę z całym światem. Niestety, jedynie nieliczni z nich mieli tego świadomość. Niemieckie władze, czyli Niemiecka Narodowosocjalistyczna Partia Pracy, widziały sprawę inaczej – potrzebowały Polski do rewizji traktatu wersalskiego.

To, że NSDAP w początkach lat 30. XX wieku nie chciała zbrojnego rewidowania Wersalu, nie oznacza, że był to pogląd stały i niezmienny. W czerwcu 1934 roku podczas „nocy długich noży” wymordowano lewicowe skrzydło nazistów. To umożliwiło porozumienie pozostałych narodowych socjalistów z wojskiem i przemysłowcami. Ceną za poparcie polityczne była zgoda na odbudowę armii, a co za tym idzie – olbrzymie państwowe zamówienia w zakładach przemysłu zbrojeniowego. Wojna – na razie jako ostateczność – zaczęła być w Berlinie akceptowana.

NSDAP chciała odbudować moc i chwałę Rzeszy Niemieckiej ciężką pracą i rozbudową gospodarki. Okazało się to jednak bardzo trudne. Na przeszkodzie stały ustalenia traktatu wersalskiego, a raczej cały „system wersalski” zbudowany po 1919 roku.

Częściowo system ten rozmontowano już we wcześniejszych latach. W 1932 roku zrezygnowano z odszkodowań wojennych. Niemcy zapłacili około 15% z narzuconych 132 mld marek w złocie (czyli 500 mld dzisiejszych dolarów). Wciąż jednak musieli spłacać pożyczki zaciągnięte na kontrybucję (zakończyli spłatę 3 października 2010 roku). W 1935 roku III Rzesza jednostronnie zerwała klauzule rozbrojenio- we i utworzyła Wehrmacht – masową armię z poboru, której częścią była Luftwaffe, czyli siły powietrzne. Niemiecką marynarkę wojenną (Kriegsmarine) rozbudowano powyżej ustaleń wersalskich, zostało to jednak zaakceptowane przez

Brytyjczyków. Wehrmacht wkroczył do zdemilitaryzowanej Nadrenii, nastąpił anszlus Austrii, jesienią 1938 roku anektowano przygraniczne ziemie Czechosłowacji.

Do tego momentu znaczna część światowej opinii publicznej uważała niemieckie posunięcia za usprawiedliwione. Traktat wersalski uznawano za zbyt surowy, klauzule gospodarcze – za zbyt restrykcyjne, utratę Austrii i Sudetów – za nieprzystające do zasady samostanowienia narodów, a przymusowe rozbrojenie – za krzywdzące.

Zabór Sudetów był sygnałem, że Niemcy przekroczyły granice chciwości, a system wersalski stoi na skraju załamania. Dotychczas bowiem armia francuska – z pomocą floty brytyjskiej i sił zbrojnych Polski i Czechosłowacji – miała znaczną przewagę nad Niemcami i nie musiała się ich obawiać. Gdy niemal 20 czechosłowackich dywizji wypadło z tego równania, a nawet formalnie przeszło na niemiecką stronę, przewaga stopniała. Brytyjczycy zareagowali natychmiast, znajdując fundusze na sformowanie „brakujących” dywizji, ich organizacja wymagała jednak czasu.

Państwa totalitarne są niebezpieczne, ponieważ działają irracjonalnie. Państwa demokratyczne są dużo bardziej rozsądne. Wynika to z możliwości – lub braku – weryfikowania decyzji przywódców państwowych. W państwie demokratycznym pozycja polityka zależy od zaufania wyborców, wspartych opinią autorytetów naukowych i moralnych. W państwie totalitarnym zależy ona wyłącznie od widzimisię wodza, układów koleżeńskich i łapówek płaconych na różne sposoby. Autorytety moralne można osadzić w obozie koncentracyjnym, a autorytety naukowe – wygnać z kraju.

Władze III Rzeszy obawiały się napaści sąsiadów. Nie zwracały uwagi ani na to, że Francja rozbudowała obronną linię Maginota, ani na to, że państwa demokratyczne nie

rozpoczynają wojen przeciwko swoim europejskim sąsiadom. W Berlinie postanowiono zneutralizować zagrożenie wojenne. Za wszelką cenę, nawet za cenę wojny. Oczywiście rozwiązaniem najkorzystniejszym dla Niemców byłaby likwidacja systemu sojuszy stworzonych przez Francję i doprowadzenie do jej politycznego osamotnienia.

Kluczowym elementem była Rzeczpospolita. Nie tylko miała najpotężniejsze siły zbrojne w Europie Środkowej, ale była również politycznym zwornikiem w tej części kontynentu. Bez wsparcia Warszawy Rumunia, kolejna sojuszniczka Francuzów, nie miałaby szans na odparcie agresji Związku Sowieckiego. Gdyby zatem Niemcom udało się przekonać Polskę do porzucenia Paryża i związania się z Berlinem, do tego obozu przeszłaby również Rumunia. Podążyłyby za Polską również państwa bałtyckie związane z Wielką Brytanią: Łotwa oraz Estonia, a może i Finlandia. Przejście Rumunii na stronę niemiecką dawałoby Berlinowi możliwości wpływania na Bałkany – przede wszystkim na Jugosławię, również związaną z Francją. Gdyby tylko Polska zerwała sojusz z Francją i związała się z Niemcami, cały system wersalski w Europie Środkowej runąłby niczym domek z kart.

To nie abstrakcyjny *Lebensraum*, nie Gdańsk i nie eksterytorialna autostrada nad Pomorzem były stawką w grze, tylko Polska. Berlinowi zależało na tym, żeby ograniczyła ona swoje stosunki z Francją, a zintensyfikowała z Niemcami. Dlatego też najważniejszą propozycją złożoną Polakom było przedłużenie paktu o nieagresji na 25 lat oraz rozszerzenie go o klauzulę o wzajemnym konsultowaniu polityki zagranicznej.

Warto zwrócić uwagę, że sojusze rzadko noszą taką właśnie nazwę i z reguły ukryte są pod jakimś abstrakcyjnym mianem. Na przykład sojusz pomiędzy Polską a Francją nosił nazwę „Umowy francusko-polskiej”, po której podpisaniu

następowały porozumienia gospodarcze i wojskowe. Z kolei pakt o nieagresji z Niemcami oficjalnie nazywał się „Deklaracja polsko-niemiecką o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934”.

Umowa obowiązująca 25 lat oznaczała najdłuższą z możliwych perspektyw czasowych. Po 25 latach, w 1964 roku, mało który z jej sygnatariuszy byłby jeszcze aktywny w polityce. W 1939 roku Polacy mieli więc podjąć decyzję dla przyszłych pokoleń, czy zawrzeć wieczystą umowę o sojuszu polsko-niemieckim.

Przedłużony na 25 lat pakt o nieagresji byłby bowiem – co oczywiste – sojuszem. Co więcej, sojuszem nierównoprawnym. Świadczy o tym naleganie Niemców na zawarcie w nowej umowie klauzuli o wzajemnym konsultowaniu polityki zagranicznej. Klauzula taka jest spotykana w porozumieniach międzypaństwowych, ale występuje w nich jako jeden z elementów świadczących o zaufaniu pomiędzy „wysokimi umawiającymi się stronami”, a nie jako główny postulat. Bardzo łatwo można wyobrazić sobie, jak wyglądałyby „wzajemne” konsultacje pomiędzy Niemcami a we wszystkim od nich zależną Polską.

Podpisanie sojuszu z III Rzeszą i zerwanie z Ligą Narodów i Francją oznaczałoby gospodarcze, wojskowe i polityczne uzależnienie Rzeczypospolitej od Niemiec. O tym, jak duża byłaby ta zależność, wspomnimy w jednym z kolejnych rozdziałów.

Czy sojusz polsko-niemiecki był rozważany przez władze Rzeczypospolitej?

Władze polskie rozważały przyjęcie niemieckich propozycji i mogło się zdarzyć tak, że w 1939 roku Rzeczpospolita Polska stałaby się sojusznikiem Rzeszy Niemieckiej.

Mit ten narodził się stosunkowo niedawno, już w III Rzeczypospolitej. Pytanie, jak potoczyłyby się losy Polski, gdyby zgodziła się ona na niemieckie propozycje, z pewnością nurtowało historyków już od dawna, jednak w czasach PRL obowiązywała doktryna determinizmu i nie można było zajmować się historią alternatywną. Po upadku komunizmu powrócono więc do tych rozważań. Z tego względu pomysł współpracy polsko-niemieckiej przeciw ZSRS zyskał na wiarygodności: można odnieść wrażenie, że wynika on ze swobody badawczej nieskrępowanej przez totalitaryzm i wytyczne cenzury.

Uwadze autorów i czytelników umyka jednak jedna – ale bardzo istotna – rzecz: nikt w Warszawie nie rozważał takiego scenariusza!

Historia alternatywna jest specyficznym narzędziem, pozwalającym lepiej opisać przeszłość. Zadanie pytania: „Co by

było, gdyby...?” umożliwia ocenę postępowania najważniejszych graczy. Historię alternatywną należy uprawiać jednak zgodnie z zasadami, z których najważniejsza dotyczy... realizmu. Jeśli w grę wchodzi wydarzenie nierealne – lądowanie kosmitów, użycie bomby atomowej w bitwie pod Grunwaldem czy przyjęcie propozycji Hitlera w roku 1939 – nie mamy do czynienia z historią, lecz z baśnią.

Racją stanu Rzeczypospolitej było zachowanie suwerenności. Sensem istnienia niepodległej Polski – od roku 1918 – była obrona niezależności państwowej. Polscy politycy i wojskowi – a także większa część społeczeństwa – pracowali tylko i wyłącznie nad osiągnięciem jednego celu: utrzymaniem suwerenności. Czynili tak przez wszystkie lata niepodległości, a wielu z istotnych aktorów sceny politycznej i wojskowej walczyło o nią wiele lat przed 1918 rokiem. To, że do osiągnięcia tego celu trzeba będzie stoczyć wojnę, było całkowicie zrozumiałe i akceptowane – przez polskich polityków, wojskowych, a także większą część społeczeństwa.

Dziś żyjemy w zupełnie innych czasach: pokoju i – w miarę powszechnej – szczęśliwości. Przeszłość oceniamy, wiedząc o tym, jak potoczyły się losy świata, zapominamy natomiast o ówczesnych realiach. Jeśli tak robimy, popełniamy błąd anachronizmu – wnioskowania niedopasowanego do ówczesnego świata.

Przyjęcie niemieckich propozycji oznaczało rezygnację z suwerenności, bankructwo idei stojących u podstaw bytu Rzeczypospolitej. Nikt takiej możliwości w 1939 roku nie rozważał.

Sojusz z Niemcami byłby korzystny dla Polski?

Sojusz z Hitlerem byłby korzystny dla Polski. Nie doszłoby wówczas do wojny, a jeśli nawet, to Niemcy – wspólnie z Polską – zdolaliby pokonać wszystkich przeciwników. Nie doszłoby również do Holocaustu, a cała historia miałaby szczęśliwe zakończenie.

Z podobnymi twierdzeniami można się często spotkać, nawet u bardzo poważnych historyków. Wynikają one z błędnych przesłanek. Rozważanie alternatywnych możliwości historycznych jest bardzo istotnym narzędziem badawczym, ponieważ pozwala ocenić, czy podjęte decyzje były słuszne. W Polsce jednak przez wiele lat nie prowadzono takich rozważań. Dlaczego? Ponieważ polscy historycy byli – i wciąż są – kształceni według zasad determinizmu historycznego, w którym nie ma miejsca na żadną alternatywę. Historia alternatywna była oficjalnie znienawidzona i zakazana, a nieoficjalnie – wyśmiewana. Polska nauka nie rozwinęła więc zasad dotyczących uprawiania historii alternatywnej i mało kto przyswoił je sobie, korzystając z materiałów zagranicznych.

Podstawową zasadą jest zakaz przyjmowania tej alternatywy historycznej, która najbardziej pasuje do postawionej tezy. Spójrzmy zatem, jak wygląda alternatywny świat stworzony przez zwolenników układu Ribbentrop–Beck. Sojusz polsko-niemiecki zostaje podpisany, Niemcy przestrzegają jego litery, Polacy chronią swoich Żydów i nie dopuszczają do Holocaustu, następnie wszyscy Europejczycy na czele z III Rzeszą i Rzeczpospolitą uderzają na Związek Sowiecki, który uwalniają od zbrodniczego komunizmu. Wykorzystanie potencjału gospodarczego całej Europy pozwala osiągnąć – być może wykute w wojnie – porozumienie z Francją i Wielką Brytanią. Ostatnim aktem jest śmierć Adolfa Hitlera, po której nadchodzi czas demokratyzacji Europy, pokoju na świecie, Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatnio.

Taka wizja jest kusząca, nieprawdą?

Tylko że prawdopodobieństwo jej zaistnienia jest bardzo niewielkie. Teraz bowiem pojawia się kolejna zasada historii alternatywnej: szukania analogii i porównań. Niestety nasza wiedza jest tu nikła, ponieważ w Polsce niemal nie prowadzi się badań porównawczych. Nie wiemy więc, jakie były losy państw, które związały się z III Rzeszą, i nie znamy analogii. Wreszcie apologeci sojuszu z Hitlerem nie przejmują się nieistotnymi szczegółami technicznymi. Zaczniemy więc od tych szczegółów.

Załóżmy, że Polska zgadza się na warunki Niemiec. Pozwala zbudować eksterytorialną autostradę nad Pomorzem, zgadza się na powrót Gdańska do Rzeszy i przedłuża pakt o nieagresji na 25 lat. Jest to w istocie układ sojuszniczy, po którym następują inne porozumienia – najpierw gospodarcze. Wymusza je chociażby wspólna budowa autostrady i uregulowanie polskiej własności w Gdańsku. Na Pomorzu maleje bezrobocie, Gdynia kwitnie i promienieje, a węgiel ze Śląska

wraca na niemieckie rynki zbytu. Jednak oddanie Gdańska jest policzkiem wymierzonym Lidze Narodów i Francuzom. Sojusz polsko-francuski zostaje zerwany i Rzeczpospolita nie ma już możliwości manewru dyplomatycznego. Staje się państwem samotnym i zdanym wyłącznie na Niemców.

Następuje również ekonomiczne trzęsienie ziemi. Polska, o czym chętnie się zapomina, jest zadłużona we Francji po uszy. Za francuską pożyczkę wybudowano przecież magistralę kolejową Śląsk–Gdynia i sfinansowano wiele inwestycji. Niektóre były mniejsze, inne większe, niektóre dotyczyły skarbu państwa, inne kas komunalnych, kolejne prywatnych portfeli. W 1936 roku Francuzi udzielili Polsce olbrzymiego kredytu na dozbrojenie wojska. Wiedzieli, że zostanie on wykorzystany do wzmocnienia polskiej samodzielności i obronności, akceptowali więc powolną spłatę, a w grę wchodziło również umorzenie długów. (Największy okręt Polskiej Marynarki Wojennej – ORP Gryf – był jednocześnie okrętem najtańszym, ponieważ zbudowanym za niespłacony do dziś kredyt francuski). Teraz domagają się natychmiastowej spłaty długów, zrywają umowy handlowe, zarówno importowe, jak i eksportowe.

To jest cios dla Warszawy, a dla Niemców – kolejna okazja do zacieśnienia sojuszu. Po umowach politycznych i ekonomicznych Polska zmuszona jest podpisać umowy wojskowe. Wojsko Polskie opiera bowiem swoje uzbrojenie – i wyposażenie – na sprzęcie francuskim i brytyjskim. Mamy broń pochodzącą z innych krajów, dysponujemy pewnymi – nawet dość znacznymi – możliwościami produkcyjnymi, ale współpraca z Zachodem jest nam potrzebna. Bez francuskich stopów nie powstaną działa, a bez brytyjskich silników nie będziemy mogli produkować samolotów. Diabeł tkwi w szczegółach: w kompozycji olejów smarnych, w dostawach kauczuku czy tetraetylołowiu, potrzebnego do wzbogacania

paliwa. Wojsko Polskie gwałtownie i szybko traci zdolność bojową, więc silna armia – niegdyś najważniejszy argument w kontaktach z Niemcami – staje się balastem.

Niemcy udzielają jednak Polakom pomocy wojskowej i udostępniają swoje wyposażenie. Ale nie za darmo. Musimy za to płacić – tak jak poprzednio Francuzom. Być może Wojsko Polskie odzyska swoją wartość bojową, ale za bardzo wysoką – podwójną – cenę. Zmiany będą musiały być bardzo głębokie – w samym lotnictwie nie tylko silniki budowano według standardów brytyjskich, ale nawet narzędzia, dzięki którym utrzymywano samoloty w gotowości bojowej.

Wraz z niemieckim sprzętem do Polski trafią również niemieccy instruktorzy i doradcy (tak jak po 1918 roku trafili tu Francuzi). Część z nich pomoże w utrzymywaniu gotowości wojsk, inni przetłumaczą niemieckie instrukcje dotyczące niemieckiego sprzętu na język polski, a jeszcze inni – już w stopniach generalskich – powiedzą polskim dowódcom, jak skutecznie ten sprzęt wykorzystywać. I całkowicie zmienią sposób funkcjonowania polskich sztabów – mających przecież francuski styl pracy, bardzo różny od niemieckiego.

Po kilku latach od podpisania politycznego paktu Ribbentrop–Beck polska gospodarka byłaby więc zrujnowana i zależna od Niemiec, a Wojsko Polskie... zrujnowane i zależne od Niemiec. I nie jest to tylko przypuszczenie, ale pewnik. Dokładnie tak samo wyglądały bowiem dzieje Rumunii, która w 1940 roku porzuciła Francję i została sojusznikiem Niemców. Została zrujnowana gospodarczo, a jej armia musiała zostać całkowicie przebrojona i przebudowana. Ze słabą armią i słabą gospodarką jej pozycja polityczna była niska.

Czytelnicy mogą zatem samodzielnie zastanowić się, jaka byłaby w tej sytuacji pozycja negocjacyjna Rzeczypospolitej i jak mogłaby ona odpowiadać na żądania niemieckie. Może

wyższa niż Rumunii – byliśmy większym państwem, a może niższa – nie mieliśmy tak dużo ropy. Być może Niemcy nie stawialiby żadnych żądań, w końcu Hitler był Austriakiem zapatrzonym w kraje naddunajskie i nie interesował się wschodniopruskimi piaskami i pomorskimi borami.

I znów faktyczne wojenne postępowanie Niemców wskazuje, że byłoby inaczej. Każdemu ze swoich sojuszników stawiali oni żądania, zarówno gospodarcze, jak i terytorialne. Wspomniałbym przykładem są stosunki niemiecko-włoskie w 1943 roku: Królestwo Włoch skapitulowało przed aliantami, Benito Mussolini utrzymał się jednak na znacznej części jego terytorium i kontynuował współpracę z Niemcami. Ci wynagrodzili go w niespotykany sposób: uznali jego państewko, anektując jednocześnie przygraniczny Tyrol. Dlaczego? Bo mogli.

Niemcy nigdy nie zawahali się przed ingerencją w wewnętrzne sprawy polityczne swoich sojuszników. Niemal zawsze nadchodził moment, w którym te ingerencje przybierały formę zbrojnej interwencji, porwania syna przywódcy państwa, inspirowania zamachu stanu, zbrojnego przewrotu czy wprost – brutalnego najazdu. Niemal zawsze wykorzystywano przy tym stacjonujących w danym kraju niemieckich instruktorów czy wojska konwojowe pilnujące szlaków komunikacyjnych. Wszystko wskazuje na to, że stacjonowałyby one również w Polsce, szczególnie jeśli doszłoby do wojny ze Związkiem Sowieckim. Wojny, w której osłabione „transformacją ustrojową” Wojsko Polskie nie miałoby większego znaczenia.

Wydaje się również niemożliwe, żeby w związanej z Rzeszą Niemiecką Polsce nie nastąpił rozkwit antysemityzmu. Przecież nawet w faszystowskich Włoszech – państwie programowo nieuznającym ras i narodowości – wprowadzono ostatecznie antyżydowskie przepisy. W przedwojennej Polsce, tak jak w całej Europie, Żydzi nie cieszyli się sympatią

najgłośniejszej części społeczeństwa, ale zarówno władze państwowe, jak i główne partie polityczne skutecznie zwalczały antysemityzm. Nawet pomysły polskich ugrupowań radykalnych były – w porównaniu z partiami niemieckimi, czeskimi, francuskimi czy rumuńskimi – bardzo łagodne. W czasie II wojny światowej Niemcy wymordowywali Żydów z podbitych państw, pozostawiając we względnym spokoju Żydów będących obywatelami państw sojuszniczych. Nie było tak jednak zawsze, o czym świadczy smutny los Żydów słowackich i węgierskich. Jaki byłby los Żydów polskich? A jaki byłby – zakładając, że doszłoby do wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu – los Żydów sowieckich na ziemiach zajętych przez Polaków? Taki sam jak ten opisany przez Cuzia Malapartego w książce *Kaputt*?

Zastanawiając się nad alternatywną wersją historii, trzeba również uwzględnić czynniki niematerialne. Na przykład to, że jedyną wojną, którą było w stanie wygrać zjednoczone państwo niemieckie, była wojna przeciwko plemionom Herero w Afryce Południowo-Zachodniej. Nie można również zapominać o tym, że ŻADEN z sojuszników Niemiec na takim sojuszu nie skorzystał. Można nawet pokusić się o sformułowanie uniwersalnej zasady historycznej, że każdy naród, który wiąże się z Niemcami, przegrywa i cierpi.

Trzeba też wziąć pod uwagę – nieco abstrakcyjny – polski charakter narodowy, umiłowanie wolności itd. Dość powszechnie uważa się to za banały, jednak faktem jest, że tyrani i dyktatorzy budzą w Polakach obrzydzenie, a kultura demokratyczna – z wszelkimi szykanami w rodzaju wyborów i nieposłuszeństwa obywatelskiego – trwa w Polsce już jakieś 500 czy 600 lat. Współpraca społeczeństwa polskiego z rządem niemieckim – szczególnie ówczesnym rządem niemieckim – mogłaby być bardzo trudna, jeśli nie niemożliwa.

Czy Polacy – naród, który szanuje wolność i cechuje się ponadnormatywną dumą narodową – byliby w stanie utrzymać sojusz z bandyckim państwem rządzone przez tyra-
na? Być może zresztą mylimy przyczyny ze skutkami. Być może to, że Polacy nie zgodzili się na sojusz z takim właśnie państwem, sprawiło, że szanują drogo okupioną wolność i są dumni. Bo w porównaniu z sąsiadami – którzy wszyscy ostatecznie zgodzili się na współpracę z Hitlerem – mają powody do rzeczywistej dumy.

Duma jest wartością ulotną. Jeszcze bardziej ulotną wartością jest szaleństwo. A potencjalny sojusznik Polski – Rzesza Niemiecka – był państwem szalonym. Wojenne decyzje podejmowane przez Hitlera i jego towarzyszy były nieracjonalne od samego początku aż po sam koniec. Od decyzji napadu na Polskę aż po masowe samobójstwa w oblężonym Berlinie (ze szczególnym uwzględnieniem samobójstwa Goebbelsa, który zabrał ze sobą do grobu żonę i sześć małych córek). W żaden sposób nie można wykluczyć, że takie irracjonalne, szalone decyzje – jak na przykład skierowanie wysiłku państwa na wymordowanie Żydów, a nie na działania wojenne – nie zostałyby podjęte przez Niemców wobec Polski.

Trzeba zatem rozważyć inne scenariusze ewentualnej współpracy polsko-niemieckiej. Przecież mogło być i tak:

Polska podpisuje pakt z Niemcami i popada w coraz większą od nich zależność. Francja i Wielka Brytania dają III Rzeszy wolną rękę w Europie Środkowej i Wschodniej, Niemcy – wraz z sojusznikami – napadają na Związek Sowiecki. Wojsko Polskie ma tak słabą kondycję, że nie zajmuje się walką z Armią Czerwoną, tylko pilnuje porządku na tyłach, co zamienia się w mordowanie ukraińskiej, białoruskiej i rosyjskiej ludności cywilnej. I – oczywiście – Żydów. Sprawność Polaków w tych akcjach sprawia, że zostają oni wykorzystani do ostatecznego

rozwiązania kwestii żydowskiej w całej Europie. Polacy są psami łańcuchowymi Hitlera. Ten – w nagrodę – przyłącza Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk do Rzeszy, co zapewni tym regionom stabilny wzrost gospodarczy. Do tego jednak nie dochodzi, gdyż państwa demokratyczne rozpoczynają wojnę przeciwko Hitlerowi i jego poplecznikom. Wypychają wojska niemieckie na wschód, a w tym czasie rosyjscy komuniści i ukraińscy narodowcy atakują z drugiej strony. Do ostatecznej rozpaczliwej bitwy dochodzi nad Wisłą, a na Warszawę i Kraków spadają bomby atomowe. Nadchodzi upragniony pokój. Polska zostaje odbudowana. Ma 5 mln mieszkańców, a jej terytorium ogranicza się do okolic Warszawy i Krakowa: część ziem pozostała przy Rzeszy, a granica z bohaterską Ukrainą przebiega w pobliżu Siedlec. Sens istnienia nowego państwa polskiego – powszechnie znienawidzonego nie tylko przez swoich sąsiadów, ale przez cały świat – jest tylko jeden: spłata odszkodowań za wymordowanie 9 mln europejskich Żydów.

To jeden z bardziej pesymistycznych scenariuszy. Nie można go jednak wykluczyć, tak jak nie można wykluczyć scenariusza najbardziej optymistycznego, od którego rozpoczęliśmy rozdział. Najprawdopodobniej historia alternatywna potoczyłaby się gdzieś pomiędzy nimi, ale biorąc pod uwagę dzieje państw, które zgodziły się na współpracę z Niemcami, należy stwierdzić, że nie osiągnęlibyśmy wyniku korzystniejszego od tego, który dał nam opór.

Jednak żaden z tych scenariuszy nie ziściłby się. W 1939 roku celem Polaków było bowiem zachowanie suwerenności. Rezygnacja z niej – a to oznaczała zgoda na niemieckie propozycje – w ogóle nie była rozpatrywana.

A co było?

Legenda Wehrmachtu

Wehrmacht był nowoczesną i zmotoryzowaną armią, skupioną na nowoczesnych technologiach, niemal w całości opartą na transporcie samochodowym, a główną jego bronią były czołgi współpracujące z lotnictwem uderzeniowym.

W rzeczywistości Wehrmacht nie był ani nowoczesny, ani zmotoryzowany, choć pewne elementy nowoczesności występowały w niemieckich siłach zbrojnych. Przede wszystkim opierały się one na transporcie konnym i to determinowało ich nowoczesność, a raczej jej brak. Samo pojęcie „nowoczesność” jest zresztą bardzo nieprecyzyjne i wieloznaczne, więc na nasze potrzeby ustalmy, że „nowoczesna armia” to armia dysponująca sprzętem lepszym niż sprzęt nieprzyjaciela. Na polu bitwy pojawia się zaś takie uzbrojenie, jakie można tam dowieźć środkami transportu. A podstawowym środkiem transportu Wehrmachtu był – tak jak we wszystkich armiach na kontynencie europejskim – koń.

We wrześniu 1939 roku transport Wehrmachtu opierał się nie na samochodach, ale na 590 tys. koni. W tym czasie niemiecka dywizja piechoty potrzebowała – bo różniły się one między sobą – od 4077 do 6033 tych zwierząt. W kolejnych

latach wojny liczba koni w Wehrmachcie tylko się zwiększała i w 1945 roku osiągnęła liczbę niemal 1,2 mln. „Końskie” straty Wehrmachtu – samego tylko Wehrmachtu! – szacuje się na około 1,5 mln czworonogów. Ich pogłowie w Europie zostało tak przetrzebione, że po 1945 roku mechanizacja transportu i rolnictwa była koniecznością.

Koń – niezależnie od tego, czy niemiecki, polski czy hiszpański – ma taką samą zdolność pociągową. Ogumiony wóz jadący po asfalcie można załadować kilkoma tonami węgla, ale w warunkach wojennych – gdy konie są wymizerowane, a piaszczyste drogi nieprzejezdne – parokonny wóz taborowy nie mógł przewieźć więcej niż 500 kg.

Przyjrzyjmy się strukturze ówczesnych armii europejskich. Podstawowym oddziałem w każdej armii jest batalion, składający się z reguły z czterech kompanii. Podział na kompanie nie miał zresztą wówczas – dziś nieco się to zmieniło – większego znaczenia na polu bitwy, bo jej dowódca miał minimalny wpływ na walkę swoich żołnierzy: brakowało mu środków łączności, żeby nimi skutecznie kierować, i nie dysponował ciężką bronią, żeby wspierać ich z oddali. Kompania nie jest formacją taktyczną, ale logistyczną. W gruncie rzeczy to grupa żołnierzy skupionych wokół kuchni polowej. Stąd też liczebność kompanii wynosiła około 200 żołnierzy – dla tylu można było przygotować jedzenie w jednej kuchni polowej ciągnięjonej przez dwa konie.

O sile armii stanowią bataliony. Jest nawet powiedzenie – przypisywane wielu autorom – że „Bóg stoi po stronie liczniejszych batalionów”. Liczniejszych, czyli mających więcej żołnierzy, a dokładniej – większą siłę ognia. A siła ognia wynikała z ilości uzbrojenia i amunicji zabieranej do bitwy, szczególnie w czwartej kompanii – kompanii broni ciężkiej. Amunicję zabierali żołnierze do ładownic i plecaków, a resztę przewoziły

konie pociągowe. A skoro konie pociągowe były w całej Europie takie same, to i bataliony miały te same zdolności bojowe.

Istniały jednak różnice. Jeśli generałowie jakiegoś państwa uznali, że w ich armii najważniejsza jest siła ognia, to musieli zwiększyć liczbę wozów konnych w batalionie, co sprawiało, że byli spowolnieni dużą liczbą wozów konnych. Jeśli podjęli odwrotną decyzję, to ich bataliony miały wysoką mobilność, ale niewystarczającą siłę ognia. Trzeba przyznać, że to drugie rozwiązanie było bardziej popularne – większość europejskich armii stawiała na ruchliwość i ograniczała liczbę wozów konnych i łuf broni ciężkiej. Dlaczego? Bo to było dużo tańsze rozwiązanie – karabiny maszynowe były kosztowne, a utrzymanie koni i ludzi do ich obsługi – jeszcze bardziej. Stąd też przeciętna armia Europy – na przykład czechosłowacka – miała kompanię karabinów maszynowych z sześcioma sztukami tej broni.

Ale były też państwa, które nie mogły lub nie chciały oszczędzać na armii. To przede wszystkim Francja bojąca się Niemców, Niemcy bojący się Francji oraz Polska bojąca się nie tylko Niemców, ale i Sowietów. Tutaj bataliony miały kompanię broni ciężkiej z 12 ciężkimi karabinami maszynowymi, a ponadto kilka moździerzy piechoty oraz kilka armat przeciwpancernych. Różnice w liczbie łuf broni ciężkiej pomiędzy tymi państwami były kosmetyczne – Polacy faktycznie mieli ich nieco mniej, ale wynikało to z trudności transportowych: drogi były gorsze, szczególnie na wschodzie kraju.

„Wojna bez artylerii byłaby zwykłą awanturą” – to kolejny cytat z XVIII wieku, jednak tutaj autor jest pewny: Fryderyk Wielki. I tak jest do dzisiaj. Ponad połowę strat na wojnie zadaje artyleria, a piechota służy nie tyle do okupowania terenu, ile do ochrony własnej artylerii przed wojskami przeciwnika. Batalion piechoty wsparty artylerią zawsze pokona batalion

wroga bez takiego wsparcia. Stąd też bataliony piechoty łączy się z bateriami czy dywizjonami artylerii we wspólne związki taktyczne – czyli brygady i dywizje. Generał dowodzący dywizją wydziela do walki odpowiednią mieszankę batalionów piechoty i baterii artylerii. Sukces zależy od tego, czy potrafi właściwie ocenić sytuację i wysłać do walki odpowiednie siły.

Europejskie dywizje, tak samo jak bataliony, niewiele się między sobą różniły. W dywizji piechoty było bowiem dziewięć batalionów piechoty, a każdy z nich powinien mieć artyleryjskie wsparcie jednej baterii, czyli czterech dział. Dowódca dywizji powinien również dysponować kilkoma armatami dalekonośnymi, żeby móc razić cele odległe o kilkanaście kilometrów, i kilkoma ciężkimi haubicami – żeby poradzić sobie z bunkrami, gdyby takie zatrzymały piechotę. Opisujemy tutaj oczywiście artylerię dywizyjną wiodących armii europejskich, czyli francuskiej, niemieckiej, polskiej (i kilku innych, na przykład belgijskiej).

Niemcy doszli do wniosku, że idealna artyleria dywizyjna powinna składać się z dziewięciu baterii haubic lekkich – 36 dział – i trzech baterii haubic ciężkich – 12 dział. Francuzi mieli jeszcze trzy baterie armat dalekonośnych, ale Niemcy uznali, że ich nie potrzebują. Polacy również mieli dziewięć baterii artylerii lekkiej – 36 dział – ale podzielonych mniej więcej po równo pomiędzy haubice i armaty. Dysponowali także baterią ciężkich haubic (z trzema działami) i baterią armat dalekonośnych (również z trzema działami). Do tego mieli jeszcze sześć armat piechoty. Różnice, jak widać, są niewielkie, a wynikają ze zdolności transportowych koni.

Otóż do holowania lekkiej haubicy polowej – standardowej zarówno w armii niemieckiej, jak i polskiej – potrzebny był zaprzęg składający się z ośmiu koni (a kolejny taki zaprzęg przewoził amunicję do bieżącego użytku). Lekka armata

kalibru 75 mm wymaga tylko sześciu koni dla dział i sześciu dla amunicji. „Lekka” to zresztą pojęcie względne: haubica taka ważyła ponad 2 tony, a armata – blisko 1,5. Z ciężkimi haubicami i armatami dalekonośnymi ważącymi ponad 5 ton sytuacja była jeszcze bardziej skomplikowana – 16-konny zaprzęg nie nadaje się do jazdy. Takie ciężkie działa przewożono zatem w dwóch częściach.

To znaczy robili tak Niemcy i Francuzi, natomiast polscy generałowie doszli do wniosku, że na polu walki może nie być dwóch godzin potrzebnych do zmontowania ciężkiego dział, i wyposażyli Wojsko Polskie w nieco lżejszy sprzęt, przewożony w jednej części. Dawało to dobre rezultaty. Zarówno w kampanii 1920 roku, jak i w kampanii 1939 roku polska artyleria ciężka była w stanie natychmiast obłożyć ogniem atakującą ją konnicę Budionnego czy czołgi Guderiana – ale zasięg tych dział był nieco mniejszy. Jedno kosztem drugiego – dziś niestety zapomina się o wymogach pola walki i uzbrojenie porównuje się wyłącznie na podstawie papierowych danych. A tam jest podany zasięg dział – polski niższy od niemieckiego, stąd wniosek, że niemiecka artyleria była lepsza. W takich tabelkach nie podaje się czasu przejścia z położenia marszowego w bojowe ani mobilność.

Niemcy o mobilność dbali mniej niż Polacy, którzy dzięki doświadczeniom z 1920 roku wiedzieli, że przyszła wojna będzie wojną manewrową. Niemcy, co dziś może się wydawać dziwne, szykowali się do wojny pozycyjnej. Takie wnioski wyciągnęli z lat 1914–1918 i dlatego nową broń projektowali do wojny pozycyjnej. Ich artyleria – zarówno lekka, jak i ciężka – była nieruchawa. To samo dotyczy ich artylerii piechoty. Podczas gdy Polacy mieli na tym szczeblu zwykłe armaty polowe, Niemcy – specjalnie zaprojektowane urządzenia zwane *Infanteriegeschütz*. Miały one niewielki zasięg, bo taki

wystarczał w wojnie okopowej, ale nie była to broń udana – inne armie jej nie stosowały. Ale w tabelkach można lufy tych wynalazków dodać do luf prawdziwej artylerii dywizyjnej, co pozwoli wykazać rzekomą słabość polskiej artylerii.

Przygotowanie się do wojny pozycyjnej widać także w innych elementach niemieckiej armii. Niemcy uznali na przykład, że w okopach przydadzą się karabiny maszynowe o dużej gęstości ognia. Wymyślili więc MG-34, zasilany z taśmy. Inne armie nie były przekonane do tego pomysłu i ich ręczne karabiny maszynowe miały magazynki na 20–30 nabojów. Dzięki temu podczas zmiany pozycji strzeleckiej jedna osoba niosła i karabin maszynowy, i amunicję do niego, a przeładowanie trwało dosłownie sekundę. Niemcy mieli świadomość, że ich karabin wymaga co najmniej dwóch ludzi obsługi, a jeśli jeden z nich zginie, czy chociażby skręci sobie nogę, to karabin będzie bezużyteczny. Dlatego wprowadzili rozwiązanie awaryjne – pistolet maszynowy. Niemiecki żołnierz z takim właśnie schmeisserem był symbolem zwycięstw III Rzeszy. Jednak pistolety maszynowe pięknie wyglądają tylko na propagandowych zdjęciach i w filmach gangsterskich, ale w regularnym wojsku są bezużyteczne – dziś rzadko można je spotkać w jednostkach liniowych.

Można natomiast – odezwą się sceptycy – spotkać potomka MG-34. Tak, nawet we współczesnym Wojsku Polskim są takie karabiny maszynowe. Ale zmieniła się sytuacja – dziś z regulaminowej broni każdego żołnierza można prowadzić ogień ciągły, a ręczne karabiny maszynowe są tylko dodatkiem – choć cennym, trzeba przyznać. Dzisiaj każdy żołnierz ma broń automatyczną, ponieważ w armii nie ma już koni. Żołnierz może strzelać, ile chce, a amunicję dowiezie mu samochód albo helikopter. W 1939 roku – powtórzmy – transport amunicji opierał się na wozach konnych o ograniczonej

nośności. Żołnierzy szkolono tak, żeby oddawali pojedyncze, celne strzały. Gdyby strzelali seriami, wozy konne nie dałyby rady dowieźć amunicji.

W 1939 roku uważano, że przeciętna dywizja piechoty zjada dziennie około 50 ton żywności i zużywa około 50–100 ton amunicji, ale rzeczywistość szybko zweryfikowała te założenia – zużycie amunicji było kilkukrotnie większe. Dziennie trzeba było więc dowieźć każdej dywizji ponad 100 ton zaopatrzenia, co wymagało przynajmniej 200 wozów konnych, czyli 400 koni. W każdej europejskiej armii zakładano, że dywizja powinna mieć zapasy na sześć dni walki, a to wymagało co najmniej 1200 wozów, a więc 2400 koni.

W rzeczywistości tę liczbę należałoby powiększyć, a tak naprawdę podwoić. Wozy konne nie stały bowiem wraz z wojskami, ale kursowały pomiędzy frontem a stacjami kolejowymi. Prędkość wozów konnych to 30 km na... dobę. Takie było więc tempo marszu niemieckich – i polskich – dywizji piechoty. Między innymi dlatego dywizje nie chciały zbytnio się oddalać od linii kolejowych.

Pozwala to sobie wyobrazić, jak trudny byłby dla Niemców pościg za Wojskiem Polskim po wschodniej stronie Wisły. Po zniszczeniu mostów na Wiśle dalsza podróż koleją była-by niemożliwa. Z Warszawy do Lwowa jest około 300 km – 10 dni marszu, więc każda niemiecka dywizja musiałaby zabrać ze sobą tysiące wozów konnych. Nie zapominajmy, że konie również muszą jeść, a konie wojskowe – dużo i zdrowo: regulaminy mówiły o 16 kg owsa dziennie.

Armia niemiecka nie była nowoczesna, opierała się bowiem na transporcie konnym, a to uniemożliwiało jej wzięcie uzbrojenia dającego przewagę nad wrogiem. Miała jednak – niestety – pewne elementy nowoczesności, a co gorsza, miała tych elementów więcej niż Wojsko Polskie...

Czy Wojsko Polskie było zacofane?

Wojsko Polskie było przestarzałe i nienowoczesne, opierało się przede wszystkim na transporcie konnym, a podczas walki – na atakach kawalerii. Trudno znaleźć inną armię europejską, która była równie zacofana co siły zbrojne Rzeczypospolitej.

Nigdy w swojej historii Wojsko Polskie nie było tak nowoczesne jak w 1939 roku. Pod względem przygotowania do wojny przewyższało większość armii europejskich, uzbrojone było w sprawny sprzęt krajowej produkcji, chętnie kupowany również przez inne kraje. Co więcej, w niektórych dziedzinach Polacy przodowali nie tylko w Europie, ale i na świecie.

Jedną z takich dziedzin była obrona przeciwpancerna. Polacy wiedzieli, że w razie wojny przyjdzie im się zmierzyć z tysiącami czołgów wroga. Niebezpieczeństwo stanowiły przede wszystkim czołgi sowieckie, budowane za koszmarną cenę – milionów zagłodzonych Ukraińców i Rosjan – już od końca lat 20. I od tego czasu budowano polską obronę przeciwpancerną. Gdy pojawiły się czołgi niemieckie, Wojsko Polskie było na nie przygotowane.

Większość ówczesnych armii europejskich lekceważyła obronę przeciwpancerną. Do zwalczania czołgów służyć miały albo uniwersalne, najcięższe karabiny maszynowe, z których można było strzelać również do samolotów, albo równie uniwersalne, lekkie działka piechoty, albo rusznice przeciwpancerne, czyli przerośnięte karabiny ważące po kilkadziesiąt kilogramów i wymagające kilkusobowej obsługi. Niektóre armie pozwalały sobie na luksus posiadania armat przeciwpancernych – po kilka, kilkanaście sztuk w dywizji piechoty.

Polacy natomiast opracowali cały system obrony przeciwpancernej. Bardzo wczesnie uznali, że wszelka uniwersalna broń jest nieskuteczna, tak samo jak rusznice przeciwpancerne, i trzeba zainwestować w specjalistyczne armaty. W dużej liczbie – kilkudziesięciu na każdą dywizję piechoty. Ale armaty ppanc. były tylko częścią systemu: najpierw wrogie czołgi miały trafić na przeszkody inżynieryjne, później zostać ostrzelane przez artylerię, a armaty ppanc. wchodziły do akcji dopiero podczas walki na średnim dystansie. A jeśli i tym armatom nie udało się zatrzymać wrogich czołgów, to wówczas używano broni piechoty – granatów i specjalnych karabinów przeciwpancernych. Nawet gdyby linia piechoty została przerwana, to ostatnią linią obrony była artyleria – tym razem strzelająca na wprost. Ten system opracowany przez Polaków został zaadaptowany przez wszystkie armie świata i do dziś jest używany.

Trzeba zwrócić uwagę na dwie istotne rzeczy. Pierwszą z nich jest karabin przeciwpancerny wz. 35, znany także jako „Ur”, a powszechnie – i całkowicie niewłaściwie – nazywany „rusznicą przeciwpancerną”. Rusznica przeciwpancerna była ciężką bronią zespołową, tanim zamiennikiem armaty. Polski karabin przeciwpancerny wz. 35 był bronią indywidualną,

z której mógł korzystać każdy żołnierz, a więc można go uznać za ideowego przodka niemieckiego pancerfausta i brytyjskiego piata. Był bronią tak rewolucyjną, że do dziś mało kto sobie z tego zdaje sprawę i używa się zupełnie niewłaściwej nazwy „rusznica”.

Drugą sprawą jest liczba armat ppanc. Napisaliśmy, że w polskiej dywizji piechoty było takich dział kilkadziesiąt. Inni autorzy podają dokładne liczby, ale w ten sposób raczej zakłamują rzeczywistość, nie wyjaśniając, co one właściwie znaczą. Uprzedźmy zresztą, że problem armat jest jedynie pretekstem do opowiedzenia o liczbach i o oszczędnościach.

Otóż formacje wojskowe mają pewien etat, czyli tabelę opisującą ich wyposażenie i uzbrojenie. Życie jest życiem, więc stan faktyczny różni się od stanu etatowego. Co więcej, zarówno etaty, jak i stan faktyczny ulegają zmianom.

Nowe formacje można organizować na dwa sposoby: tak aby dać zatrudnienie kadrze i zrobić wrażenie propagandowe albo oszczędzając środki finansowe. Można więc najpierw zorganizować kompanię czy pułk, a dopiero później – czasem po wielu latach – odpowiednio je wyposażać. Można też powiększać istniejące już plutony czy bataliony do momentu, w którym będzie można utworzyć dla nich wyższe dowództwa – wspomniane już kompanie czy pułki.

Jako że Polacy i tak wydawali duże pieniądze na zbrojenia, wybrali oszczędnościowy system rozbudowy armii. Na przeciwległym biegunie była Armia Czechosłowacka – cała para szła tam w gwizdek. Miała całe eskadry bombowe – nie tylko bez samolotów, ale również bez personelu latającego. Broń pancerna była zorganizowana w cztery dywizje szybkie – ale miały one mniej czołgów niż dwie polskie brygady pancerno-motorowe. Etatowym uzbrojeniem przeciwpancernym dywizji piechoty było 48 armat, ale faktycznym – tylko

kilkanaście, a niektóre wychodziły w pole, mając jedynie dwa – dokładnie dwa – takie działa.

Polski etat również przewidywał 48 armat przeciwpancernych w dywizji piechoty. Ale był to etat ostateczny, który miał być zrealizowany po 1941 roku. W 1939 obowiązywał etat przejściowy: 27 armat przeciwpancernych w dywizji piechoty. I we wrześniu wszystkie polskie czynne dywizje piechoty faktycznie miały co najmniej 27 armat ppanc. Co najmniej, bo z reguły etat ten był przekroczony. Idące na wojnę pułki zabierały z koszar wszystko, co mogło im się przydać, nawet uzbrojenie „nadetatowe”.

Czechosłowacja i Polska to przykład dwóch skrajności. Pozostałe państwa europejskie plasują się gdzieś pomiędzy nimi. Etaty francuskie zakładały 56 armat ppanc. w dywizji piechoty, jednak we wrześniu 1939 roku takich dział było z reguły tylko kilkanaście. Natomiast do maja 1940 roku przemysł francuski zdołał wyprodukować wystarczającą liczbę dział. Porównując Wojsko Polskie z armiami państw walczących w 1940 lub 1941 roku, warto więc pamiętać, że miesiące i lata dały innym wystarczająco dużo czasu, żeby kupić i wyprodukować uzbrojenie.

Podawanie nieprawdziwych czy półprawdziwych liczb, zaniżanie prawdziwej siły Wojska Polskiego i zawyżanie siły innych armii były na rękę wszystkim. Polscy generałowie i żołnierze mogli słabym uzbrojeniem tłumaczyć swoje porażki. Generał Sikorski, który utworzył rząd w Paryżu po „klęsce wrześniowej”, mógł rzucać oskarżenia na swoich warszawskich poprzedników, że nie zadbali o armię. Komuniści, rządzący później w Polsce, mogli przedstawiać to jako kolejny przykład zgnilizny moralnej burżuazyjnej sanacji. Propagandziści zatrudnieni przez LWP mogli zaś zrzucić winę za przegraną na uzbrojenie Wojska Polskiego, oddalając

podejrzenia, że z polską porażką mogła mieć coś wspólnego Armia Czerwona.

A ci, którzy dbali o uzbrojenie i wyposażenie polskiej armii, nie zostali dopuszczeni do głosu: Józef Piłsudski i Edward Śmigły-Rydz, firmujący swoimi osobami rozbudowę Wojska Polskiego, już nie żyli. Generałowie, oficerowie i inżynierowie, którzy faktycznie tym się zajmowali, nie mieli wystarczającej siły przebicia. Kto bowiem dziś pamięta, że w ogóle istnieli tacy generałowie jak szef Departamentu Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych Mieczysław Maciejowski, II wiceminister spraw wojskowych i szef Administracji Armii Aleksander Litwinowicz czy dowódca lotnictwa w Ministerstwie Spraw Wojskowych Ludomił Rayski?

Mit silnej i niepokonanej Armii Czerwonej

Armia Czerwona była silna i niepokonana, stała na straży pokoju i bezpieczeństwa ojczyzny komunizmu. Dowodzą tego jej losy w latach 30. – walka w obronie demokracji w Hiszpanii oraz obrona Mongołów przed japońską agresją.

Armia Czerwona była jedynie liczna. A nawet najliczniejsza na świecie. W 1939 roku miała dwa razy więcej czołgów i dwa razy więcej samolotów bojowych niż wszystkie inne armie świata razem wzięte.

W sierpniu 1939 roku Armia Czerwona miała ponad 100 dywizji piechoty i kawalerii, ponad 21 tys. czołgów oraz ponad 20 tys. samolotów bojowych. Oznacza to, że była kilkukrotnie liczniejsza od kolejnych pod względem liczebności sił zbrojnych – Armée française. Francuzi mieli trzy razy mniej dywizji piechoty, pięć razy mniej czołgów, siedem razy mniej samolotów, dysponowali jednak licznymi siłami kolonialnymi oraz czwartą flotą świata.

Wielka Brytania i Stany Zjednoczone miały *ex aequo* najsilniejsze floty wojenne i olbrzymi potencjał mobilizacyjny, ale ich lądowe siły zbrojne w czasie pokoju były nieliczne. Wielka

Brytania – silniejsza na lądzie od Amerykanów – miała tylko sześć czynnych dywizji! Niemcy zbudowali liczną armię lądową i potężne lotnictwo, ale ich marynarka wojenna była na tyle słaba, że w razie wojny nie gwarantowała korzystania z zasobów światowych. Japończycy i Włosi mieli siły lądowe o podobnej liczebności i bardzo potężne floty wojenne, odpowiednio: trzecią i czwartą/piątą na świecie. Były to jedyne państwa, które udowodniły zdolność prowadzenia nowoczesnej wojny na terenach zamorskich: w Chinach i Abisynii. Włosi niesłusznie są lekceważeni jako żołnierze, pamiętajmy bowiem, że udało im się podbić Abisynię w ciągu kilku miesięcy, gdy wszyscy przewidywali, że wojna ta będzie trwała latami. Narodowo-Rewolucyjna Armia Chin dowodzona przez Czang Kaj-szeka miała kilka milionów żołnierzy, ale jedynie 20 dywizji uzbrojonych i wyszkolonych według standardów europejskich (czy też japońskich).

I gdzie w tym miejscu – pod koniec pierwszej dziesiątki – jest miejsce Wojska Polskiego. Obok Rzeczypospolitej trzeba umieścić Hiszpanię, w której właśnie skończyła się wojna domowa. Pierwszą dziesiątkę powinniśmy zamknąć Czechosłowacją, Rumunią lub Belgią, ale Czechosłowacja przestała istnieć w marcu 1939 roku, a o miejscu dwóch pozostałych państw decyduje to, co uznamy za ważniejsze: liczebność Rumunów czy zaawansowanie techniczne Belgów.

Wróćmy jednak do Związku Sowieckiego i wyjaśnijmy, dlaczego wystawił najpotężniejszą armię na świecie, wyposażoną w ofensywny sprzęt. Gdy w 1917 roku wybuchła rewolucja bolszewicka, komuniści we wszystkich państwach mieli nadzieję, że doprowadzi ona do ogólnoswiatowych przemian. W 1920 roku w okolicach Warszawy okazało się jednak, że komunizm nie zostanie wyeksportowany. Polskie zwycięstwo w bitwie warszawskiej wynikało nie tyle z przewagi

militarnej, ile z ograniczeń idei komunistycznej: komunizm nie był atrakcyjny dla społeczeństw, w których prawo własności obejmowało również warstwy uboższe. Komuniści opanowali jedynie te ziemie, na których jeszcze niedawno chłopci byli niewolnikami – Rosję, i to bez jej zeuropeizowanych, zachodnich prowincji.

W grudniu 1923 roku z ziem, na których rządili komuniści, powstał Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich. Symbole tego państwa – godło, hymn – wskazywały, że ma ono „ogarnąć ludzki ród”. W tym czasie toczył się spór pomiędzy frakcjami. Jedni, z Lwem Trockim na czele, twierdzili, że natychmiast należy podjąć próbę opanowania świata i podtrzymywać permanentną rewolucję. Drudzy, pod przywództwem Iosifa Stalina, chcieli odłożyć podbój do bardziej sprzyjających czasów i podjąć pokojowe współżycie z państwami kapitalistycznymi. Ostatecznie zwyciężył Stalin, trockistów stopniowo likwidowano, a Związek Sowiecki z ojczyzny komunizmu przemieniał się w kolejną emanację państwa rosyjskiego.

Jednak pokojowe współistnienie z kapitalizmem i porzucenie idei permanentnej rewolucji nie oznaczało rezygnacji, lecz tylko odroczenie tych planów. Czas postanowiono przeznaczyć na rozbudowę Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej.

Przez kilka lat po zakończeniu wojny domowej i agresji na sąsiadów w Związku Sowieckim obowiązywał NEP – Nowa Ekonomiczna Polityka. „Nowa” w kraju komunistycznym, nie była ona bowiem niczym innym jak tylko kapitalizmem opartym na zdrowych zasadach rynkowych.

W 1928 roku Iosif Stalin ogłosił zakończenie NEP-u, odejście od zasad wolnego rynku, likwidację własności prywatnej. Rozpoczęto pięciolatkę – program gospodarczy, który miał

uczynić z Armii Czerwonej najliczniejsze i najlepiej uzbrojone siły zbrojne świata. Szybko okazało się, że przemysł sowiecki jest zbyt słaby, żeby produkować czołgi, samoloty i okręty, zakupiono więc licencje w Niemczech, Włoszech, Ameryce czy Wielkiej Brytanii. Całą energię państwa skierowano na stworzenie przemysłu zbrojeniowego. Obywatele ZSRS ponieśli straszliwą cenę tej decyzji.

Za przemianę Armii Czerwonej w najsilniejszą armię świata zapłacić mieli chłopci. Nie tylko dlatego, że stanowili 80% ludności ZSRS, ale także dlatego, że – dzięki NEP-owi – ich kondycja ekonomiczna była bardzo dobra, a na wsi produkowano duże ilości zboża. W latach 20. XX wieku chłopci sprzedawali jednak tylko 15–20% produkcji rolnej, całą resztę pozostawiając sobie: połowę przeznaczając do wykarmienia inwentarza i kolejnych zasiewów, a połowę – konsumując. Iosif Stalin wraz ze swoimi towarzyszami doszedł do wniosku, że ludzie nie muszą jeść, natomiast państwo musi eksportować produkty rolne. Uznano, że najlepszym środkiem do osiągnięcia celu będzie kolektywizacja rolnictwa: zabranie właścicielom indywidualnych gospodarstw i stworzenie sowchozów (gospodarstw państwowych) i kołchozów (gospodarstw spółdzielczych), gdzie będą pracowali jako robotnicy. Przyniosło to oczekiwane przez komunistów rezultaty: w 1930 roku państwo skupiło 30% produkcji rolnej, a w 1931 – 50%. W ten sposób w spichlerzach pozostało bardzo niewiele zboża i chłopci musieli podjąć tragiczny wybór: albo ich rodziny nie dostaną jedzenia, albo nie będzie czym wykarmić trzody i nie będzie czym obsiać pól.

Chłopci chowali więc zboże przed państwem sowieckim, co skutecznie utrudniały im połączone siły działaczy partii komunistycznej i oprawców z NKWD. 7 sierpnia 1932 roku ogłoszono złowieszcze „prawo pięciu kłosów”: wszelka

kradzież lub roztrwonienie „socjalistycznej własności” – nawet pięciu kłosów zboża – były karane 10-letnim więzieniem lub śmiercią. Do końca 1933 roku na podstawie tego paragrafu skazano 125 tys. ludzi, w tym 5400 na karę śmierci. Do łagrów trafiło także ćwierć miliona kułaków – nazywano w ten sposób każdego chłopca, który pozwalał sobie na jakikolwiek, nawet czysto symboliczny opór.

Jedzenie na wolnym rynku można było kupić jedynie za złoto i waluty w specjalnych sklepach, tzw. torgsinach (*torgowych sindikatach*). Dzięki temu państwo sowieckie pozyskało walutę zarobioną przez społeczeństwo podczas trwania NEP-u i mogło pozwolić sobie na zakup uzbrojenia. Koszt licencji brytyjskiego czołgu średniego wynosił 20 tys. ówczesnych funtów, czyli około 250 kg złota. Nie było na nią stać rządu Rzeczypospolitej, który też starał się wzmocnić Wojsko Polskie. Tymczasem dla Sowietów była to drobna suma – miesięczny utarg jednego tylko torgsina. W 1932 roku takich torgsinów było w ZSRS 263!

Kłęska głodu z całą siłą wybuchła w 1933 roku. Opanowała południowo-zachodnią część ZSRS, Ukrainę, a przede wszystkim Kazachstan, gdzie z głodu zmarła trzecia część rdzennej ludności. Dziś historycy są pewni, że głód wywołał świadomość. Poza głodem śmiertelne żniwo zbierały także choroby atakujące osłabione organizmy: tyfus, dur brzuszny, ospa. Najbardziej przerażający był jednak kanibalizm, i to wcale nie dlatego, że ludzie jedli ludzi, ale dlatego, że był on tak powszechny, iż niemal wszyscy do niego przywykli. Oburzenie wywoływało dopiero to, że rodzice mordowali swoje dzieci. Ponad 2500 osób zostało skazanych w 1933 roku za akty kanibalizmu.

Nie wiadomo dziś dokładnie, ile było ofiar głodu. Trudno je policzyć ze względu na brak precyzyjnych kryteriów,

migracje ludności, częste zmiany granic i wojny światowe – zarówno pierwszą, jak i drugą. Warto przy tym zauważyć, że jeśli chodzi o terytorium ZSRS, to walki obu konfliktów światowych toczyły się przede wszystkim na terenie Białorusi i Ukrainy. Na ziemie etnicznie rosyjskie I wojna światowa nie dotarła wcale, a II – jedynie na krótki czas i na niewielki obszar. W dodatku w latach 1946–1947 wybuchła kolejna klęska głodu. Dziś liczbę ofiar głodu wywołanego przez Stalina szacuje się na 10 mln ludzi.

Należy więc mieć na uwadze, że siła Armii Czerwonej, silny przemysł Rosji, a nawet piękne stacje metra w Moskwie zostały zbudowane dosłownie na trupach ukraińskich chłopów. I koniecznie trzeba pamiętać o polskich bohaterach wojny z bolszewikami w 1920 roku. Gdybyśmy wówczas nie obronili niepodległości, Moskwa zgotowałaby nam ten sam los co Ukraińcom i Kazachom.

Polskie plany wojny z Niemcami

Polacy byli kompletnie nieprzygotowani do wojny z Niemcami i nie mieli żadnego planu. Nie zdążyli go przygotować, bo skupili się na zagrożeniu sowieckim. A jeśli nawet był jakiś supertajny plan, to nikt go nie znał.

O polskim planie wojny przeciwko Niemcom – planie „Z”, jak zachód – krążą różne mity. Przede wszystkim trzeba uświadomić sobie, czym są plany wojny. A czym w ogóle jest wojna? Według – jednej z wielu – definicji jest ona próbą siłowego narzucenia swojej woli przeciwnikowi. To znaczy że gdy my staramy się narzucić swoją wolę przeciwnikowi, on próbuje tego samego z nami. Wszelkie nasze działania są przez niego kontrowane – i wzajemnie. Wojna zatem z samej swej istoty nie daje się zaplanować. Generał Helmuth von Moltke stwierdził niegdyś, że „żaden plan bitwy nie przetrwa pierwszego kontaktu z przeciwnikiem”, więc planów wojny się nie tworzy.

Tworzy się natomiast pewne ogólne założenia i planuje się wykorzystanie możliwości. Niemcy zaplanowali mobilizację, koncentrację sił i kierunek początkowych uderzeń. Założyli

też, że zniszczą Wojsko Polskie na zachód od Wisły, zanim Francuzi zdążą zareagować. Udało im się przeprowadzić mobilizację, koncentrację i wyjście wojsk – choć nie wszystkich – do ataku. Czy Polakom poszło lepiej?

Najpierw trzeba przeprowadzić mobilizację, czyli uruchomić państwo i siły zbrojne oraz przestawić je na stopę wojenną. Należy sięgnąć po pieniądze z kasy państwowej, ukierunkować przemysł i rolnictwo na produkcję w warunkach wojny, ewakuować majątek i personel z terenów przygranicznych, nasycić wojsko sprzętem i rezerwistami, zorganizować nowe formacje, a wreszcie przygotować je do wymarszu. Sprawność i szybkość mobilizacji były czynnikami decydującymi o wyniku wojny od połowy XIX wieku.

Mobilizacja to wielkie przedsięwzięcie obejmujące całe państwo – chociażby wycofanie floty handlowej do bezpiecznych portów (o czym notabene nie pomyśleli Niemcy i w pierwszym dniu wojny utracili niemal połowę zdolności przewozowych). Finansowa mobilizacja Rzeczypospolitej rozpoczęła się w kwietniu 1939 roku, gdy rząd zezwolił na druk dodatkowych pieniędzy. Dzięki temu były możliwe kolejne kroki.

Mobilizacja w węższym znaczeniu obejmuje wojsko. I tutaj faktycznie mamy do czynienia z planami – planami mobilizacyjnymi. Tworzy się je na kilku szczeblach: każda formacja wojskowa ma swój indywidualny plan mówiący, ilu i jakich żołnierzy będzie potrzebnych oraz jakie wyposażenie i uzbrojenie jest dla nich konieczne. Na szczeblu całych sił zbrojnych plan mobilizacyjny składa się właśnie z tych planów częściowych oraz planu matki, określającego ogólny skład armii w czasie wojny, tzw. *Ordre de Bataille* (OdB, pol. „porządek bitewny”). Wojsko Polskie II RP miało zarówno

planu mobilizacyjny dla poszczególnych formacji, jak i plan mobilizacyjny dla całej armii.

Plany mobilizacyjne powstały w połowie lat 20. Przez kilkanaście lat obowiązywał plan „S”, opracowany przez późniejszego generała Jana Jagmina-Sadowskiego. Jego głównym założeniem było podwojenie liczby dywizji piechoty z 30 do 60. Jednak wielki kryzys zmienił sytuację ekonomiczną, a nowe bronie zmieniły sytuację taktyczną. Bardzo szybko okazało się, że nie da rady osiągnąć liczby 60 dywizji bez pogorszenia ich jakości. Przez kolejnych 10 lat plan „S” obowiązywał jedynie częściowo: dotyczył formacji istniejących w czasie pokoju i bardzo nielicznych formacji powoływanych na czas wojny.

1 maja 1938 roku w życie wszedł plan mobilizacyjny „W”, opracowany przez pułkownika Józefa Wiatra. Po roku wprowadzono jego zaktualizowaną wersję, która zakładała wystawienie obok 30 dywizji pokojowych 9 dywizji rezerwowych (ale o takim samym składzie jak dywizje czynne), 11 brygad kawalerii i brygady zmechanizowanej oraz wielu innych, mniejszych formacji. Bardzo szybko i on stał się nieaktualny – w ciągu kilku miesięcy pojawiły się nowe związki taktyczne, w tym kolejna brygada zmechanizowana, górskie brygady strzelców i inne.

Ogłoszenie mobilizacji powszechnej jest uznawane za *casus belli* – w 1914 roku stało się przyczyną wypowiedzenia przez Niemców wojny Rosji – więc Francuzi i Brytyjczycy starali się opóźnić jej ogłoszenie przez Polaków. Dlatego nieco się z tą decyzją spóźniono i pierwszym dniem mobilizacji powszechnej był 31 sierpnia 1939 roku. Na szczęście polski system mobilizacyjny umożliwiał przeprowadzenie również mobilizacji alarmowej, dzięki czemu większość związków taktycznych była już w pełnej gotowości bojowej.

Mobilizacja oznacza uruchomienie wojska. Trzeba je następnie dostarczyć na pozycje obronne. To wymaga kolejnego planu – planu koncentracji, inaczej zwanego planem przewozów. Większość z nich odbywała się koleją, należało zatem na kilka dni wprowadzić nowy rozkład jazdy: pociągi najpierw musiały wyładować przewożone towary i pasażerów, następnie udać się do stacji, w których zestawiano składy odpowiadające wymaganiom, później pojechać po wojsko, załadować je, przewieźć do celu i wyładować, zabrać materiały i personel podlegający ewakuacji, a następnie wrócić w głąb kraju.

Było to gigantyczne przedsięwzięcie. Przewiezienie jednej dywizji piechoty wymagało około 50 pociągów, a przepustowość jednej dwutorowej linii kolejowej wynosiła 48 par pociągów na dobę. Załadowanie i wyładowanie dywizji wymagało doby, a prędkość podróży – ze względu na zamieszanie wywołane mobilizacją i wymogi bezpieczeństwa – była mniejsza niż przeciętna prędkość pociągu osobowego. Przesyłanie dywizji z jednego krańca Polski na drugi zajmowało więc około czterech dób. Wszystko musiało odbywać się bardzo sprawnie i tak się też odbywało – chyba wszyscy znają powiedzenie, że według przyjazdów i odjazdów przedwojennych pociągów regulowano zegarki.

Można było oczywiście plan przewozów uczynić częścią mobilizacji. Było to łatwiejsze logistycznie, lecz politycznie niebezpieczne. W 1914 roku właśnie taki plan mieli Niemcy, którzy niezależnie od tego, czy zaatakują ich Francuzi, Rosjanie czy Duńczycy, wojnę zaczynali zawsze od uderzenia na Paryż. W Polsce liczono się zarówno z zagrożeniem niemieckim, jak i rosyjskim. Opracowano więc dwa plany przewozów i koncentracji: plan „Wschód” przeciwko Sowieciom oraz plan „Zachód” przeciwko III Rzeszy.

Najpierw powstał plan „Wschód”, a plan „Zachód” zaczęto opracowywać po nim – dopiero w marcu 1939 roku. Opóźnienie nie wynikało z lekceważenia Niemców, a wręcz przeciwnie – z ich agresywnej polityki. Sowiecka granica była stała, więc łatwo było wyznaczyć kierunki możliwego ataku Armii Czerwonej. Zupełnie inna sytuacja była na zachodzie.

Przez niemal 20 lat niemieckie uderzenie na Polskę mogło wyjść jedynie z Pomorza Zachodniego. Prusy Wschodnie były odcięte od Rzeszy i zaopatrzenie ich wojsk zależało jedynie od dostaw morskich. Uderzenie z Brandenburgii na Wielkopolskę, czyli z Berlina na Poznań, było mało efektywne i łatwe do sparowania. Śląsk był zbyt ryzykownym miejscem do skoncentrowania armii inwazyjnej, bo na jego tyłach było państwo czechosłowackie, związane sojuszem z Francją.

Wszystko zmieniło się jesienią 1938 roku, gdy Czechy utraciły Sudety i wkrótce podporządkowały się Niemcom. (Co interesujące, podporządkowanie Słowacji Niemcom nie miało już takiego znaczenia, gdyż zostało sparowane przez wyzwolenie Zaolzia i przecięcie linii kolejowych łączących ją z Rzeszą). Śląsk mógł już zostać wykorzystany jako plac broni (fr. *place d'armes*), czyli miejsce do zgromadzenia niemieckich wojsk przed uderzeniem na II Rzeczpospolitą. Polski plan koncentracji „Z” zaczęto opracowywać 4 marca 1939 roku, ukończono w kilka tygodni i – w odpowiedniej chwili – wprowadzono w życie.

Warto dodać, że istniały również plany prowadzenia działań na szczeblu taktycznym. Każdy inspektor armii był odpowiedzialny za powierzony mu odcinek. Polskie plany obrony granicy z Niemcami powstały już w roku 1919, w kolejnych latach dopracowywano je i zmieniano. Na niektórych przewidywanych kierunkach uderzeń plany te były bardzo szczegółowe i dotyczyły – dosłownie – ustawienia pojedynczych

karabinów maszynowych. W ten sposób przygotowywano się do obrony Pomorza oraz Śląska, gdzie bardzo duże znaczenie miały przygraniczne fortyfikacje.

Prawdą jest więc, że nie istniał „plan wojny przeciwko Niemcom”. Ale nie istniał również niemiecki „plan wojny przeciwko Polsce”. Istniały natomiast plany mobilizacji państwa i wojska, plany transportów i koncentracji oraz plany taktyczne.

Czy Polacy naprawdę nie wiedzieli o tajnym protokole paktu Ribbentrop–Mołotow?

III Rzesza utrzymywała swoje porozumienie ze Związkiem Sowieckim w sekrecie. Polacy nie wiedzieli o tajnym protokole do paktu Ribbentrop–Mołotow, bo gdyby wiedzieli, to nie zdecydowaliby się na wojnę przeciwko Niemcom.

W nocy z 23 na 24 sierpnia delegacja niemiecka przebywająca w Moskwie podpisała „Traktat o nieagresji pomiędzy Niemcami a Związkiem Socjalistycznych Republik Sowieckich”, powszechnie znany jako pakt Ribbentrop–Mołotow albo pakt Hitler–Stalin. Ta ostatnia nazwa jest szczególnie znienawidzona wśród historyków darzących sympatią Związek Sowiecki, ale najlepiej oddaje sens tego porozumienia. Był to bowiem układ sojuszniczy pomiędzy oboma państwami, pomiędzy ich wodzami i pomiędzy dwiema bliskimi sobie ideologiami: komunizmem i nazizmem. Wraz z paktem podpisano również tajny protokół, zakładający podział stref interesów w Europie Środkowej na wypadek „przekształceń terytorialnych”.

Według tajnego protokołu Związek Sowiecki miał zająć Estonię, Łotwę i Besarabię (wschodnią prowincję Rumunii), Niemcom pozostawiając Republikę Litewską. Polska miała zostać podzielona wzdłuż linii Narew–Wisła–San. Linia ta była naturalną rubieżą, której zamierzali bronić Polacy, a której Niemcy nie widzieli potrzeby przekraczać, spodziewali się bowiem, że zniszczą Wojsko Polskie na zachód od niej. Niemcy mieli więc zostawić sobie to, co podbiją, a Rosjanie zadecydować o losie okulawionej Polski.

Polacy, podobnie jak reszta świata, wiedzieli o podpisaniu oficjalnego „Traktatu o nieagresji...”, gdyż ogłoszono go praktycznie przed formalnym podpisaniem. Polacy nie zostali natomiast poinformowani o tajnym protokole, i to pomimo niemieckich starań.

Niemcom bardzo zależało, żeby treść tajnego protokołu znali wszyscy zainteresowani. Już przed południem 24 sierpnia dowiedzieli się o nim Amerykanie, niemal w tym samym czasie Włosi, a wkrótce potem Francuzi, Brytyjczycy, Łotysze i Estończycy. Trudno uwierzyć, że taka akcja informacyjna odbyła się bez wiedzy Berlina. Niemcy liczyli, że treść tajnego protokołu przestraszy Polaków i albo doprowadzi do kapitulacji, albo przynajmniej osłabi wolę oporu. Protokół mógł również zniechęcić sojuszników Rzeczypospolitej do wystąpienia w jej obronie.

Nie wiadomo, czy informacje te w ogóle nie dotarły do Warszawy, czy też dotarły, ale zostały zlekceważone. Nie miało to – i nie ma – większego znaczenia. W ostatnim tygodniu sierpnia było zbyt mało czasu, by ocenić, czy informacje o tajnym protokole są prawdziwe, czy też stanowią część gry wywiadowczej. Najprawdopodobniej właśnie tak – jako dezinformacja – zostały one ocenione przez służby wywiadowcze Francji oraz Wielkiej Brytanii i nie przekazano ich Polakom.

Szczególnie Brytyjczycy obawiali się, że wiadomość o zbliżeniu niemiecko-rosyjskim zniechęci Polaków do stawiania oporu Niemcom. Natychmiast rozpoczęli więc formalizowanie zbliżenia polsko-brytyjskiego. Zanim osądzimy postępowanie Brytyjczyków jako dwulicowe, warto wiedzieć, że Polacy postąpili dokładnie tak samo: zaniepokojeni, że wiadomość o zbliżeniu niemiecko-rosyjskim zniechęci Brytyjczyków do popierania Rzeczypospolitej, natychmiast rozpoczęli formalizowanie zbliżenia polsko-brytyjskiego. Już 25 sierpnia podpisano „Układ o pomocy wzajemnej między Polską a Wielką Brytanią” – formalny sojusz pomiędzy oboma państwami, uzupełniony... tajnym protokołem.

Tajny protokół polsko-brytyjski precyzował, że „przez określenie »jedno z mocarstw europejskich« używane w Układzie należy rozumieć Niemcy” oraz że „przeciwstawienie się temu mocarstwu” ma nastąpić w razie jego agresji również na Wolne Miasto Gdańsk, Belgię, Holandię i Litwę, a także – z pewnymi zastrzeżeniami – Łotwę i Estonię. W polsko-brytyjskim tajnym protokole wspomniano również o zainteresowaniu obu stron Rumunią i Węgrami. Jak widać, tajne protokoły były wówczas, a być może są nadal, nieodłączną częścią dyplomacji.

Czy polski rząd, sam opatrujący oficjalne umowy międzynarodowe tajnymi protokołami, mógł zakładać, że pakt Hitler–Stalin nie zawiera tajnego protokołu? To pytanie retoryczne, tak samo jak pytanie: „czego dotyczył tajny protokół do paktu Hitler–Stalin?”. Mógł on dotyczyć tylko Polski i tylko w kontekście zbliżającej się wojny. Rozumieli to nie tylko polscy dyplomaci i politycy, ale również zwykli ludzie: w kilku polskich gazetach ukazały się informacje – w dużej mierze zmyślane – o istnieniu tajnego protokołu.

Pakt Hitler–Stalin, zamiast przyspieszyć niemiecką agresję na Polskę, tylko ją opóźnił. Początkowo atak planowano na 26 sierpnia, ale wiadomości z Londynu o oficjalnym sojuszu polsko-brytyjskim wywołały zamieszanie i uderzenie na Polskę przełożono o pięć dni. Pięć bardzo cennych dni, które pozwoliły na lepsze przygotowanie Rzeczypospolitej i Wojska Polskiego do wojny.

Pamiętajmy o tym, że w stolicach europejskich – w Paryżu, Londynie i Warszawie – doskonale zdawano sobie sprawę z faktu, że związanie się III Rzeszy ze Związkiem Sowieckim doprowadzi do wojny, która ostatecznie zniszczy Niemcy. Nikomu rozsądnemu nie przychodziło do głowy, że Niemcy nie są świadomi tego, że sami wkładają swoją głowę w stryczek (na szubienicy zawisł Ribbentrop, a w przypadku Hitlera należałoby raczej napisać: „sami sobie wkładają cyjanek do ust”).

Zresztą podpisanie paktu Hitler–Stalin w niczym nie zmieniało sytuacji Polaków. Odkładając na bok wszelkie emocje i traktując podejmowanie decyzji według matematycznej teorii gier, w obliczu paktu Hitler–Stalin Rzeczpospolita mogła albo kapitulować, albo walczyć. Kapitulacja oznaczała zerwanie sojuszy i zdanie się na łaskę Niemców (a więc również realizację tajnego protokołu i oddanie wschodnich ziem Sowietom). Podjęcie walki oznaczało zwycięstwo nad Niemcami: albo szybkie – nad samotną III Rzeszą, albo po kilku latach – nad sojuszem nazistów i komunistów.

Wojna rozpoczęła się atakiem na Wieluń

Wojna rozpoczęła się od bombardowania niewielkiego Wielunia – miasteczka w południowo-zachodniej części województwa łódzkiego. Niemcy zaatakowali, zanim jeszcze wybuchła wojna, a celem terrorystycznego nalotu była ludność cywilna. Takie działanie miało zastraszyć Polaków.

Precyzja lotniczych bombardowań w czasie II wojny światowej nie była zbyt duża. Z wysokości kilku tysięcy metrów tak niewiele widać, że bomby zrzucono raczej w okolicach celu niż w cel. Dlatego wymyślono bombowce nurkujące: po wykryciu celu spadały na niego niemal pionowo, mając wystarczająco czasu do wycelowania i zrzućcenia bomb z niewielkiej wysokości. Celność wzrastała, ale znacznie zwiększało się ryzyko zestrzelenia.

15 sierpnia 1939 roku na lotnisku Neuhammer (dzisiejszy Świątoszów) dygnitarze Luftwaffe mieli zapoznać się z niemieckim bombowcem nurkującym Junkers 87 B, zwanym potocznie sztukasem (*Sturzkampfflugzeug* – „samolot bombardowania nurkowego”). Miał jeden silnik, dwuosobową załogę, pod kadłubem przenosił 250-kilogramową bombę,

a pod skrzydłami cztery bomby po 50 kg. Czternaście sztukasów lecących nad Świętoszowem zanurkowało w chmury, które – wbrew prognozom pogody – rozpościerały się do samej ziemi. Trzynaście samolotów wbiło się w grunt, zginęło 26 lotników. Jedynie dowódca eskadry zdołał wyprowadzić samolot z nurkowania.

Niemiecka propaganda zrobiła ze sztukasów symbol niemieckiego blitzkriegu. Ich naloty były bardzo widowiskowe, a w kronikach filmowych obrazki rzucających się na ofiarę bombowców nurkujących można było podrasować przerażającym dźwiękiem syren. Tak naprawdę Niemcy nie mieli ich zbyt dużo, ich walory bojowe były dość przeciętne i już w 1940 roku zostały skierowane do drugorzędnych zadań. Do dziś pozostają jednak symbolem niemieckiej agresji.

Wczesnym rankiem 1 września z lotnisk Nieder Ellguth oraz Neudorf na Opolszczyźnie – dziś Ligota Dolna oraz Polska Nowa Wieś – wystartowało sześć eskadr sztukasów. Niemal 60 bombowców miało eskortę dwóch eskadr myśliwskich na samolotach Messerschmitt Bf-109D, a rozpoznanie przed akcją i po niej realizowały pojedyncze samoloty Dornier 17P.

Po kilkudziesięciu minutach dość okrężnego lotu znalazły się nad Wieluniem. Było to wówczas 15-tysięczne miasto w województwie łódzkim, oddalone o 20 km od granicy. Wieluń niczym się nie wyróżniał na tle innych miast regionu: nie miał przemysłu, trzecią część ludności stanowili Żydzi, a większość zabudowy była drewniana. W piątkowy poranek wszyscy szykowali się do zwyczajowego targu, więc oprócz obywateli miasta znaleźli się w nim również rolnicy z okolicznych wsi.

Niemieckie bombowce nadleciały nad Wieluń w dwóch falach, a bombardowanie trwało – z przerwami – około pół godziny. Nie było to bombardowanie dywanowe, bomb nie

zrzucono jedną salwą, tylko pojedyncze maszyny schodziły w dół lotem nurkowym, starając się trafić w wyznaczone punkty. Po skończonym nalocie miasto zostało sfotografowane przez samolot rozpoznawczy, a bombowce i myśliwce wróciły do baz. Nie wszystkie: cztery myśliwce zostały uszkodzone nad Wieluniem i całkowicie rozbite podczas prób awaryjnego lądowania, ten sam los spotkał jednego sztukasa. Drugiego udało się posadzić na lotnisku i wyremontować.

Miasto zostało zrujnowane, z zabudowy rynku ostało się jedynie kolegium pijarów. Zginęło wielu mieszkańców. Jak wielu – nie wiadomo. Podawane są różne liczby: 1000, 1200, 2000, a nawet dokładnie 2196. Imiennie udało się zidentyfikować 161 ofiar. Gdyby autorzy nie obawiali się oskarżeń o próbę lekceważenia martyrologii miasta, stwierdziliby, że jest to liczba zbliżona do podobnych bombardowań przeprowadzanych w czasach II wojny światowej. Później jednak nastąpił masowy exodus ludności. Niemcy wymordowali Żydów, część mieszkańców przeniosła się na Ziemie Odzyskane, więc ubytek 1000, 1200, 2000 czy nawet 2196 ludzi może brzmieć prawdopodobnie. Zwłaszcza że przez kolejnych kilkanaście lat nikt nie zajmował się wojennymi dziejami miasta.

Kampanią 1939 roku, w tym także Wieluniem, zainteresowano się po 1956 roku. Przedtem nawet zwykła próba zbierania relacji od uczestników wydarzeń zostałaby potraktowana przez większość mieszkańców jako prowokacja Urzędu Bezpieczeństwa, a przez Urząd Bezpieczeństwa – jako działalność wymierzona w obronność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W 1959 roku odsłonięto w Wieluniu tablicę upamiętniającą ofiary nalotu rozpoczętego „1 września o godzinie 4.40”. Pierwsze artykuły o bombardowaniu Wielunia pojawiły się w latach 60. XX wieku – ponad 20 lat po tym wydarzeniu. Wywołały one duże zainteresowanie, a sprawę

dokładnie zbadała Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – od 1984 roku nosząca nazwę Instytutu Pamięci Narodowej – i w 1977 roku opublikowała wyniki oficjalnych badań.

Relacje zbierane po latach są specyficzne. Przedstawiają one nie tyle indywidualny punkt widzenia, ile wizję społeczną – wielokrotnie przedyskutowaną w gronie współuczestników, skanalizowaną przez dyskusje w mediach i nauki szkolne. Wszyscy już wiedzieli, że wojna rozpoczęła się o godzinie 4.45, a tymczasem bomby na Wieluń spadły, zanim jeszcze rozległ się huk armat. Musiało być więc wcześniej, szczególnie że w archiwach niemieckich odnaleziono dokumenty mówiące, że nalot rozpoczęto o 5.40. Biorąc pod uwagę różnice stref czasowych – bo NRD i PRL znajdowały się wówczas w dwóch różnych strefach – potwierdzało to godzinę 4.40 czasu polskiego. Ale czy dwie różne strefy czasowe istniały również w 1939 roku?

Już w XXI wieku łódzki oddział IPN prowadził „Śledztwo w sprawie zabójstwa przez lotników niemieckich w dniu 1 września 1939 roku, podczas bombardowania miasta, 32 pacjentów Szpitala w Wieluniu oraz kilkuset Polaków i Żydów, którzy zginęli w innych miejscach podczas bombardowania miasta, to jest o zbrodnię nazistowską stanowiącą zbrodnię wojenną”. Śledztwo umorzono 9 czerwca 2011 roku – sprawcy już nie żyli. Ustalono jednak, że we wrześniu 1939 roku w całym powiecie wieluńskim zginęło 650 cywilów. Część z nich – ale tylko część – zginęła podczas bombardowania Wielunia. „Zebrane w śledztwie materiały wykazały, że wskutek bombardowania Wielunia zginęło co najmniej 18 osób spośród pacjentów i personelu Szpitala w Wieluniu, oraz co najmniej 109 Polaków i obywateli polskich narodowości żydowskiej. Liczba ta z pewnością mogła być znacznie

większa”*. Co ważniejsze, „przy ustaleniu, iż nie było wówczas różnicy między czasem polskim i niemieckim, przyjęto, że atak na miasto Wieluń rozpoczął się o godz. 5.40”**.

I co dały te ustalenia? Nic. Mit o bestialskim bombardowaniu Wielunia, zanim jeszcze rozpoczęła się wojna, wciąż jest żywy. Równie żywy jest mit o ohydnych motywach, którymi kierowali się Niemcy, bombardując cywilne miasto. Według jednych chcieli oni zbadać skuteczność sztukasów, według innych – przerazić cywilną ludność, zmusić ją do ucieczki i rozsiać panikę po całej Polsce. Mit o tym, że II wojna światowa nie rozpoczęła się na Westerplatte o 4.45, tylko w Wieluniu o 4.40, był – i nadal jest – powtarzany jako prawda.

Bombardowanie Wielunia nie było dowodem bestialstwa Niemców, tylko ich partactwa. Celem sztukasów były polskie lotniska w okolicach Kalisza. Jako że wysłany przodem samolot rozpoznawczy nie był w stanie ich zlokalizować – najprawdopodobniej dlatego, że istniały one jedynie w niemieckiej wyobraźni – wyprawę bombową skierowano na cel zastępczy, na Wieluń. Tutaj bowiem – według wywiadu niemieckiego – stacjonowała Wołyńska Brygada Kawalerii. „Z polskiej brygady kawalerii nie pozostało nic!” – cieszyli się wracający z bombardowania niemieccy piloci.

Tymczasem polskiej brygady kawalerii w Wieluniu nie było. To, co z humanitarnego punktu widzenia było wielką tragedią mieszkańców miasta, z wojskowego punktu widzenia było kosztowną porażką niemieckiego lotnictwa. Niemieckie uderzenie trafiło w próżnię. Zmarnowano wysiłek sześciu eskadr bombowców nurkujących – czwartej części tych sił

* <https://lodz.ipn.gov.pl/pl6/sledztwa/sledztwa/oddzialowa-komisa-w-lo/31454,Sledztwa-zakonczone-wydaniem-postanowienia-omumorzenu.html> (dostęp: 7 stycznia 2019).

** *Ibidem*.

skierowanych na Polskę. Spalono około 50 ton paliwa i zmarnowano około 30 ton bomb. To sporo – dowieszenie tego materiału na lotnisko wymagało zatrudnienia przez całą dobę kilkudziesięciu specjalistycznych ciężarówek. Bezpowrotnie stracono pięć samolotów bojowych – najprawdopodobniej zresztą uszkodzonych odłamkami własnych bomb.

Ale koszty niemieckiej porażki były znacznie wyższe. Gdyby bowiem niemiecki wywiad i niemieckie rozpoznanie – notabene dwie różne instytucje – działały skutecznie, bomby trafiłyby w Wołyńską Brygadę Kawalerii i otworzyły drogę niemieckim czołgom. Niemieccy lotnicy spudłowali o jakieś – bagatela! – 35 km, a Wołyńska Brygada Kawalerii urządziła Niemcom krwawą łaźnię w bitwie pod Mokrą.

Nawet gdyby bombardowanie Wielunia rozpoczęło się godzinę wcześniej, nie byłoby pierwszą niemiecką akcją zbrojną wymierzoną przeciwko Polakom. Od kilku dni bowiem na granicy rozlegały się strzały, przechodzili przez nią dywersanci, a samoloty rozpoznawcze – obu stron – wlatywały w przestrzeń powietrzną sąsiadów. Tuż po północy 1 września nadgorliwi niemieccy pogranicznicy zajęli kilka wielkopolskich posterunków Straży Granicznej i już ich nie opuścili. To należy uznać za – przynajmniej chronologicznie – początek niemieckiej agresji.

Pierwsza śmiertelna ofiara II wojny światowej poległa jednak już 31 sierpnia. Tego dnia wieczorem Niemcy próbowali dokonać prowokacji, która uzasadniłaby wojnę. Sześciu esesmanów przebranych za Polaków sterroryzowało obsługę radiostacji w niemieckich wówczas Gliwicach i próbowało nadać stamtąd komunikat po polsku. „Próbowało”, ponieważ przygotowując się do akcji, nie zdołali się dowiedzieć, że atakowany budynek jest placówką techniczną, niemającą studia nagrań. O prowokacji gliwickiej świat dowiedział

się wówczas, gdy nie miało to większego znaczenia. Niestety esesmani porwali Franciszka Honioka, niemieckiego obywatela narodowości polskiej, i zabili go na schodach radiostacji, aby uwiarygodnić legendę „polskich dywersantów”.

Ani bombardowanie Wielunia, ani zajęcie posterunków Straży Granicznej, ani nawet prowokacja gliwicka nie miały decydującego znaczenia dla losów wojny. Mogła się ona rozstrzygnąć w dwóch innych miejscach, uznanych przez Niemców za tak ważne, że interesowało się nimi całe naczelne dowództwo niemieckie z Adolfem Hitlerem na czele i że zdecydowano się na ich zaatakowanie jeszcze przed godziną 4.45. I o tych dwóch akcjach napiszemy w kolejnym rozdziale.

Niemiecki atak był zaskoczeniem?

Wybuch wojny zaskoczył Polaków, którzy nie byli na nią przygotowani. Niemcy wykazali się agresją i inicjatywą, a Wojsko Polskie biernie przyglądało się wydarzeniom. Nic dziwnego, że już w pierwszych godzinach wojny Wehrmacht zaczął odnosić sukcesy, które zadecydowały o ostatecznym wyniku kampanii. Niektóre z tych zaskakujących niemieckich akcji zostały przeprowadzone jeszcze przed wybuchem wojny.

Większość niemieckich akcji przeprowadzonych przed oficjalnym terminem rozpoczęcia działań wojennych miała niewielkie znaczenie i wynikała z inicjatywy – nie zawsze właściwej – dowódców niższego szczebla. Jednak dwa z tych przedsięwzięć, o znaczeniu wręcz strategicznym, wzbudziły zainteresowanie najwyższych władz III Rzeszy, a nawet samego wodza Adolfa Hitlera. W obydwu akcjach Niemcy ponieśli klęskę. Te polskie sukcesy są jednak stosunkowo mało znane.

Tylko nieudolni dowódcy rzucają swoich żołnierzy bezpośrednio do ataku na pozycje przeciwnika. Pozycje obronne wroga należy obejść i zaatakować ze skrzydła lub od tyłu.

Wydawałoby się, że Niemcy w 1939 roku mieli duże szanse, aby wyjść na polskie tyły – przecież Prusy Wschodnie oskrzydlały Rzeczpospolitą od północy, a posłuszna III Rzeszy Słowacja – od południa. Tymczasem Wehrmacht zdecydował się na czołowe uderzenie. Dlaczego nie skorzystał z szansy zaatakowania Białegostoku i Lwowa?

Kluczem do odpowiedzi na to pytanie jest kolej. W 1939 roku transportowanie i zaopatrywanie wojska odbywało się dzięki pociągom. Ówczesne drogi to – oprócz autostrad – drogi gruntowe i szutrowe, słabo nadające się dla samochodów ciężarowych. Samochody ciężarowe w 1939 roku były lżejsze i dużo bardziej zawodne niż współczesne. W dodatku było ich niewiele. Transport opierał się więc na kolei.

Prusy Wschodnie były odcięte od terenów Rzeszy polskim Pomorzem oraz Bałtykiem. Niemieckie wojsko miało tam ograniczone możliwości: w 1939 roku zorganizowano 3. Armię, dowodzoną przez generała Georga von Küchlera, która odważyła się przeprowadzić ograniczoną ofensywę na Warszawę. Do wykonania większego uderzenia – na przykład na Białystok i Brześć – Niemcy potrzebowali łączności kolejowej pomiędzy Prusami Wschodnimi a Brandenburgią. Ich problem polegał na tym, że jedyny most kolejowy na dolnej Wiśle – w Tczewie – znajdował się w polskich rękach. Musieli więc zdobyć go za wszelką cenę.

Podobna sytuacja była na południowej granicy Rzeczypospolitej. Gdy Niemcy opanowali Czechy i podporządkowali sobie Słowację, Polacy przeprowadzili „korekty graniczne”. Dla niezorientowanych wyglądały one niepoważnie, jak bezsensowny pokaz pseudomocarstwowej ambicji: do Rzeczypospolitej włączono wioskę w jednym miejscu i dwie czy trzy w innym. W rzeczywistości był to bardzo przemyślany ruch, gdyż pod polską kontrolą znalazła się jedyna linia kolejowa

biegnąca na wschód Słowacji, a południowa granica Rzeczypospolitej stała się bezpieczna. Niemcy do ataku na Lwów lub Brześć potrzebowali łączności kolejowej. Jednak najważniejszy tunel na tym szlaku – w miejscowości Mosty na Przełęczy Jabłonkowskiej – znajdował się teraz w polskich rękach. Musieli go zdobyć za wszelką cenę.

Plany przejścia tych obiektów Niemcy zaczęli tworzyć już wiosną. Do zajęcia Przełęczy Jabłonkowskiej zamierzali wykorzystać cywilnych dywersantów, mogących korzystać z osłony gór i lasów. Atak na mosty w Tczewie był trudniejszy: rozważano akcję cywilnych dywersantów lub desant spadochronowy, ostatecznie jednak zdecydowano się na skomplikowaną operację z udziałem bombowców, pociągu pancernego i piechoty ukrytej w cywilnym pociągu.

Polacy przygotowania do obrony tych obiektów – i nie tylko zresztą tych – podjęli dużo wcześniej niż Niemcy swoje plany ataku. Pod koniec lat 20. w Tczewie zorganizowano samodzielny 2. Batalion Strzelców – jedną z nielicznych wyspecjalizowanych formacji piechoty Wojska Polskiego. Tczew miał znaczenie nie tylko defensywne, ale i ofensywne – stąd prowadziła najkrótsza droga do Wolnego Miasta Gdańska, tędy miał maszerować na Gdańsk polski Korpus Interwencyjny. Dlatego zadaniem 2. Baonu było utrzymanie, a w razie konieczności wysadzenie mostów. Dowodził nim podpułkownik Stanisław Janik, w sierpniu 1939 roku mający pod swoją komendą również kompanię Obrony Narodowej, pluton czołgów i pluton saperów – ponad tysiąc żołnierzy. Mosty były gruntownie przygotowane do wysadzenia – komory minowe umieszczono nie w przęsłach, tylko w filarach. (Odbudowa zniszczonych przęseł zajmuje kilka dni, a zniszczonych filarów – kilka lat). Mosty nafaszerowano 10 tonami trotylu.

Podwójny tunel w Przełęczy Jabłonkowskiej również był gotowy do wysadzenia. Ładunek ukryty w wykutych przez Polaków komorach wynosił najprawdopodobniej sześć ton TNT. Na południe od tunelu znajdowała się stacja Mosty, oddzielona od reszty Polski barierą gór. Nieopodal stacjonowała drużyna piechoty oraz drużyna saperów. Dziesięć kilometrów na północ od tunelu, w Trzyńcu, stacjonował batalion Obrony Narodowej. Każdej nocy po przejechaniu ostatniego pociągu miny były uzbrajane, a od sierpnia tory blokowano stalową barierą. Podobną procedurę stosowano również w Tczewie.

Początkowo Niemcy zamierzali zaatakować Polskę rankiem 26 sierpnia. Jednak gdy dzień wcześniej Polska podpisała umowę sojuszniczą z Wielką Brytanią, skonfundowany Adolf Hitler odwołał atak, a następnie przełożył go na 1 września. Wprowadziło to dużo zamieszania w szeregach przygotowujących się do uderzenia wojsk niemieckich i doprowadziło do zatonięcia torpedowca Tiger. Rozkazu odwołującego agresję nie otrzymał porucznik Abwehry Hans-Albrecht Herzner, dowodzący akcją w tunelu na Przełęczy Jabłonkowskiej.

Przed świtem 26 sierpnia Niemcy opanowali dworzec, wcześniej – zupełnie niepotrzebnie – go ostrzeliwując. To zaalarmowało polskich żołnierzy, którzy obsadzili stanowiska obronne. Sytuacja była niejasna z powodu panującego mroku: nie wiadomo było, kto strzelał i dlaczego. Niemcy byli równie zdezorientowani. Rozpoczęli atak dopiero o świcie, korzystając ze zdobyczej lokomotywy. Polscy żołnierze nawiązali już kontakt z przełożonymi, wiedzieli więc, że wojny nie ma i nie ma potrzeby wysadzać tunelu. Niemców zatrzymały blokady założone na tory i ogień polskich żołnierzy. Nie zginął żaden Polak, co okazało się ważne, gdy dywersanci skontaktowali się ze swoim dowództwem i uzyskali informację, że wojny nie ma. Natychmiast uciekli w góry.

Na miejsce zdarzenia przybyło polskie wojsko, a dowódca nadgranicznej 21. Dywizji Piechoty Górskiej generał Józef Kustroń zażądał od Niemców wyjaśnień. Generał Eugen Ott, dowodzący niemiecką 7. Dywizją Piechoty, złożył oficjalne przeprosiny za „incydent spowodowany przez niepoczytalnego osobnika”. Nie wiadomo, czemu generał Kustroń nie nadał sprawie dalszego biegu – był jednym z tych dowódców, którzy zginęli w kampanii 1939 roku.

1 września Niemcy ponownie próbowali zająć Przełęcz Jabłonkowską – tym razem siłami 7. DP. Atak się nie powiódł, tunel został wysadzony przez Polaków, a ruch na linii kolejowej przywrócono dopiero po kilku miesiącach.

Wydarzenia w Tczewie miały o wiele bardziej dramatyczny i krwawy przebieg. Po fałstarcie z 26 sierpnia akcję przełożono na 1 września. Niemiecki dowódca podpułkownik Gerhard Medem jako jedyny dostał pozwolenie na rozpoczęcie operacji przed ustaloną godziną 4.45. Planował uderzyć kwadrans wcześniej. Podlegały mu potężne siły: trzy bataliony piechoty, trzy baterie artylerii, batalion saperów, pociąg pancerny oraz eskadra bombowa.

Nocą 31 sierpnia polscy kolejarze mieli przeprowadzić przez Pomorze niemiecki pociąg, rzekomo wiozący bydło. W rzeczywistości w krytych wagonach znajdował się batalion szturmowy. Obsługę polskiej lokomotywy wysłanej po ten skład do Malborka obezwładniono, a w mundury polskich kolejarzy przebrano niemieckich żołnierzy. Choć zadbano o ich wyszkolenie w prowadzeniu lokomotyw, to nie pomyślano, żeby wyszkolić ich w prowadzeniu polskich lokomotyw. Uruchomienie pociągu opóźniło się o kilkanaście minut. Polacy byli przyzwyczajeni do punktualności PKP, więc opóźnienie wzbudziło ich czujność i nie dali się zwieść. Podstęp zauważyli zarówno obsada posterunku granicznego,

jak i kolejarze. Skierowali oni nadjeżdżający z Prus Wschodnich pociąg na ślepy tor. Powrót na właściwy zajął Niemcom blisko 30 minut. Kilka godzin później Niemcy wymordowali 40 Polaków z Szymankowa: kolejarzy i ich rodziny.

Tymczasem nad Tczewem pojawiły się trzy samoloty z doborowymi załogami, szkolonymi od kilku dni do specyficznego zadania. Ich celem był nasyp kolejowy: przy pomocy bomb mieli przerwać kable prowadzące z polskich posterunków do założonych na mostach min. Bombardowanie rozpoczęte o 4.34 przyniosło rezultaty: kable zostały przerwane. Jednak niemiecki pociąg z batalionem szturmowym spóźnił się i Polacy szybko naprawili przerwane przewody.

Rozgorzała walka o przyczółek mostowy, utrzymywany przez Polaków. Ogień otworzyła niemiecka artyleria, do walki włączył się pociąg pancerny i ponownie nadleciały bombowce. Dla dowodzącego Polakami pułkownika Janika było jasne, że rozpoczęła się wojna, a most należy wysadzić. Pod osłoną pięciu czołgów ewakuował obsadę przedmościa, o 6.10 wysadził filary od strony Prus Wschodnich, a o 6.45 – filary od strony Pomorza. Most został całkowicie zdemolowany. Po kilku godzinach o porażce zostało zawiadomione niemieckie dowództwo, z Adolfem Hitlerem włącznie.

Te dwa epizody są w Polsce znane, ale niezbyt dobrze. Przedwczesny atak na Przełęcz Jabłonkowską jest przywoływany jako przykład wyrachowania Niemców i dowód na ich podstępność. Jednak chyba nikt z piszących o nim nie pokusił się o wyjaśnienie, w jakim celu byli tam Polacy i dlaczego Niemcom tak bardzo zależało na sukcesie, że skierowali do ataku siły specjalne. Atak na Tczew służy niemal wyłącznie do zilustrowania niemieckiego bestialstwa, a przekaz skupia się na pomordowanych polskich kolejarzach i ich rodzinach.

Dalekosiężnym skutkom polskich sukcesów obronnych nie poświęca się uwagi wcale.

A były one bardzo duże.

Zniszczenie tunelu na Przełęczy Jabłonkowskiej znacznie utrudniło Niemcom sytuację na południowej flance frontu. Uniemożliwiło im manewrowanie siłami i zaatakowanie Lwowa ze wschodniej Słowacji. Taki atak odciąłby Polaków od Rumunii i uniemożliwiłby odwrót Wojska Polskiego na południowy wschód. Tego, czego nie zdołali dokonać Niemcy, zrobili za nich Rosjanie po 17 września.

Zniszczenie mostów tczewskich o kilka dni opóźniło przejazd 4. Armii z Pomorza do Prus Wschodnich i sprawiło, że składający się z wojsk szybkich XIX Korpus generała Heinza Guderiana nie zdołał odciąć Polakom drogi odwrotu na wschód. I znów to Rosjanie, po 17 września, przecięli Polakom drogę odwrotu.

Gdyby nie sowiecki atak 17 września, polski sukces byłby jeszcze wyraźniejszy. Niemcy nie zdołali na tych trasach przywrócić normalnego ruchu przez kilka miesięcy. Miałoby to istotny wpływ na zaopatrywanie Wehrmachtu walczącego przeciwko Wojsku Polskiemu we wschodniej Polsce.

Walki na Przełęczy Jabłonkowskiej i w Tczewie są mało znane z kilku powodów. Przede wszystkim przyćmiły je późniejsze bitwy, większe i bardziej krwawe. Polskie sukcesy nie były widowiskowe – polegały na zniszczeniu broniowych obiektów i szybkim odwrocie. Najważniejsze są jednak przyczyny propagandowe. Żeby wyjaśnić istotę tych sukcesów, trzeba by uwzględnić rolę sowieckiej agresji z 17 września. Z oczywistych względów było to niemożliwe w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Polski sukces w Tczewie i na Przełęczy Jabłonkowskiej miał dalekosiężne skutki: uniemożliwił Wehrmachtowi

błyskawiczne oskrzydlenie Wojska Polskiego, przecięcie mu drogi odwrotu na wschód oraz zmniejszył o 20% możliwości zaopatrywania walczącej za Bugiem armii niemieckiej. Skutki tych zwycięstw byłyby zauważalne dopiero w końcu września. Tczew i Przełęcz Jabłonkowska są doskonałym przykładem na to, że sowiecka agresja miała wpływ nie tylko na wynik walk po 17 września, ale również na ocenę walk toczonych w pierwszych godzinach niemieckiego ataku.

Podwójny mit Westerplatte

Polacy na Westerplatte bronili się bohatersko przed Niemcami, którzy mieli kilkudziesięciokrotną przewagę liczebną. Bohaterski dowódca – major Henryk Sucharski – poddał swoją pozycję dopiero po tygodniowym oblężeniu i po odparciu kilkunastu niemieckich szturmów.

Niemcy nie atakowali Westerplatte, prowadzili tylko jego blokadę. Właściwe walki trwały krótko, ale pokazały słabość polskiej załogi – szeregowi żołnierze chcieli się poddać, a ich dowódca doznał załamania nerwowego. Aby kontynuować opór, kapitan Franciszek Dąbrowski zbuntował się przeciwko swojemu dowódcy i rozstrzelał wielu dezertorów.

Autorzy niniejszej książki zgadzają się w wielu sprawach, ale w niektórych nie mogą dojść do porozumienia. Jeden z nas uważa Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego za jednego z najlepszych polskich poetów, a drugi – za nic niewartego hochsztaplera. Jednak co do jednej rzeczy są zgodni – że *Pieśń o żołnierzach z Westerplatte* jest utworem przynoszącym więcej szkody niż pożytku, a szczególnie szkodliwy jest obowiązek nauczania się tego wiersza na pamięć.

Przedstawia on bowiem nie tylko nieprawdziwe fakty („prosto do nieba czwórkami szli”), ale – co gorsza – również nieprawdziwe intencje („ach, to nic, że tak bolały rany”). W tym ujęciu obrona Westerplatte jest kolejnym aktem strzelistym polskiego romantyzmu, pozbawioną sensu rzezią.

Mit obrony Westerplatte ma wiele wymiarów. Pierwszy z nich jest symboliczny i na świecie dość szeroko znany: rzekomo to właśnie tutaj w podstępny sposób Niemcy rozpoczęli wojnę. Kolejny – który można nazwać patriotycznym – narodził się już we wrześniu 1939 roku, gdy Polskie Radio donosiło przez siedem dni, że „Westerplatte broni się jeszcze”, gdy żołnierze tam walczący byli symbolem polskiego oporu. Następny mit – raczej fabularny niż faktograficzny – był szczególnie żywy w kilkadziesiąt lat po wojnie: 200 Polaków broniło się przed 4 tys. Niemców, zadając im straty sięgające 300–400 ludzi. Całkiem niedawno narodził się – niczym nowa świecka tradycja – antymit o załamaniu nerwowym dowódcy, kapitulanckich nastrojach wśród załogi, buncie i samosądach.

Westerplatte to długi na półtora kilometra i szeroki na 300–400 metrów półwysep, leżący u ujścia Martwej Wisły do Zatoki Gdańskiej, czyli u wejścia do gdańskiego portu. W 1924 roku Liga Narodów przekazała go w administrację Rzeczypospolitej. Powstała tam Wojskowa Składnica Tranzytowa, czyli miejsce rozładowania, magazynowania i wysyłania w głąb Polski amunicji, uzbrojenia i wyposażenia zakupionego we Francji. W związku ze zmniejszeniem się francuskich dostaw w początkach lat 30. Wojskowa Składnica Tranzytowa straciła na znaczeniu gospodarczym.

Wciąż jednak miała duże znaczenie polityczne i wojskowe. Posterunek Wojska Polskiego pojawił się tam w początkach 1926 roku. Wbrew ustaleniom Polacy ufortyfikowali

Westerplatte, maskując umocnienia jako wartownie czy domki oficerskie, oraz – również wbrew ustaleniom – niemal trzykrotnie powiększyli liczebność załogi i wyposażyli ją w broń zespołową, a nawet artylerię. Służba na Westerplatte uchodziła za prestiżową i była dobrze płatna: oprócz żołdu płacono dodatek za służbę poza granicami Polski. „Materiał żołnierski” na pewno był lepszy niż przeciętny, a jego uzbrojenie potężne: ponad 40 karabinów maszynowych, cztery moździerze piechoty, dwie armaty przeciwpancerne a nawet armata polowa 75 mm. Niemiecki wywiad – jak zwykle – nie popisał się, więc fortyfikacje, liczebność załogi i jej uzbrojenie okazały się śmiertelnym zaskoczeniem dla niemieckich żołnierzy.

Struktura Wojskowej Składnicy Tranzytowej i jej podległość służbowa były skomplikowane. Składnicą – jako jednostką logistyczną – dowodził major Henryk Sucharski, któremu podlegało około 30 pracowników „cywilnych” (z reguły oddelegowanych z wojska) oraz Oddział Wartowniczy – o liczebności kompanii i sile ognia batalionu – dowodzony przez kapitana Franciszka Dąbrowskiego. To właśnie on – młody, ambitny, bojowy oficer – miał bezpośredni kontakt z ponad 180 żołnierzami, i to jemu podlegały kwestie taktyczne. Wojskowa Składnica Tranzytowa podlegała dowódcy Floty, kontradmirałowi Józefowi Unrugowi. Jednak dowódca Oddziału Wartowniczego był podwładnym podpułkownika dyplomowanego Wincentego Sobocińskiego, szefa Wydziału Wojskowego Komisarjatu Generalnego RP w Wolnym Mieście Gdańsku.

Latem 1939 roku Oddział Wartowniczy Wojskowej Składnicy Tranzytowej był szykowany przede wszystkim do odparcia przewidywanego puczu gdańskich hitlerowców i miał oczekiwać na szybkie – w ciągu 6–12 godzin – nadejście polskiego Korpusu Interwencyjnego. W przeddzień wybuchu

wojny na Westerplatte przybył pułkownik Sobociński. Najprawdopodobniej poinformował o zmianie sytuacji politycznej i rozwiązaniu Korpusu Interwencyjnego. Przebiegu tego spotkania możemy się tylko domyślać. Są jednak tacy, którzy wierzą, że padły wówczas słowa o tym, iż Westerplatte nie musi się bronić dłużej niż 24 godziny.

1 września o godzinie 4.45 na Westerplatte otworzył ogień niemiecki okręt Schleswig-Holstein. Był to przestarzały pancernik zdeklasowany na okręt szkolny, który odwiedził Gdańsk z „pokojuową wizytą”, pod pretekstem uczczenia pamięci niemieckich marynarzy poległych 25 lat wcześniej. Dostarczył on kompanię szturmową Kriegsmarine, która wzięła udział w walkach. Główną siłą był jednak pułk gdańskich formacji porządkowych oraz pułk SS-Heimwehr Danzig, wzmocniony przybyłą z III Rzeszy artylerią (później sformowano z nich 60. Dywizję Piechoty Wehrmachtu).

Pierwszy niemiecki szturm został odparty – tak samo drugi, podjęty około południa. Niemcy – o czym wspomniano – byli zaskoczeni siłą polskiego ognia. Drugiego dnia Westerplatte zostało zbombardowane przez 58 sztukasów. Trzeciego dnia było ostrzeliwane z morza przez niemiecki torpedowiec i trałowiec, później do walki włączyła się specjalnie sprowadzona artyleria ciężka, próbowano podpalić wyschnięty las. 7 września rankiem Niemcy powtórzyli szturm na wielką skalę – on też został odparty. Był to ostatni z 13 niemieckich ataków. Tego samego dnia o godzinie 10.15 major Henryk Sucharski zarządził wywieszenie białej flagi i osobiście udał się do Niemców, aby omówić warunki kapitulacji.

Tak przedstawiają się suche fakty. Warto jednak je skomentować. Obrona Westerplatte nie miała charakteru ciągłych siedmiodniowych walk, a obrońcy nie znajdowali się przez cały ten czas pod ogniem pancernika Schleswig-Holstein.

Okręt ten strzelał tylko przez kilkadziesiąt minut pierwszego i – nieco dłużej – ostatniego dnia walki. W bezpośrednich szturmach wzięło udział mniej niż 600 Niemców, z których około 50 zginęło – to i tak spora liczba. Większość tych ofiar poległa pierwszego dnia – później panował względny spokój. Piewcy polskiego heroizmu obliczyli, że obrońcy odparli 13 niemieckich szturmów, krytycy natomiast twierdzą, że większość niemieckich działań ofensywnych nie była szturmami, bo należy je zaklasyfikować jako „rozpoznanie bojem”. (Jeśli tak, to nie świadczy to najlepiej o Niemcach: rozpoznanie bojem przeprowadza się bowiem po to, żeby kosztem życia żołnierzy zlokalizować pozycje obronne, które powinny być im znane już pierwszego dnia).

Polskie straty były o wiele niższe od niemieckich, a poniesiono je przede wszystkim podczas bombardowania lotniczego 2 września. Pierwszego dnia Niemcy zabili bowiem 4 polskich żołnierzy, a 2 września – 11. I to niemal wszystko. Niemal, bo pierwszego dnia zginął jeden z polskich żołnierzy (śmiertelnie ranny i opuszczony przez swoich towarzyszy broni, zmarł w niemieckich rękach); 5 września jeden z obrońców został wzięty za Niemca i śmiertelnie postrzelony przez kolegów, a 7 września – już po kapitulacji – zmarli dwaj ranni w ostatnim niemieckim szturmie. W kolejnych miesiącach Niemcy odnaleźli jeszcze cztery ciała w prowizorycznych grobach i ruinach umocnień.

Bombardowanie z 2 września było tak potężne, że Niemcy mogli tego dnia zająć Westerplatte. Nie zorientowali się jednak wystarczająco szybko, że obrona rozsypała się i obsady punktów oporu wycofały się bez rozkazu na tyły, a więc uciekły. Dowództwo również było w rozsypce i major Henryk Sucharski rozważał kapitulację. Spalił dokumenty i szyfry, podobno nawet rozkazał wywiesić białą flagę.

Oficerowie i podoficerowie pod przewodnictwem kapitana Dąbrowskiego opanowali jednak panikę w szeregach żołnierzy. A także w dowództwie. Cztery niezidentyfikowane ofiary mogą świadczyć o tym, że uczyniono to bardzo brutalnymi metodami. Być może jest wśród nich żołnierz, który na rozkaz majora Sucharskiego próbował wywiesić białą flagę. To, w jaki sposób przekonano samego majora do kontynuowania obrony, również jest niepewne, nie ma bowiem żadnej na ten temat relacji. Być może faktycznie użyto wobec niego siły, a później zawarto swoisty pakt milczenia.

Wiele za tym przemawia. Major Sucharski – zmarły tuż po wojnie we Włoszech – nie kreował się na bohaterskiego obrońcę Westerplatte, trudno nawet stwierdzić, że został wykreowany – ot, opinia publiczna uznała, że skoro dowodził Wojskową Składnicą Tranzytową, to musiał dowodzić również jej obroną.

Jednak ci, którzy dokładniej studiowali dzieje Westerplatte, zdawali sobie sprawę, jak wyglądało to naprawdę. Major Sucharski zostawił bardzo lakoniczną relację z obrony, w której opowiedział o przygotowaniach do niej, o pierwszym dniu walki i o swojej decyzji kapitulacyjnej z 7 września. Istotne jest to, czego w niej nie ma, a nie ma w niej opisu, jak dowodził po 2 września. Te wątpliwości widać również w pierwszym filmie fabularnym o obronie – powstałym w 1967 roku obrazie *Westerplatte*. To nie jest film akcji...

Spiritus movens obrony był bez wątpienia kapitan Dąbrowski. Po 1945 roku wstąpił do sił zbrojnych komunistycznej Polski, zapisał się do partii i szybko awansował. Nie przysporzyło mu to sympatii wśród przedwojennych kolegów, uważających takie postępowanie za niegodne, ani nie pomogło w karierze: po kilku latach, wyrzucony z wojska i partii, był prześladowany przez komunistów, a zmarł

w biedzie i zapomnieniu. Na pozycję bohatera i prawdziwego dowódcy obrony powrócił za sprawą filmu *Tajemnica Westerplatte* z 2013 roku. Film nie miał szczęścia: jedni uznali go za niepotrzebnie przypominający o dawno przebrzmiałej wojnie, drudzy – za szkalujący polskie wartości. Powstawał przez cztery burzliwe lata i miał kilka świetnych scen – szczególnie początku wojny – a głównym wątkiem był konflikt pomiędzy majorem Sucharskim a kapitanem Dąbrowskim. Nie był tak kontrowersyjny, jak zapowiadano, ale na nowo rozpałił ogień dyskusji o Westerplatte.

2 września obrona była bliska załamania. Wersja o próbie kapitulacji, krwawym stłumieniu paniki, buncie przeciwko dowódcy jest prawdopodobna. Ale równie prawdopodobny jest scenariusz, w którym faktycznie rozważano kapitulację, spodziewając się niemieckiego szturmu, a gdy on nie nastąpił – kontynuowano obronę pod ogólnym nadzorem majora Sucharskiego i fachowym dowództwem kapitana Dąbrowskiego. Tak naprawdę nie wiemy, co – i komu – powiedział podczas swojej ostatniej wizyty pułkownik Sobociński (trzeba pamiętać, że major Sucharski powinien przyjmować rozkazy od admirała Unruga, a kapitan Dąbrowski był nie tylko oficjalnym podwładnym pułkownika Sobocińskiego, ale również jego długoletnim współpracownikiem). Niewiele wiemy o czterech tajemniczych ciałach polskich żołnierzy, jednak ci niekoniecznie musieli być dezterami.

Ale jak duże ma to znaczenie? Być może prawdziwy sens dyskusji o mitach Westerplatte polega na tym, że pokazują one, jak Polacy chcieliby widzieć II wojnę światową. A chcieliby, żeby była romantyczna i żeby bohaterowie byli bez żadnej skazy.

Bo przecież decyzję o kapitulacji już 2 września łatwo uzasadnić. Nie zdajemy sobie jednak sprawy z wielu aspektów.

Z tego, że bombardowanie owego dnia było najintensywniejszym bombardowaniem lotniczym w dotychczasowych dziejach światowego lotnictwa. Z tego, że pełna bezmyślnego okrucieństwa i milionów ofiar wojna w pierwszych dniach września była przyszłością trudną do wyobrażenia. Kilkunastu zabitych i kilkudziesięciu rannych 1 września 1939 roku to zupełnie coś innego niż ranni i zabici 1 września 1944 roku. To nie bezimienne mięso armatnie, tylko koledzy i przyjaciele znani przez wiele lat, o których trzeba się troszczyć, a nie ryzykować ich śmiercią.

Ale obrona Westerplatte to nie tylko symbol polskiego romantycznego oporu. Miała ona swój wymiar militarny, i to o dość dużym znaczeniu. Przez tydzień 200 Polaków – a właściwie żołnierzy Wojska Polskiego, bo było wśród nich zadziwiająco dużo przedstawicieli mniejszości ukraińskiej i białoruskiej – uniemożliwiało Niemcom korzystanie z portu w Gdańsku.

Mit Westerplatte pokazuje również, że Polacy stawiają swoim bohaterom najwyższe wymagania. Kilka miesięcy później – 10 maja 1940 roku – Niemcy zaatakowali super-nowoczesny belgijski fort Eben-Emael. Obsadzony przez ponad 1000 żołnierzy, miał się bronić przez miesiąc. Poddął się po jednej dobie, otwierając Niemcom drogę do serca Belgii. Dowódcą tego fortu – a był nim pułkownik Jean Jottrand – nikt się nie interesuje, ani jako bohaterem, ani jako nieudacznikiem. Polacy na Westerplatte wytrwali o wiele dłużej niż Belgowie w Eben-Emael. Nie wystarcza nam jednak osiągnięcie ponadprzeciętnych wyników. Żądamy od naszych bohaterów, żeby wszystko robili w perfekcyjnym stylu.

Niezasłużona sława admirała Unruga

Admirał Józef Unrug doskonale dowodził polską Flotą. Zadbał o jej przygotowanie do wojny i zachował spokój podczas walk. I chociaż jego podwładnym często brakowało zimnej krwi, to prowadził ich pewną ręką, zawsze podejmując właściwe decyzje. Jego determinacji i odwadze zawdzięczamy to, że dowodzony przez niego Hel bronił się najdłużej spośród wszystkich polskich twierdz.

Co właściwie kontradmirał Józef Unrug robił we wrześniu 1939 roku? A raczej: jak powinien działać jako dowódca Floty? Żeby wyjaśnić to zagadnienie, musimy zacząć od definicji floty. W najszerszym znaczeniu jest to po prostu „ogół statków podporządkowanych państwu i noszących jego banderę”. Natomiast w tym przypadku chodzi o Flotę, rozumianą jako „związek taktyczny Marynarki Wojennej”, odpowiednik dywizji w wojskach lądowych. Pozostałe związki taktyczne Marynarki Wojennej to Flotylla, działająca na rzekach wschodniej Polski, oraz – już po mobilizacji – Obrona Wybrzeża. Dowódców Floty, Flotylli i Obrony Wybrzeża można porównać do dowódców dywizji, tylko z nieco większymi uprawnieniami dyscyplinarnymi.

W 1939 roku generalny inspektor sił zbrojnych marszałek Edward Śmigły-Rydz powierzył Marynarce Wojennej kilka istotnych zadań. Pod względem ważności dla polskiej racji stanu można je następująco uszeregować: niedopuszczenie do zajęcia Gdyni zaskoczenia (poprzez wykorzystanie polskich okrętów podwodnych i zapór minowych), ewakuacja polskiej floty handlowej z Bałtyku, odejście Dywizjonu Kontrtorpedowców do Wielkiej Brytanii, obrona Rejonu Umocnionego Hel oraz zwalczanie nieprzyjacielskiej żeglugi na Bałtyku.

Kwestia Gdyni i Pomorza – jako oficjalna przyczyna konfliktu polsko-niemieckiego – była priorytetowa. Gdyby Niemcom udało się zaskoczyć Polaków i zająć te tereny, Rzeczpospolita podzieliłaby prawdopodobnie los Czechosłowacji po zajęciu Chebu przez Niemców we wrześniu 1938 roku czy Ukrainy po zajęciu Krymu przez „zielone ludziki” w roku 2014. Alianci mogliby uznać, że skoro Polacy nie bronią swojego terytorium, nie warto angażować się po ich stronie. Niemiecki atak na Gdynię był dużo bardziej prawdopodobny, niż dziś się może wydawać. W 1939 roku Niemcy zajęli w ten sposób Kłajpedę, a Włosi – Albanię. Inne konflikty lat 30. – w Chinach, Abisynii czy Hiszpanii – również rozpoczęły się od desantu morskiego. Niebezpieczeństwo było realne, co pokazują losy Norwegii w 1940 roku, a szczególnie Danii. Niemcy zajęli to państwo przy pomocy tych samych sił lądowych i morskich, które – jak przewidywał polski wywiad – mieli skierować przeciwko Gdyni.

Ewakuacja floty handlowej była ważna z przyczyn gospodarczych, natomiast odejście Dywizjonu Kontrtorpedowców już nie miało takiego znaczenia – było kwestią taktyczną, zależną od szczęścia wojennego. Rejon Umocniony Hel miał bronić się jak najdłużej, jednak zdawano sobie sprawę, że

wojna rozstrzygnie się w głębi lądu. Elementami ułatwiającymi obronę RU Hel była obrona Gdyni oraz Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Zwalczanie nieprzyjacielskiej żeglugi na Bałtyku miało znaczenie najmniejsze, przede wszystkim propagandowe.

Które z tych zadań powierzono dowódcy Floty kontradmirałowi Unrugowi? Ewakuacją floty handlowej zajęto się na szczęblu rządowym. Przygotowało ją Kierownictwo Marynarki Wojennej z admirałem Jerzym Świrskim. Warto przypomnieć, że było ono częścią Ministerstwa Spraw Wojskowych, a więc instytucją cywilną. Również decyzję o odejściu Dywizjonu Kontrtorpedowców podjął generalny inspektor sił zbrojnych marszałek Edward Śmigły-Rydz. Natomiast admirał Unrug miał nie dopuścić do zajęcia Gdyni zaskoczenia, bronić Rejonu Umocnionego Hel oraz zwalczać nieprzyjacielską żeglugę na Bałtyku. Jak wywiązał się z tego zadania?

Obawiano się, że Niemcy mogą uderzyć zaskoczenia na Gdynię i Hel od strony morza. Polska obrona opierała się na planie „Worek”, opracowanym przez dowódcę Dywizjonu Okrętów Podwodnych komandora porucznika Aleksandra Mohuczego. Dostępu do Helu, a także Gdyni i Gdańska miały bronić okręty podwodne rozmieszczone w ściśle określonych sektorach dozoru. Realizację planu rozpoczęto kilka godzin po niemieckim uderzeniu na Polskę: okręty wyszły z bazy w Gdyni po godzinie 9.00, a ORP Sęp przybył do swojego sektora dopiero późnym popołudniem 1 września. Na szczęście Niemcy nie podjęli próby zajęcia spornych terenów z morza i opóźnienie nie miało większego znaczenia.

Skąd się jednak wzięło? Dlaczego polskie okręty, albo przynajmniej część z nich, nie znajdowały się w swoich sektorach jeszcze w czasie pokoju? Przykładowo: decyzję o перебазowaniu samolotów na lotniska polowe podjęto już 30 sierpnia

i była ona jednym z elementów polskiego planu mobilizacyjnego, tak samo jak decyzja o wyprowadzeniu wojsk lądowych w pole i przebazowaniu Dywizjonu Kontrtorpedowców. Dlaczego więc polskie okręty podwodne wychodziły w morze kilka godzin po niemieckim ataku? Kto odpowiadał za to podwójne opóźnienie? Według zasad podległości służbowej – admirał Unrug.

Opowieści o druzgoczących atakach samolotów Luftwaffe na polskie lotniska i o wyeliminowaniu polskiego lotnictwa z walki uchodzą za legendę rozpowszechnianą przez historyków zagranicznych. Tkwi w nich jednak ziarno prawdy. Przypomnijmy, że lotnictwo nie było wówczas samodzielną siłą zbrojną. I o ile lotnictwo wojsk lądowych zawczasu przebazowano na lotniska polowe i uchroniono przed niemieckim bombardowaniem, o tyle niestety lotnictwo Marynarki Wojennej zostało przez Niemców skutecznie wyeliminowane.

Trzeci z dywizjonów Floty, Morski Dywizjon Lotniczy, miał w sierpniu 1939 roku 31 maszyn, z których mniej niż połowa była maszynami bojowymi. 1 września około 6.00, a więc ponad godzinę od rozpoczęcia ataku na Polskę, baza MDLot w Pucku została zaskoczona, zbombardowana i zniszczona przez eskadrę niemieckich heinkli 111, a jej dowódca – komandor porucznik pilot Edward Szystowski – poległ. Morski Dywizjon Lotniczy nie tylko nie został przebazowany w ramach mobilizacji, ale nawet nie został poinformowany przez swoich zwierzchników o wybuchu wojny.

W kolejnych dniach zwierzchnicy również nie przejawiali zainteresowania nim. Dowództwo objął dawny zastępca dowódcy – komandor porucznik pilot Kazimierz Szalewicz, który ustawił pozostałe samoloty w lesie nieopodal Juraty. Wiemy, że 3 września sprawnych było jedynie pięć maszyn. Pierwszy lot bojowy samolotu polskiego lotnictwa morskiego

odbył się dopiero w nocy z 5 na 6 września. Drugi – i ostatni – w nocy z 7 na 8 września. Samoloty zostały wówczas zniszczone atakiem lotniczym, a MDLot rozwiązano.

W tym czasie samoloty plutonu łącznikowego Lądowej Obrony Wybrzeża pułkownika Stanisława Dąbka – dwa RWD-13 i Lublin R-XIII – operowały z Rumii i Gdyni. 13 września sprawny RWD-13 ewakuował się lotem do Szwecji. 17 września Lublin próbował dolecieć z Kępy Oksywskiej na Hel, ale skraksował podczas lądowania. Za wykorzystanie plutonu łącznikowego Lądowej Obrony Wybrzeża odpowiadał pułkownik Stanisław Dąbek, a za wykorzystanie Morskiego Dywizjonu Lotniczego – admirał Unrug.

Drugą częścią obrony polskiego Wybrzeża przed atakiem z morza było zaminowanie wejścia do Zatoki Puckiej. Plan nosił kryptonim „Rurka” i zakładał postawienie dwóch rzędów po 150 min od Helu po Sopot. Zadanie miał wykonać stawiacz min ORP Gryf osłaniany przez kontrtorpedowiec ORP Wicher. Wymogi polityki zagranicznej sprawiały, że zagrożenie minową można było postawić dopiero po wybuchu wojny, na rozkaz wodza naczelnego. Decyzja zapadła po południu 1 września. ORP Gryf pobrał miny z krypt na Zatoce Puckiej, ale około 18.00 został zaatakowany przez ponad 30 niemieckich bombowców nurkujących Ju 87. Podczas ataku doznał uszkodzeń, m.in. steru, zginęło również pięciu marynarzy, w tym dowódca komandor Stefan Kwiatkowski. Dowodzenie okrętem przejął jego zastępca kapitan Wiktor Łomidze, który zdecydował o przerwaniu operacji i wyrzuceniu min za burtę.

Decyzja ta jest dzisiaj powszechnie krytykowana, a kapita Łomidze oskarża się o tchórzostwo. Tymczasem spełnił on jedynie swój regulaminowy obowiązek, ponieważ dowódca musi przede wszystkim dbać o bezpieczeństwo okrętu.

O realizację zadania ma dbać dowódca zespołu, w tym przypadku – dowódca Floty. To dowódca Floty kieruje operacją podległych mu sił, tym bardziej jeśli w tej operacji jest zaangażowana większość jego okrętów. Przykładów jest mnóstwo, ale przypomnijmy operację „Rheinübung”, w której również brały udział jedynie dwa okręty: pancernik Bismarck i krążownik Prinz Eugen. Na pokładzie Bismarcka znajdował się dowódca niemieckiej Floty, trzygwiazdkowy admirał Günther Lütjens. Kontradmirała Józefa Unruga nie było na pokładzie żadnego z okrętów wykonujących najważniejsze zadanie polskiej Floty.

ORP Gryf wrócił do portu w Helu nocą, natomiast ORP Wicher – dopiero nad ranem następnego dnia. Jego dowódca komandor porucznik Stefan de Walden nie został bowiem powiadomiony o przerwaniu operacji minowania i nadal patrolował Zatokę Gdańską. Później twierdził, że gdyby wiedział o rezygnacji ze stawiania min, mógłby z zaskoczenia zaatakować niemieckie niszczyciele: „Straciłem największą szansę w swoim życiu!”. Jego pretensje nie do końca były słuszne. Gdyby wiedział o odwołaniu operacji, z pewnością wróciłby do Helu i nie miałby żadnej szansy na atak.

2 września zapadła decyzja, aby okręty Gryf i Wicher przycumować do nabrzeża i przekształcić w pływające baterie artylerii. Oznaczało to dla nich wyrok śmierci. Pozbawione możliwości manewrowania, stałyby się łatwym celem dla niemieckiego lotnictwa. W tej sytuacji dowódca Wichra komandor de Walden zaproponował przedarcie się przez Cieśniny Duńskie, co najprawdopodobniej również zakończyłoby się zatopieniem okrętu. Jednak zatopienie okrętu w bitwie morskiej miałoby większe znaczenie propagandowe.

Nowym dowódcą ORP Gryf został komandor porucznik Stanisław Hryniewiecki. Niestety, dowódca Floty nie ustalił

wzajemnej podległości obu oficerów. Gdy więc rankiem 3 września pod Hel podeszły dwa niemieckie niszczyciele, każdy z komandorów zwlekał z wydaniem rozkazu otwarcia ognia, czekając na decyzję tego drugiego. Nie chodziło tu o konwenanse, ale o skuteczne dowodzenie i niewprowadzanie zamieszania. Rozkazu nie wydał także nieobecny dowódca Floty. Ogień otwarto dopiero po kilkunastu minutach, gdy oba niemieckie niszczyciele znalazły się pod ostrzałem helskiej baterii nabrzeżnej i postanowiły przerwać bitwę.

Wieczorem 3 września ORP Wicher i ORP Gryf zostały zatopione skoncentrowanym atakiem niemieckich bombowców.

Tymczasem okręty podwodne zajmujące pozycje na podejściach do Helu były atakowane przez niemieckie samoloty, okręty nawodne i podwodne. Gdy okazało się, że Niemcy nie zamierzają zająć wybrzeża zaskakującym desantem, polskie okręty podwodne powinny przejść do działań ofensywnych na szlakach żeglugowych III Rzeszy. Plan takich działań o kryptonimie „Burza” opracowano w dowództwie Dywizjonu Okrętów Podwodnych. Najprawdopodobniej nie przyniósłby on większych sukcesów, ponieważ Niemcy zawiesili żeglugę cywilną, ale na pewno ułatwiłby unikanie ataków, ograniczył uszkodzenia i umożliwiłby ewakuację do portów sojuszniczych.

Żałogi okrętów podwodnych, poddane nieustannym bombardowaniom, były w coraz gorszej kondycji psychofizycznej. 4 września ORP Sęp – uszkodzony niemiecką torpedą, która na szczęście wybuchła przedwcześnie – samowolnie opuścił sektor i udał się na pełne morze. Podobnie uczynił ORP Ryś, który najpierw samowolnie zmienił sektor, a później – wbrew rozkazom z dowództwa Dywizjonu OP – wszedł do portu w Helu, aby dać wytchnienie załodze i dokonać mniejszych

napraw. Również ORP Orzeł opuścił sektor. Jego losy są najlepiej znane i w pewien sposób najsmutniejsze.

Dowódca ORP Orzeł komandor podporucznik Henryk Kłockowski rozchorował się na tyle poważnie, że dowództwo Dywizjonu OP poleciło mu zejść z okrętu albo w Helu, albo w którymś z neutralnych portów. Wybrano estoński Tallin, gdzie komandor Kłockowski został przewieziony do szpitala, a okręt – internowany. Rok wcześniej Estonia ogłosiła bowiem, że nie będzie respektowała zwyczajowego prawa zezwalającego na wpływanie okrętów wojennych, o czym dowództwo – od rządowego szefostwa KMW, poprzez dowództwo Floty, aż po dowódcę Dyonu OP – nie poinformowało kapitanów. ORP Orzeł zdołał uciec z Tallina, ale komandor Kłockowski pozostał na brzegu, w szpitalu. Później był więziony przez Sowieców, a po ewakuacji z ZSRS – skazany na degradację i więzienie przez polski sąd na wychodźstwie. Proces dość powszechnie został uznany za niesprawiedliwy, ale do Henryka Kłockowskiego do końca życia przyłgnęła łątka tchórza.

Spośród pięciu polskich okrętów podwodnych żaden nie odniósł sukcesu, żaden też nie został zatopiony. Jednak tylko dwa zdołały kontynuować walkę, a trzy zostały internowane w Szwecji, były bowiem zbyt uszkodzone, aby ryzykować rejsy do Wielkiej Brytanii. Gdyby dowództwo o nich nie zapomniało i pozwoliło im przejść do sektorów nienarażonych na niemieckie ataki, być może zdołałyby dotrzeć na Zachód.

Podobnie jak o lotnictwie morskim, stawiaczu min i kontrtorpedowcu oraz okrętach podwodnych, admirał Unrug zapomniiał również o Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Przede wszystkim nie poinformował dowodzącego nią majora Henryka Sucharskiego, że plan wkroczenia polskich wojsk do Gdańska został zarzucony. Jednoznaczne

rozkazy zmniejszyłyby liczbę poległych podczas obrony placówki, zapobiegłyby konfliktowi pomiędzy oficerami, a decyzje majora Sucharskiego o zaprzestaniu obrony nie wzbudziłyby tak wielkiej sensacji.

Wyjaśnienia wymaga również bierność dowódcy Floty i Obrony Wybrzeża podczas ostatnich dni walk na Kępie Oksywskiej. Pozycje obronne nie zostały zajęte przez Niemców, tylko opuszczone przez Polaków. Był to skutek szoku na wiadomość o przyłączeniu się Sowietów do wojny po stronie niemieckiej. Dowódca Lądowej Obrony Wybrzeża odebrał sobie życie, ponieważ jego żołnierze „samodzielnie się demobilizowali”. Admirał Unrug nie miał oczywiście możliwości przyjscia z pomocą Kępie Oksywskiej, ale mógł chociaż podjąć próbę nocnej ewakuacji części obrońców dostępnymi środkami. Nie wziął też na siebie odpowiedzialności za kapitulację Oksywiu, pozostawiając tę decyzję pułkownikowi Dąbkowi – podobno przekazał mu tylko enigmatycznie, że „jatek sobie nie życzy”.

Podobny problem ze spójnością obrony wystąpił na Półwyspie Helskim. Niemcy bombardowali go na przemian pociskami i ułotkami wzywającymi do kapitulacji. W rezultacie 25 września cywile wywiesili białe flagi, a kilka dni później kapitulacji zażądali żołnierze dwóch kompanii przeciwdesantowych i baterii artylerii. Bunt zażegnano, ale utrzymanie dyscypliny było bardzo trudne, ponieważ prowodyrów nie oddano pod sąd polowy. Nie życzył sobie tego admirał Unrug. Już 1 października nakazał zaprzestać obrony, chociaż zapasów mogło wystarczyć do 15 grudnia. Swoją decyzję uzasadniał tym, że na Bałtyku nie działały już polskie okręty, a poziom dyscypliny był tak niski, że obrona „nie mogła trwać dłużej jak 5 do 10 dni”. Wszystkie te argumenty są w najlepszym wypadku mocno naciągane, a w najgorszym – kłamliwe.

Hel kapitulował 2 października, nie wykorzystując wszystkich możliwości obrony.

Bardzo niewiele wiemy o sytuacji i działaniach dowódcy Floty i Obrony Wybrzeża w pierwszych dniach września. Środowisko marynarskie było bardzo hermetyczne, a admirał Świrski miał na tyle mocną pozycję, że zablokował wszelkie próby rozliczenia z przeszłością czynione przez premiera i wodza naczelnego generała Władysława Sikorskiego. Tym bardziej później, gdy admirała Unruga ogłoszono bohaterem, wszystkie próby wyjaśnienia prawdy zostałyby odebrane jako szarganie świętości. Świętości nie można było szargać, szczególnie gdy komuniści rządzący w Polsce mieszały z błotem wszystkich dowódców z 1939 roku. Admirał Unrug uniknął tego losu, ponieważ z punktu widzenia władz PRL doskonale nadawał się na bohatera: nie walczył przeciwko Rosjanom, uniknął poważniejszych strat i nie kontynuował oporu w październiku.

Istnieją tylko szczątkowe relacje wyjaśniające bierność admirała Unruga. W pierwszych dniach września zamknął się on w schronie nieopodal Jastarni, borykając się z „głębokim kryzysem psychicznym” oraz „z problemami dermatologicznymi”. Te „problemy dermatologiczne” to łuszczyca: przewlekła, nawracająca choroba, pogłębiająca się w sytuacji stresowej, ekstremalnie niemiła dla chorego, wprost wstydliva i często utrudniająca kontakt z innymi ludźmi.

Z powodu błędnych decyzji i zaniedbań Polska utraciła lotnictwo morskie, dwa najsilniejsze okręty nawodne i trzy okręty podwodne. Być może, choć trudno w to uwierzyć, wszystkie te błędy popełnili wyłącznie podwładni admirała Unruga. Stawiałoby to jednak pod znakiem zapytania jego zdolności przywódcze. Trudno natomiast wyjaśnić nieobecność dowódcy Floty na okrętach wykonujących najważniejsze

zadanie bojowe. W wielu państwach skutkowałoby to postawieniem takiego admirała przed sądem wojennym. Również okoliczności kapitulacji twierdzy – a właśnie tym był Rejon Umocniony Hel – były z reguły analizowane przez sądy wojenne albo komisje parlamentarne. Jeśli kapitulacja nastąpiła, zanim wykorzystano wszystkie możliwości obrony twierdzy, to decyzja sądu zawsze była niekorzystna dla jej dowódcy.

Wyszukiwanie prawdziwych lub zmyślonych plam na banderze, czy też pancierzach, ma sens jedynie wówczas, gdy nie czyni się tego dla własnej ambicji lub upokorzenia nielubianej postaci. Ma sens jedynie wówczas, gdy prowadzi do oddania honorów tym, którzy na to zasłużyli.

Komandor porucznik pilot Edward Szystowski dał się zaskoczyć Niemcom, utracił Morski Dywizjon Lotniczy i... życie. Komandor porucznik Aleksander Mohuczy opracował bezsensowny plan użycia okrętów podwodnych. Kapitan Wiktor Łomidze tchórzliwie wyrzucił miny za burtę. Komandor porucznik Stefan de Walden nie potrafił porozumieć się z komandorem porucznikiem Stanisławem Hryniewieckim, przez co bitwa z niemieckimi niszczycielami została przegrana, a oba polskie okręty zatoneły. Major Henryk Sucharski był chorym psychicznie defetystą, który chciał poddać bohaterskie Westerplatte. Komandor podporucznik Henryk Kłockowski był tchórzliwym dezterterem, a pułkownik Stanisław Dąbek – romantycznym samobójcą. Tylu naiwnych nieudaczników, tchórzy oraz zdrajców i tylko jeden bohater-ski admirał?

W Wojsku Polskim w 1939 roku było ponad stu generałów i admirałów oraz kilkunastu, może kilkudziesięciu pułkowników dowodzących związkami taktycznymi. Trudno jednak znaleźć takiego, który dopuścił się tak wielu zaniechań, popełnił tyle błędów i przez tak długi czas borykał się

z „głębokim kryzysem psychicznym”. Kazimierz Fabrycy, któremu przekazano – nieprawdźiwą, jak się okazało – wieść, że jego żona i córka zginęły w bombardowaniu, dostał ataku serca i opuścił swoją armię. I to wystarczy, żeby przyłgnęła do niego łatka tchórze. Dowódcy dywizji z Armii „Łódź”, odcięci od swoich wojsk – również są tchórzami. Generał Bortnowski, który rzucił Armię „Pomorze” na ratunek pozostawionym na przedpolu formacjom dawnego Korpusu Interwencyjnego, jest z tego powodu uznawany za nieudacznika.

Admirała Józefa Unruga należy ocenić uczciwie i sprawiedliwie, bo tylko to pozwoli przywrócić honor i cześć właściwym ludziom. Sprawiedliwość powinna dotyczyć wszystkich, a nie tylko sztucznie wykreowanych bohaterów.

Z szablą na czołgi

Polscy ułani szarżowali w 1939 roku z szablami i lancami na czołgi. Możemy podziwiać ich heroiczną odwagę, jednak jest to dowód nie tylko na brak przygotowania sił zbrojnych Rzeczypospolitej do nowoczesnej wojny, ale nawet na polską głupotę. Nic dziwnego, że niemiecka i sowiecka propaganda wykorzystała to jako powód do wspólnego zlikwidowania Polski. Można o tym przeczytać w podręcznikach szkolnych, obecne jest to również w kulturze masowej.

Chyba najwięcej szkód spowodował film *Lotna* Andrzeja Wajdy, wyprodukowany w 1959 roku. Był to jeden z pierwszych filmów o 1939 roku, nakręcony po odwilży (i jeden z pierwszych w PRL filmów kolorowych), zyskał więc wielkie znaczenie jako pokazujący prawdę o kampanii polskiej. Była to jednak prawda specyficzna – zgodna z linią komunistycznej propagandy: etos polskiego żołnierza jest ukazany lekceważąco, oficerowie są źli i zawistni, a kluczową sceną filmu jest szarża polskiej kawalerii na niemieckie tygrysy i próba odcięcia im lufy szablą. Artyście wolno więcej?

Opis szarży polskiej kawalerii na niemieckie czołgi jako pierwszy zamieścił w reportażu włoski korespondent wojenny

Indro Montanelli. Jego reportaże zostały później zebrane w książce, bardzo szybko wycofanej przez cenzurę. Niemcy uważali bowiem, że ma ona wydźwięk propolski i antyniemiecki. Co interesujące, książka była zabroniona również przez – zdominowane przez komunistów – władze Włoch „sprzymierzonych”.

2 września Indro Montanelli trafił na pobożowisko, zobaczył poległych polskich ułanów, porzucone szable i niemieckie czołgi, napisał więc relację, że duch bojowy Polaków jest tak wielki, iż rzucają się oni z szablami na czołgi. Faktycznie: 1 września wieczorem, pod Krojantami na Pomorzu, 18. Pułk Ułanów szarżował na niemiecki 76. Pułk Zmotoryzowany. Szarża była jednak w pełni regulaminowa, gdyż polscy kawalerzyści atakowali walczących pieszo żołnierzy niemieckich, zmusili ich do ucieczki i dopiero pod sam koniec pościgu dostali się pod ogień karabinów maszynowych (tak bowiem – po dostaniu się w zaskakujący ostrzał – kończyła się większość szarż w historii wojen). Wśród karabinów maszynowych były również trzy zamontowane na samochodach pancernych, ale Polacy nawet się do nich nie zbliżyli, tylko od razu rozpoczęli odwrót. Walka zakończyła się polskim sukcesem, bo Niemcy zostali tego dnia zatrzymani.

Polacy w 1939 roku – ani w żadnym innym – nie szarżowali na czołgi. Często jednak związek taktyczny kawalerii walczył przeciwko związkowi pancernemu. Nie oznacza to jednak atakowania szablami czołgów, tylko zupełnie coś innego.

Podstawowym sposobem walki kawalerii była walka piesza. Konie kawaleryjskie służyły przede wszystkim w marszu. Przed bitwą pozostawiano je w zakrytym miejscu pod opieką koniowodnych – z reguły jeden lub dwóch pilnowało sześciu koni. Podczas marszów ułan czy szwoleżer nie zawsze podróżował w siodle. Mniej więcej połowę czasu

maszerował, prowadząc konia za uzdę. Dzięki temu i konie, i żołnierze zachowywali siły do walki. Konie były dla kawalerii tym, czym ciężarówki i autobusy dla piechoty zmotoryzowanej – środkiem transportu. Dlatego też nazwą lepiej oddającą sposób walki byłaby „piechota konna”, a nie kawaleria, ułani czy szwoleżerowie. Wojsko Polskie o tym wiedziało i dlatego ostatnie dziesięć pułków kawaleryjskich sformowanych w II Rzeczypospolitej nosiło nazwę „strzelcy konni”.

Dlaczego jednak w II Rzeczypospolitej formowano nowe pułki kawalerii? Czy nie zdawano sobie sprawy, że to przestarzała formacja? Ależ tak, była taka świadomość. Wiedzano również, że brygada piechoty zmotoryzowanej jest tańsza w wystawieniu i utrzymaniu od brygady kawalerii. Ale kawaleria była potrzebna. Przede wszystkim na wschodzie Polski, gdzie garnizony piechoty były rzadko rozrzucone, nie było dróg, a niebezpieczeństwo nagłego ataku Armii Czerwonej pozostawało wysokie. Potrzebne były formacje wojska o większej mobilności niż piechota i o większej zdolności pokonywania bezdroży. Co więcej, bardzo wielu polskich poborowych potrafiło zajmować się końmi, więc nie trzeba było ich dodatkowo szkolić.

Inne armie również miały kawalerię, niektóre nawet całe dywizje i korpusy. Kawalerię mieli także Niemcy, chociaż w 1939 roku nieco mniej niż Polacy. W Niemczech były bowiem lepsze drogi, ale brakowało koni. A dokładniej – niemiecka armia potrzebowała tak wielu koni taborowych i artyleryjskich, że nie wystarczyło ich dla kawalerii. Gdy jednak po 1941 roku Niemcom przyszło walczyć przeciwko Armii Czerwonej, kawaleria okazała się im bardzo potrzebna, więc formowali nowe związki taktyczne nawet pod sam koniec wojny.

Polacy mieli w 1939 roku 11 brygad kawalerii, w których skład wchodziło 39 pułków. W tych pułkach służyło niespełna 30 tys. żołnierzy – dość mało jak na milionową armię. Były to doskonale wyszkolone i bardzo dobrze wyposażone wojska. Ich uzbrojeniem była – obok broni ręcznej – również broń maszynowa, artyleria, działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze oraz samochody pancerne i czołgi. Gdy przychodziło im walczyć z niemieckimi i sowieckimi czołgami, używali do tego dział polowych, min, armat przeciwpancernych, granatów, karabinów przeciwpancernych. Szabel nie używali – były one zresztą przytroczone do siodeł koni, które stały kilometr czy dwa za polem walki. Lance natomiast służyły wyłącznie jako broń paradna.

Doskonałym przykładem walki polskich kawalerzystów z niemieckimi czołgami jest bój pod Mokrą, stoczony 1 września przez niemiecką 4. Dywizję Pancerną i polską Wołyńską Brygadę Kawalerii. Pierwsze niemieckie uderzenie zatrzymało się pod ogniem polskiej artylerii konnej. Kolejne poszło głębiej, ale zatrzymał je bezpośredni ogień armat przeciwpancernych. Próba oskrzydlenia została powstrzymana przez polski pociąg pancerny. Gdy Niemcom zdawało się, że polskie odwody są związane walką, rzucili wszystkie siły do decydującego natarcia. Doszło do zażartej walki na najmniejszym dystansie z użyciem granatów i karabinów przeciwpancernych. Wówczas do walki weszły polskie czołgi, zadecydowały o losach bitwy i odrzuciły wroga. 4. Dywizja Pancerna porzuciła na polu walki setkę czołgów – trzecią część siły bojowej. I chociaż później większość z nich naprawiono, to przez dwa dni dywizja nie mogła ruszyć z miejsca.

Bój pod Mokrą nie był jedynym starciem, w którym polska kawaleria odniosła sukces nad niemieckimi – czy też sowieckimi – czołgami. Jeśli kawaleria nie została zaskoczona, to

miała dość duże szanse wyjścia zwycięsko ze starcia. Jeszcze częściej polskie brygady kawalerii walczyły przeciwko niemieckiej piechocie, a raz – przeciwko niemieckiej kawalerii. 1 września, tuż przy samej granicy, szwadrony Mazowieckiej Brygady Kawalerii starły się ze szwadronami Wschodniopruskiej Brygady Kawalerii. Bitwa miała przebieg typowy dla starć kawaleryjskich – Polacy zaatakowali w szyku konnym, Niemcy równie rycersko stanęli do walki, w ruch poszły szable, jedna ze stron oddała pole, a druga ruszyła w pościg, dostała się pod ogień karabinów maszynowych, a wówczas wykonała szybki odwrót.

Szarża oznacza ostatnią fazę gwałtownego ataku, najczęściej z wykorzystaniem broni białej. Polska kawaleria wykonała kilkanaście szarż przeciwko Niemcom i kilka przeciwko Sowieciom. Nigdy nie atakowano czołgów, tylko piechotę, kawalerię, tabory i biwaki. Niemcy – którzy wystawili do wojny przeciwko Polsce 13 pułków kawalerii i kilkadziesiąt mniejszych pododdziałów – także wykonywali szarże. Wszystko wskazuje na to, że częściej niż Polacy. Wynikało to z przebiegu działań wojennych – szarżuje się najczęściej na przeciwnika zdeorientowanego, często wykonującego manewr odwrotowy. Oczywiście gdybyśmy byli równie perfidni co propaganda niemiecka lub sowiecka, moglibyśmy uznać liczne szarże niemieckie za dowód na zacofanie militarne Wehrmachtu...

Brygady kawalerii na tle innych polskich związków taktycznych najdłużej utrzymały zwartość organizacyjną. Wynikało to z wielu czynników: kawalerzyści byli doskonale wyszkoleni i bardzo zgrani – służba w kawalerii trwała bowiem ponad trzy lata, stany pokojowe były zbliżone do wojennych, a oficerów i podoficerów było więcej niż w piechocie. Kawaleria była również szybsza od piechoty, mniej zależna od dróg i z większą

łatwością „organizowała” potrzebne zaopatrzenie. Co jednak najważniejsze, kawalerzyści byli mniej zmęczeni od piechurów. Zmęczony żołnierz potrafi spać na stojąco – o czym na własnej skórze przekonał się podczas służby wojskowej jeden z autorów – ale trudno maszerować z zamkniętymi oczami. Kawalerzyści natomiast mogli spać podczas marszu, licząc na inteligencję konia i uwagę towarzyszy broni. Dlatego właśnie kawaleria walczyła do samego końca.

I chociażby z tego powodu dowiodła, że w 1939 roku miała na polu walki duże znaczenie.

Czy generał Bortnowski był winny klęskom na Pomorzu i nad Bzurą?

W pierwszych dniach września Armia „Pomorze” stoczyła trzy krwawe bitwy: w Borach Tucholskich, pod Bydgoszczą i Nakłem. Jej dowódca – generał Władysław Bortnowski – niepotrzebnie próbował atakować niemieckie czołgi kawalerią i piechotą, co doprowadziło do rozbicia wojsk. Po walkach na Pomorzu generał Bortnowski nie miał już woli do walki, więc 9 września podporządkował się dowódcy Armii „Poznań” generałowi Tadeuszowi Kutrzebie, ale niechętnie wykonywał jego rozkazy, a tym samym doprowadził do klęski nad Bzurą.

Władysław Bortnowski przed wojną uchodził za najzdolniejszego z polskich generałów. W czasie wojny z Rosją bolszewicką był oficerem sztabowym przy późniejszym marszałku Polski Edwardzie Śmigłym-Rydzem, a w czasach pokoju został dowódcą dywizji. W 1938 roku powierzono mu dowodzenie Grupą Operacyjną „Śląsk”, na czele której wyzwolił Śląsk Cieszyński. Wielu uważało, że Bortnowski zostanie wojskowym następcą marszałka Śmigłego.

Już od 1935 roku pracował w Toruniu nad pomorskim kierunkiem operacyjnym, a w marcu 1939 roku objął dowodzenie Armią „Pomorze”. Postawiono przed nią szczególnie trudne i odpowiedzialne zadanie. Przede wszystkim miała nie dopuścić do wtargnięcia sił niemieckich z Pomorza Zachodniego i Prus Wschodnich na Kujawy, stąd bowiem Niemcy mogliby uderzyć na Warszawę albo wejść na tyły armii walczących na południu Polski. Zakładano jednocześnie, że Armia „Pomorze” będzie musiała się cofać w kierunku Warszawy i spośród wszystkich polskich armii jej droga odwrotu będzie najdłuższa. W dodatku w razie hitlerowskiego puczu w Wolnym Mieście Gdańsku miała zabezpieczyć akcję gdańską Korpusu Interwencyjnego, co wymagało zajęcia pozycji wysuniętych jeszcze bardziej na północ. Przewidywano, że Armia „Pomorze” nie będzie toczyć największych bitew obronnych – tych spodziewano się raczej na południu – ale przyjdzie jej wykonywać najbardziej skomplikowane manewry.

W skład Armii „Pomorze” początkowo wchodziły tylko miejscowe – 4., 15. i 16. – dywizje piechoty oraz Pomorska Brygada Kawalerii, ale w kwietniu wzmocniono ją 9. DP i formacjami Obrony Narodowej. 13 sierpnia na jej przedpolu zorganizowano samodzielny Korpus Interwencyjny, w którego skład weszły 13. i 27. DP. Kiedy 30 sierpnia stało się jasne, że nie dojdzie do hitlerowskiego puczu w Gdańsku, ale wybuchnie wojna, Korpus Interwencyjny stracił rację bytu. 13. DP miała odjechać na południe Polski, a 27. DP włączono do Armii „Pomorze”.

Nie wiemy, kiedy do generała Bortnowskiego dotarł rozkaz o podporządkowaniu mu 27. DP – najprawdopodobniej dopiero 1 września, już po wybuchu wojny. Nie ma to jednak większego znaczenia, ponieważ wyekspediowanie kolejną jednej dywizji zajmowało ponad dobę, więc ostatnie transporty

13. DP wyruszały w drogę już nad ranem 1 września. Dopiero wówczas mogła wyruszyć na południe 27. DP, aby dołączyć do Armii „Pomorze”. Nie zdążyła.

1 września Armia „Pomorze” została zaatakowana z dwóch stron: od zachodu przez dziewięć niemieckich dywizji 3. Armii (w tym dwie pancerne i dwie zmotoryzowane), a od wschodu przez dwie dywizje 4. Armii. W tej sytuacji generał Bortnowski mógł porzucić wysunięte daleko na północ 27. DP oraz Pomorską Brygadę Kawalerii i skonsolidować obronę na przedmościu Bydgoszczy. Postanowił jednak podjąć próbę uratowania tych dwóch związków taktycznych. Liczył na to, że w gęstych Borach Tucholskich niemieckie dywizje pancerne nie będą mogły wykorzystać całej swojej siły bojowej. Wskazywały na to doświadczenia, które armie świata miały dotychczas z czołgami. Nakazał więc 9. Dywizji Piechoty pójść z odsieczą dla 27. DP i Pomorskiej BK.

Odsiecz nie powiodła się. Gęste lasy rzeczywiście zmniejszyły mobilność niemieckich wojsk pancernych i zmotoryzowanych, wciąż jednak ich szybkość była większa niż polskiej piechoty, w dodatku dysponowały bardzo dużą siłą ognia. Po trzech dniach chaotycznych walk polskie związki taktyczne straciły spójność. Pomorska BK, 9. DP oraz 27. DP zostały rozbite.

Tak z reguły wygląda podsumowanie trzydniowej bitwy w Borach Tucholskich. Jeśli jednak nie zakończymy tej opowieści 3 września, ale zainteresujemy się dalszymi losami rozbitych formacji, to zauważymy je ponownie. Pomorska BK, 9. DP oraz 27. DP zostały rozbite, ale nie całkowicie zniszczone. Największe straty poniosła 9. DP, jednak przetrwał jeden z jej pułków. Pomorska BK, pomimo strat – większości dwóch pułków kawalerii i dwóch baterii artylerii – zachowała niemal połowę siły bojowej. 27. DP utraciła jeden pułk, później

jednak odesłano ją na tyły i zreorganizowano: uzupełniono straty w pułku artylerii i dwóch pułkach piechoty, a utracony pułk zastąpiono rezerwowym.

Na lewym skrzydle Armii „Pomorze”, już na wschodnim brzegu Wisły, walczyła Grupa Operacyjna „Wschód” – dwie dywizje pod dowództwem generała brygady Mikołaja Bołtućcia. Siły nieprzyjaciela również liczyły dwie dywizje, jednak już pierwszego dnia walki udało im się odnieść kilka znaczących sukcesów. Generał Bołtuć nie był zadowolony z postawy obu dywizji, ponieważ żołnierze kilkakrotnie spanikowali i opuścili pole bitwy. Uznał, że winę za to ponoszą nieudolni dowódcy i zdjął ich ze stanowisk. Za winnych porażki uznał zresztą nie tylko swoich podwładnych, ale i przełożonych – w obecności oficerów swojego sztabu wielokrotnie pomstował na dowódcę armii, za nic mając zasady dyscypliny wojskowej. Kilka dni później stwierdził podobno, że jego największym błędem było to, że „nie strzelił w łeb” Bortnowskiemu.

22 września 1939 roku generał Bołtuć zginął podczas przebijania się do Warszawy. Jako że nie wypada krytykować poległych bohaterów, mało kto zastanawia się nad słusznością jego opinii i decyzji. 19 września zginął również dowódca Pomorskiej BK generał Stanisław Grzmot-Skotnicki, w dużej mierze odpowiedzialny za nie najlepszy plan odwrotu i straty marszowe swoich wojsk. Ale o poległych w boju generałach można mówić albo dobrze, albo wcale...

3 września Armia „Pomorze” otrzymała rozkaz odwrotu w kierunku Warszawy. Odwrót jest formą działań wojennych powszechnie lekceważoną przez historyków. Zdecydowanie wolą zajmować się atakiem i obroną, widowiskową aktywnością, podczas której łatwo rozpoznać, czy dowódca jest dobry czy zły. Stąd też w opisach dziejów Armii „Pomorze” kolejnych kilka dni jest albo przemilczanych, albo kwitowanych

pojedynczym zdaniem. Tymczasem marszowi odwrotowemu Armii „Pomorze” warto poświęcić dużo więcej uwagi.

Generał Bortnowski musiał zbudować mosty na Wiśle i skoncentrować swoje wojska, zapewnić im krótki odpoczynek, uzupełnić straty oraz zreorganizować, a następnie – pilnując, aby Niemcy nie odcięli drogi odwrotu, a własni żołnierze nie wpadli w panikę – przemaszerować 100 km i połączyć się z Armią „Poznań”. Wszystkie te zadania udało mu się zrealizować, ale są one mało wdzięczne do opisywania i nie porywają wyobraźni. Generał Bortnowski przez tych kilka dni działał bardzo prężnie i zdecydowanie. Trudno doprawdy na ich podstawie stwierdzić, że był przegranym dowódcą i człowiekiem załamanym. Był natomiast zmęczony wielodniową aktywnością niemal bez snu.

7 i 8 września spotkał się ze swoim lewoskrzydłowym sąsiadem, dowódcą Armii „Poznań” generałem dywizji Tadeuszem Kutrzebą. Postanowili działać razem. Tadeusz Kutrzeba był starszy stopniem od Władysława Bortnowskiego, więc to on objął dowództwo nad połączonymi wojskami.

9 września Armia „Poznań” uderzyła na Niemców, rozpoczynając bitwę nad Bzurą. Po pierwszych sukcesach tempo natarcia zmalało, a Niemcy zawrócili swoje wojska szybkie idące do tej pory na Warszawę. 11 września na wschodnim skrzydle do bitwy weszły dywizje Armii „Pomorze”. Po trzech dniach przyszło im walczyć o Łowicz. Generałowi Bołtuciowi zdawało się już, że zdobędzie miasto, wówczas jednak otrzymał od generała Bortnowskiego rozkaz przerwania ataku i powrotu na bezpieczne pozycje za rzeką Bzurą. Generał Bołtuć uznał, że jego przełożony wydał ten rozkaz przedwcześnie, ponieważ przeżywał załamanie nerwowe. Chciał nawet, żeby generał Bortnowski został zdjęty z dowództwa.

Władysław Bortnowski doskonale jednak wiedział, co czyni. Kilkanaście kilometrów dalej na wschód, pod Sochaczewem, polski wywiad stwierdził pojawienie się dwóch niemieckich dywizji pancernych: 1. oraz 4. Generał Bortnowski – w przeciwieństwie do Bołtucia i Kutrzeby – stoczył już walkę z takimi siłami i znał ich potęgę. Gdyby niemieckie czołgi zaskoczyły polską piechotę na odkrytym terenie, zostałyby ona unicestwiona. Jedynym sposobem przetrwania było zajęcie pozycji obronnych za rzeką. Generał Bortnowski – w przeciwieństwie do Bołtucia i Kutrzeby – zdawał sobie również sprawę, jaki był cel bitwy nad Bzurą. Nie było nim zniszczenie niemieckiej 8. Armii, tylko odciągnięcie dywizji pancernych od pościgu za polskimi armiami uchodzącymi za Wisłę. Skoro więc czołgi pojawiły się nad Bzurą, cel został zrealizowany i nie było potrzeby ryzykować życia żołnierzy, żeby generał Bołtuć mógł się ogłosić zwycięzcą spod Łowicza, a generał Kutrzeba – wyzwolicielem Łodzi.

Obie polskie armie przerwały walkę, oderwały się od Niemców i w kolejnych dniach podjęły próbę przebicia się do Puszczy Kampinoskiej. W tym celu musiały przejść na wschodni brzeg Bzury, która w okolicach Sochaczewa skręca na północ i płynie w kierunku Wisły. Armia „Pomorze” miała osłaniać odwrót. 17 września Armia Czerwona zaatakowała Polskę. Wiadomość o tym błyskawicznie dotarła do polskich żołnierzy – informowały o tym niemieckie megafony i ulotki. Niemiecka ofensywa propagandowa okazała się olbrzymim sukcesem: Armia „Poznań” zdołała dotrzeć do Puszczy Kampinoskiej, ale nie czekała już na żołnierzy generała Bortnowskiego. Większość z nich uznała zresztą – poniekąd słusznie – że dalsza walka jest pozbawiona sensu. Oddali się więc Niemcom do niewoli albo rozeszli się do domów.

Generał Bortnowski pozostał przy swoich żołnierzach. Generał Bołtuć samotnie wyruszył do Modlina, gdzie powierzono mu obronę Palmir. Tutaj jednak po raz kolejny uznał, że nie można się bronić, tylko trzeba atakować. Poprowadził więc załogę Palmir w kierunku Warszawy. W nocy z 21 na 22 września doszło do chaotycznej bitwy w ciemnościach. Zginął w niej generał Bołtuć, a wraz z nim około 800 polskich żołnierzy. Dzisiaj jest powszechnie uznawany za bohatera. Generał Bortnowski poszedł zaś ze swoimi żołnierzami do niemieckiej niewoli. Dzisiaj za bohatera uznawany nie jest. Czy na pewno taka ocena jest słuszna?

Wojenne losy generała Bortnowskiego są interesujące także jako ilustracja podwójnych standardów. Gdy generał Bortnowski próbował uratować od zniszczenia dywizję Korpusu Interwencyjnego – a ich utrata byłaby całkowicie zrozumiała i nikt z przełożonych nie miałby o to pretensji – jest to uznawane za błąd wynikający z nadmiernych ambicji. Gdy dwa tygodnie później generał Bortnowski unika nad Bzurą uderzenia niemieckich czołgów – jest to nazywane tchórzostwem, a nie przezornością wynikającą z doświadczeń wojennych. Gdy idzie do niewoli na czele swoich żołnierzy – jest to tylko dowód załamania nerwowego. Gdy generał Bołtuć rzuca się do niepotrzebnej bitwy, przegrywa ją i ginie wraz z kilkuset żołnierzami – jest to zachowanie godne bohatera.

Największy paradoks tkwi jednak w tym, że ci sami, którzy krytykują racjonalne zachowania generała Bortnowskiego i chcieliby go widzieć ginącego w ataku na bagnety, uważają romantyczne poświęcenie za coś, czego należy się wstydić.

Fałszywa legenda generała Kutrzeby

Decydującą bitwą kampanii 1939 roku była bitwa nad Bzurą. Gdyby ta bitwa potoczyła się dla Polaków szczęśliwiej, mogłaby nawet doprowadzić do porażki Niemców w kampanii. Niestety, chociaż dowodził tam znakomity generał Kutrzeba, to ani wódz naczelny nie chciał realizować jego koncepcji, ani nie chcieli we właściwy sposób współpracować z nim inni dowódcy armii.

Generał dywizji Tadeusz Kutrzeba zaczynał karierę w armii austro-węgierskiej. Był prymusem w szkole oficerskiej, a później cenionym oficerem saperów. W niepodległej Polsce został szefem sztabu generała Śmigłego i pod jego komendą pracował w sztabie 1. Dywizji Piechoty Legionów oraz w sztabach armii i frontu. Jego najbliższymi współpracownikami byli późniejsi generałowie i dowódcy armii: Władysław Bortnowski, Stefan Dąb-Biernacki i Juliusz Rómmel. W II Rzeczypospolitej był długoletnim komendantem Wyższej Szkoły Wojennej: miał olbrzymi wpływ na wychowanie oficerów sztabowych i na kształtowanie poglądów taktycznych i operacyjnych.

W 1939 roku generał Kutrzeba został dowódcą Armii „Poznań”, składającej się z czterech miejscowych dywizji piechoty: 14., 17., 25. i 26. oraz Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. Później, już w trakcie działań wojennych, dołączono do niej także Podolską BK. Armia była skoncentrowana w Wielkopolsce, więc są tacy – i to nawet dziś – którzy uważają, że miała ona bronić granicy, albo nawet atakować Berlin. W rzeczywistości zarówno Polacy, jak i Niemcy uznawali odcinek pomiędzy Poznaniem a Berlinem za „martwy operacyjnie”. Każdą ofensywę na tym kierunku z łatwością można by powstrzymać uderzeniem skrzydłowym z Pomorza i Śląska. Armia „Poznań” była więc, pomimo pozornie ekscentrycznego położenia, jedną z polskich armii odwodowych. Armią doskonale usytuowaną, ponieważ niezależnie od kierunku niemieckiego uderzenia – czy z Pomorza, czy ze Śląska – wojska generała Kutrzeby zawsze znalazłyby się na jego skrzydle.

Scenariusz uderzenia skrzydłowego już od wiosny kilkakrotnie był dyskutowany przez generała Kutrzebę i marszałka Śmigłego. Gdy więc 3 września Armia „Poznań” otrzymała rozkaz odwrotu w kierunku Warszawy, jej dowódca wystąpił z planem uderzenia na 8. i 10. niemiecką armię, zagrażającą Armii „Łódź” generała Juliusza Rómmla. Wódz naczelny odrzucił tę propozycję, uznając ją za przedwczesną. Przede wszystkim sytuacja na froncie nie była wyjaśniona, ponieważ Niemcy nie zaangażowali jeszcze do walki swoich odwodów. Poza tym proponowana przez generała Kutrzebę „walna bitwa” toczyłaby się na dalekim przedpolu. Takie działanie byłoby tak naprawdę na rękę Niemcom, którzy chcieli jak najszybciej i jak najbliżej granicy zniszczyć Wojsko Polskie.

Niezrażony odmową generał Kutrzeba w ciągu kolejnych dni jeszcze trzy razy proponował uderzenie na północne

skrzydło Niemców idących na Warszawę. Za każdym razem otrzymywał odpowiedź odmowną. Kolejna propozycja zwrotu zaczepnego – złożona telefonicznie 8 września szefowi sztabu naczelnego wodza – spotkała się wreszcie z akceptacją. Co więcej, do Armii „Poznań” miała dołączyć również Armia „Pomorze”.

Jednak w sztabie naczelnego wodza nieco inaczej rozumiano sens nadchodzącej bitwy. Generałowi Kutrzebie marzyła się bitwa walna – rozstrzygająca kampanię. Liczył na to, że jego uderzenie doprowadzi do odcięcia dwóch niemieckich armii i ich zniszczenia, podobnie jak w bitwie warszawskiej 1920 roku. Wódz naczelny chciał natomiast, żeby uderzenie nad Bzurą skupiło na sobie niemiecką uwagę i odciągnęło dywizje Wehrmachtu od pościgu za polskimi dywizjami uchodzącymi za Wisłę. Marszałek Śmigły liczył się z tym, że armie „Poznań” i „Pomorze” mają niewielkie szanse na wymknięcie się z niemieckiego okrążenia, jednak godził się je poświęcić dla uratowania innych i kontynuowania oporu na wschodzie Polski.

Generał Kutrzeba postanowił rozstrzygnąć bitwę według zasad „sztuki operacyjnej”, której sam nauczał. Polegała ona na tym, że zamiast czołowych ataków na umocnionego przeciwnika manewruje się, szukając słabych punktów w jego ugrupowaniu. Idea jest ze wszech miar słuszna, ale nad Bzurą trzeba było raczej wykorzystać brutalną siłę. Przemawiały za tym co najmniej dwa czynniki, z których nie zdawał sobie sprawy – choć powinien – dowódca polskiej grupy armii. Przede wszystkim celem bitwy było sprowokowanie Niemców do zaprzestania pościgu i skupienia nad Bzurą jak największych sił – a tego można było najłatwiej dokonać, gdyby pierwsze uderzenie było jak najsilniejsze i jak najpotężniejsze. Poza tym wojska niemieckie dysponowały formacjami

zmotoryzowanymi, które błyskawicznie mogły pojawić się w zagrożonym miejsu.

Polacy zaatakowali 9 września w okolicach Łęczycy i uderzając na południe, rozbili 30. DP. Jednak gdy Niemcy sprowadzili posiłki, generał Kutrzeba rozkazał przegrupować siły i skierować się na wschód, aby tam szukać szczęścia wojennego. 14 września Polacy byli bliscy zdobycia Łowicza, ale wówczas na placu boju pojawiły się niemieckie dywizje pancerne. Bitwę należało przerwać, oderwać się od nieprzyjaciela i podjąć próbę przedarcia się do Puszczy Kampinoskiej i dalej – do Warszawy. 17 września polskie dywizje straciły spójność i do Puszczy Kampinoskiej dotarła jedynie część sił.

Pomimo niezrozumienia intencji naczelnego wodza generał Kutrzeba zdołał zrealizować jego zamierzenia. Do bitwy nad Bzurą – czy też do bitwy o Kutno, jak nazwali ją Niemcy – Wehrmacht skierował niemal wszystkie siły lądowe. W ten sposób zatrzymała się nie tylko 8. Armia, na którą spadło polskie uderzenie, ale również 10. Armia, w tym jej dywizje pancerne. Do bitwy Niemcy próbowali wykorzystać nawet dywizje 3. i 4. Armii, walczące na północnym Mazowszu po drugiej stronie Wisły. Przede wszystkim jednak nad Bzurą skupiło się zainteresowanie niemal całych sił lotniczych, w tym samolotów transportowych, które zamiast dowozić zaopatrzenie dla dywizji ścigających Polaków, wywoziły rannych nad Bzurą. Pościg za odchodzącymi na wschód innymi armiami Wojska Polskiego prowadziła w połowie września tylko 14. Armia w Małopolsce. Dało to kilka dni wytchnienia Polakom odchodzącym za Wisłę i dalej na wschód, aż do Przedmościa Rumuńskiego.

Oczekiwania, które miał wobec zwrotu zaczepnego nad Bzurą polski wódz naczelny, zostały więc spełnione. Poświęcenie 200 tys. polskich żołnierzy, dowodzonych przez

generała Kutrzebę, dało tak pożądane rezultaty. Zasadniczej części Wojska Polskiego udało się uniknąć zniszczenia na zachodnim brzegu Wisły. Niemiecki cel wojenny nie został zrealizowany. Z punktu widzenia strategicznego można więc uznać, że bitwa nad Bzurą była zwycięstwem, choć jego koszt był bardzo wysoki.

Jednak to nie w bitwie nad Bzurą zostały zniszczone polskie armie dowodzone przez Tadeusza Kutrzebę. 17 września był potężnym ciosem dla polskich żołnierzy – zarówno ze względu na wieści o sowieckiej inwazji, jak i potężne bombardowania przepraw przez Bzurę. Idąca przodem Armia „Poznań” zdołała przedostać się na zbawienny wschodni brzeg rzeki, zanim jeszcze wiadomości o agresji Sowietów dotarły do żołnierzy. Gdy jednak dowiedzieli się oni o tym, to zamiast bronić przepraw i czekać na idącą z tyłu Armię „Pomorze”, ruszyli w kierunku Warszawy.

Po kilku dniach Armia „Poznań” wyszła z Puszczy Kampinoskiej i dotarła do zbawiennych fortyfikacji twierdzy modlińskiej. Dowódca Modlina przekonał jednak generała Kutrzebę, że nie ma tu ani miejsca, ani zapasów, aby przyjąć 50 tys. żołnierzy. Resztki Armii „Poznań” musiały albo kapitulować, albo przedrzeć się do Warszawy.

I dopiero tutaj – podczas prób przebijania się do stolicy – Armia „Poznań” przestała istnieć. Jej dowódca dotarł jednak do Warszawy, przybył bowiem samochodem. Gdy inni dowódcy armii tak wygodnie i w tak szybkim tempie zmieniali miejsce postoju, oskarżano ich o porzucenie armii. Wobec generała Kutrzeby takich oskarżeń się nie formułuje – jest w końcu bohaterskim dowódcą w bitwie nad Bzurą.

Generałowie Rómmel i Thommée

Armia „Łódź” pod dowództwem generała Juliusza Rómmela strzegła najkrótszej drogi ze Śląska do Warszawy. Nie udało się jej powstrzymać niemieckiego uderzenia. 7 września została rozbita w okolicach Łodzi. Dowódca armii opuścił swoje wojska i zbiegł do stolicy, a za nim podążyli dowódcy dywizji. Na szczęście dowództwo przejął generał Wiktor Thommée, który zebrał rozproszone jednostki i zaprowadził je do bezpiecznej Twierdzy Modlin. To on był prawdziwym bohaterem, ale naiwny wódz naczelny nie zdawał sobie z tego sprawy, więc tchórzliwemu generałowi Rómmelowi powierzył dowodzenie nową Armią „Warszawa”.

Generał dywizji Juliusz Rómmel był zawodowym oficerem w armii carskiej. Po 1918 roku służył w 1. Dywizji Piechoty Legionów jako dowódca artylerii, a później całej dywizji. Latem 1920 roku został dowódcą 1. Dywizji Jazdy – największego związku taktycznego polskiej kawalerii od czasu Jana III Sobieskiego. Na jej czele pobił Armię Konną Budionnego. W II RP był inspektorem armii, a od marca

1939 roku dowódcą Armii „Łódź”. Jej skład zmieniał się na przełomie sierpnia i września, jednak większość walk stoczyła ona w składzie czterech dywizji piechoty: 2. DPŁeg, 10 DP, 28. DP, 30. DP oraz dwóch brygad kawalerii: Wołyńskiej i Podlaskiej (Łódzki okręg korpusu nie miał „własnej” brygady kawalerii). Armia była podzielona na dwie grupy operacyjne, a dowódcą jednej z nich – GO „Piotrków” – był generał Wiktor Thommée.

Generał brygady Wiktor Thommée również był oficerem zawodowym armii carskiej, a w latach 1919–1920 oficerem sztabowym armii i frontu oraz dowódcą brygady piechoty. Szybko został generałem, w czasie pokoju przez 10 lat był dowódcą 15. DP, a później – dowódcą okręgu korpusu. Pochodził z francuskiej rodziny, ponoć nie najlepiej mówił po polsku, ale za to jego wspomnienia napisane są piękną literacką polszczyzną.

Centrum Armii „Łódź” znajdowało się w okolicach Wielunia, a jej skrzydła sięgały niemal Kalisza na północy i Częstochowy na południu. Wódz naczelny marszałek Śmigły nie dawał szczegółowych rozkazów dotyczących taktyki, więc dowódcy armii mieli swobodę działania. Generał Rómmel postanowił przyjąć niemieckie uderzenie na pozycjach wysuniętych pod samą granicę. Było to ryzykowne, ale przyniosło rezultaty. Niemcy zostali zaskoczeni i ponieśli duże straty, chociażby w boju pod Mokrą. Następnie Armia „Łódź” wycofała się na linię rzek Warty i Widawki, co może brzmieć poważnie, ale rzeki te mają w tamtych okolicach kilka metrów szerokości. Dwie niemieckie dywizje pancerne uderzyły na południowym skrzydle, odepchnęły GO „Piotrków” i przedarły się w kierunku Piotrkowa Trybunalskiego.

Pokonanie dywizji pancernych pod Piotrkowem pozostawiono polskim odwodom, a Armia „Łódź” miała zatrzymać

niemieckie dywizje piechoty. Walki te, toczone na podejściach do Łodzi, znane są jako „bitwa pod Borową Górą”. Polskie odwody nie zdołały jednak zatrzymać niemieckich dywizji pancernych, więc Armia „Łódź” musiała 6 września przerwać walkę, oderwać się od wroga i jak najszybciej przejść za Wisłę.

Oznaczało to zmianę miejsca postoju dowództwa armii. Miało ono przenieść się z Julianowa pod Łodzią do Brzezina. Rankiem 6 września, tuż przed wyjazdem, Julianów został zbombardowany. Gdy sztab armii dojechał do Brzezina, okazało się, że miasto to również zostało zbombardowane i utracono tam środki łączności. Udano się więc do kolejnego miasta, Mszczonowa, przez który przebiegała magistrała kablowa, co dawało pewność nawiązania łączności z wodzem naczelnym. Niestety Mszczonów też został zbombardowany. Nie było to fatum ciężące nad generałem Rómmlem, po prostu Luftwaffe torowała w ten sposób drogę dwóm dywizjom pancernym idącym z Piotrkowa do Warszawy. Przez te trzy dni dowództwo armii nie było w stanie nawiązać łączności z podległymi sobie dywizjami, zdecydowano się więc przenieść sztab armii do Kołbieli – na wschodni, bezpieczny brzeg Wisły. Tam przynajmniej była łączność z wodzem naczelnym i nie zagrażały ani niemieckie czołgi, ani bombowce.

Odwrót, który stał się udziałem generała Rómmela, przedstawiany jest jako typowe porzucenie walczących wojsk przez dowódcę. Mało kto stara się prześledzić marszrutę sztabu armii, z reguły podaje się krótką informację, że generał Rómmel „po pierwszym bombardowaniu 7 września opuścił swoje stanowisko dowodzenia i wyjechał do Warszawy”. Mało kto daje wiarę słowom dowódcy Armii „Łódź”, a jego wspomnienia są lekceważone i uważane za niegodne zaufania. Faktycznie – nie były idealne, bo pisane nie dość, że kilkanaście lat po wojnie, to jeszcze pod auspicjami PRL. Te same wątpliwości

można mieć jednak wobec większości wspomnień polskich dowódców.

Rozkaz odwrotu za Wisłę na południe od Warszawy wykonały jedynie trzy związki taktyczne Armii „Łódź”. Nie podporządkował mu się generał Wiktor Thommée. Na czele trzech pozostałych dywizji – 2. DP Leg, 28. DP i 30. DP – „zmęczonych, ale w dobrym stanie”, odszedł na północ zamiast na wschód, unikając w ten sposób walki. Decyzja ta została, *nolens volens*, zatwierdzona w sztabie naczelnego wodza. Generał Thommée miał jednak pozostać w rejonie Sochaczewa i czekać na nadchodzącą Armię „Poznań”, szykowano się bowiem do bitwy nad Bzurą. Również ten rozkaz nie został wykonany, a generał Thommée tłumaczył się, że polecenie to do niego nie dotarło. Trzy dywizje pod jego komendą odeszły na wschód, a później skrzyły na północ, weszły do Puszczy Kampinoskiej i po kilku dniach pojawiły się w Modlinie.

Generał Rómmel dotarł do stolicy. Liczył, że zastanie tu wodza naczelnego. Marszałek Śmigły znajdował się już jednak w Brześciu nad Bugiem. Generałowi Rómmłowi powierzono obronę Warszawy i na krótko oddano pod jego komendę również Armię „Modlin”. Nie znajdowała się ona w tej twierdzy, ale bez powodzenia walczyła dalej na wschodzie – o linię Narwi i Bugu. Jednocześnie zmieniono nazwę Armii „Łódź” na „Warszawa”. Do dzisiaj jednak można spotkać się z twierdzeniem, że przegranemu dowódcy jednej armii naiwny marszałek Śmigły powierzył dowodzenie drugą, a Armią „Łódź” – opuszczoną przez tchórzliwego dowódcę – dowodził generał Thommée...

Tymczasem bitwa nad Bzurą weszła w drugą fazę, w której polskie wojska miały przebijać się w kierunku Warszawy. Generał Kutrzeba liczył, że w walce tej wspomógł go generał Rómmel, uderzając na Niemców od wschodu. Do takiej akcji

jednak nie doszło, co daje asumpt do kolejnych oskarżeń, tym razem nie tylko o tchórzostwo, ale również o zdradę towarzyszy broni.

Generał Juliusz Rómmel nie uderzył na Niemców, gdyż lepiej od generała Tadeusza Kutrzeby rozumiał intencje naczelnego wodza. Był świadomy tego, że Wojsko Polskie ma odbudować swoją zdolność bojową na wschodzie Polski, a wojska walczące nad Bzurą i broniące Warszawy mają jak najdłużej powstrzymywać Niemców przed pościgiem. Wyśłanie w bój połowy załogi Warszawy mogło doprowadzić do szybkiego zajęcia stolicy przez Wehrmacht, a wówczas nie nie powstrzymałoby Niemców przed szybkim pościgiem na wschód. Prędko okazało się, że ma rację: 17 września niemieckie wojska, które podeszły pod Warszawę od wschodu, rozpoczęły szturm Pragi.

Generał Rómmel był dobrym dowódcą, ale słabym politykiem. Gdy 17 września do Warszawy dotarły wiadomości, że do Polski wtargnęła Armia Czerwona, uznał, że uczyniła to w celu walki przeciwko Niemcom. (Trzeba pamiętać, że w młodości był oficerem armii carskiej i wydawało mu się, że wrogość niemiecko-rosyjska wciąż jest żywa). Kolejny szok wywołało opuszczenie terytorium Rzeczypospolitej przez rząd. Na nocnej naradzie – której najważniejszymi uczestnikami byli generał Rómmel i prezydent Warszawy Stefan Starzyński – pojawiły się obawy, że w tej sytuacji Niemcy powołają marionetkowy rząd, który podpisze kapitulację. Generał Rómmel zaproponował więc utworzenie rządu w oblężonej Warszawie, ale został odwiedziony od tego pomysłu. Dziś jest to przedstawiane jako dowód jego nadmiernych ambicji politycznych, konfuzja jest chyba jednak lepszym wyjaśnieniem – nie był bowiem jedynym, który liczył na konflikt niemiecko-rosyjski już w 1939 roku.

Bitwa nad Bzurą zakończyła się polską porażką, jednak Armii „Poznań” udało się przedostać do Puszczy Kampińskiej i dojść do Modlina. Dowodzący obroną Modlina generał Thommée odmówił prośbie generała Kutrzeby o udzielenie w twierdzy schronienia dla zmęczonych i wyczerpanych wojsk Armii „Poznań”. Oznaczało to, że jej żołnierze muszą albo poddać się Niemcom, albo przebić się do Warszawy. Do stolicy udało się przedostać jedynie 25. DP oraz pozostałościom trzech brygad kawalerii: Podolskiej, Wielkopolskiej oraz Pomorskiej. Podczas przebijania się poległo kilka tysięcy polskich żołnierzy.

Losy generała Rómmla i korespondujące z nimi losy generała Thommée po raz kolejny pokazują podwójne standardy, według których ocenia się generałów 1939 roku. Taką samą decyzją o nieudzieleniu pomocy generałowi Kutrzebie raz jest dowodem rozsądku generała Thommée, a drugi raz dowodem tchórzostwa generała Rómmla. Gdy generał Thommée nie wykonuje rozkazu odwrotu za Wisłę, to postępuje właściwie, a gdy generał Rómmel ten rozkaz wykonuje – robi źle. Powodami, dla których tak się działo, zajmiemy się w kolejnych rozdziałach.

Czy rzeczywiście geniusz generała Szyllinga uratował Armię „Kraków”?

Generał Antoni Szylling był jednym z najlepszych dowódców armii – jeśli nie najlepszym. Umiejętnie bronił Śląska, w porę podjął decyzję o odwrócie, ocalając życie wielu żołnierzy. Odwrót wykonał w sposób wzorowy, kilkakrotnie ratując swoją armię przed okrążeniem i zniszczeniem. Walczył do końca, dzieląc trudy wojenne ze swoimi żołnierzami.

Antoni Szylling bardzo wcześnie rozpoczął karierę w służbie Polsce, czynnie biorąc udział w rewolucji 1905 roku. W czasie I wojny światowej został oficerem armii carskiej, a później przeszedł do II Korpusu Polskiego. Po wojnie 1920 roku – podczas której dowodził pułkiem – powrócił do wyuczonego zawodu rolnika. Z powrotem w służbie znalazł się w 1925 roku i już cztery lata później został mianowany generałem brygady. Na przełomie 1938 i 1939 roku zmienił na stanowisku krakowskiego inspektora armii odchodzącego na emeryturę generała broni Leona Berbeckiego.

W marcu 1939 roku utworzono dowództwo Armii „Kraków”. Miała ona pięć dywizji piechoty i trzy brygady:

zmechanizowaną, kawalerii i górską. Siły te podporządkowano dwóm grupom operacyjnym. Była to najsilniejsza z polskich armii, miała bowiem do spełnienia najważniejsze zadanie: nie tylko broniła przemysłowego okręgu śląsko-dąbrowskiego, ale stanowiła również zwornik całego polskiego ugrupowania obronnego. Swoim – jak najdłuższym – oporem miała ułatwić wycofanie się innych polskich armii znajdujących się na północ od niej i umożliwić kontratak odwodowej Armii „Prusy”. Z tego względu rolę Armii „Kraków” określano z francuska jako *pivot*, czyli zawias.

Generał Szylling znalazł się w skomplikowanej sytuacji służbowej. Objął stanowisko po bardzo doświadczonym i cieszącym się olbrzymim prestiżem koledze, a wielu jego podwładnych było mu równych stopniem. Oprócz niego w Armii „Kraków” było aż ośmiu generałów brygady: dowódcy obu grup operacyjnych, czterech dowódców związków taktycznych i dwóch sztabowców. W innych armiach podwładni – jak na przykład generałowie Thommée, Bołtuć czy Anders – wykazywali niekiedy nadmierne ambicje i brak subordynacji, ale nie w Armii „Kraków”. Czemu więc generał Szylling pisał we wspomnieniach o swoich obawach? Otóż problem był. Jednak to nie podwładni próbowali narzucać dowódcy swoje opinie, tylko on sam oddawał w ich ręce inicjatywę.

Pierwszego dnia wojny Armia „Kraków” zdołała powstrzymać wroga, jednak nazajutrz Niemcy mieli więcej szczęścia. W mglisty poranek 2 września polska 6. Dywizja Piechoty ruszyła w kierunku frontu. Żołnierze maszerowali w gęstej mgle, jednak gdy na chwilę się roziała, okazało się, że doszło do nieoczekiwanego spotkania z czołgami niemieckiej 5. Dywizji Pancernej. Niemcom udało się rozbić zaskoczne polskie bataliony. Już kilkadziesiąt godzin później 6. DP odbudowała, nawet z naddatkiem, swoją gotowość bojową,

a niemiecka 5. DPanc ponownie zgubiła się we mgle, jednak sztabowi armii zdawało się, że pozycje obronne zostały bezpowrotnie utracone. Obawiano się nawet, że armia może zostać oskrzydłona z obu stron.

Generał Szylling połączył się z naczelnym wodzem, przedstawił sytuację swoich wojsk w bardzo ciemnych barwach i stwierdził, że konieczny jest odwrót. Było to o tyle dziwne, że dowódcy obu grup operacyjnych – na północy „Śląsk” pod generałem Janem Jagminem-Sadowskim, a na południu „Biel-sko” pod generałem Mieczysławem Borutą-Spiechowiczem – meldowali, że nie obawiają się oskrzydlenia, a wtargnięcie 5. DPanc mogą łatwo zlikwidować, atakując ją z obu stron. Marszałek Śmigły również nie zgadzał się na odwrót, jednak generał Szylling co kilka godzin alarmował go o katastrofalnej sytuacji swojej armii. Wieczorem – oceniając, że dowódca armii dobrze zna sytuację na swoim odcinku – wódz naczelny wydał rozkaz odwrotu Armii „Kraków”. Wymusiło to oczywiście wysłanie podobnych rozkazów do pozostałych armii: „Łódź”, „Poznań” i „Pomorze”.

Ta decyzja dała podstawy wielu publicystom do ocenienia marszałka Śmigłego jako miękkiego i ulegającego zgubnym wpływom swoich podwładnych. Warto jednak zastanowić się nad tym, czy jest to opinia słuszna, a także pomyśleć, jak zostałyby oceniona jego decyzja o wytrwałej obronie i zastąpieniu generała Szyllinga kimś mniej podatnym na stres. I tak cztery rozmowy juzowe* wodza naczelnego z dowódcą Armii „Kraków” są podstawą do oskarżania marszałka Śmigłego o „nadzorowanie bitwy w szczegółach, którymi nie powinien był się zajmować” (ten cytat akurat za Marianem Porwitem).

* Rozmowy juzowe prowadzono za pomocą aparatu Hughesa, będącego protoplastą dalekopisu przewodowego.

Gdyby wódz naczelny nie zgodził się na odwrót Armii „Kraków”, to nie ma wątpliwości, że byłby oceniony jako brutalny stupajka, mający za nic życie szeregowych żołnierzy i dokonujący złych wyborów personalnych – bo musiał się pomylić, albo wyznaczając generała Szyllinga na dowódcę armii, albo odbierając mu to stanowisko.

Nakazany odwrót miał fatalne skutki dla innych armii, ale też dla Armii „Kraków”. Dla żołnierzy 7. Dywizji Piechoty – katastrofalne. Generał Szylling rozkazał jej wycofać się z Częstochowy i wraz z Krakowską Brygadą Kawalerii uderzyć na północ, na Niemców, którzy rzekomo obchodzili całą armię. Mało kto zastanawia się, czemu nie podjął takiej decyzji dzień wcześniej – wówczas miałoby to większy sens, gdyż w razie powodzenia zlikwidowałoby groźbę oskrzydlenia. 3 września było to już niepotrzebne. 7. DP próbowała wykonać rozkaz, ale Niemców nie było tam, gdzie spodziewał się ich generał Szylling. Dywizja została okrążona i po 24 godzinach całkowicie unicestwiona. Warto zwrócić uwagę, że generał Bortnowski, który na Pomorzu stracił – ale przecież nie całkowicie – 9. DP, jest z tego powodu oceniany jako fatalny dowódca. Utrata 7. DP, tysiące zabitych i rannych, chaos, jaki nastąpił w polskiej łączności po rzekomym przejęciu kodów i szyfrów, nie obciążają natomiast generała Szyllinga. Jeśli już szuka się winnych, to wskazuje się – oczywiście – na wodza naczelnego, który rzekomo zbyt słabo zadbał o skrzydła Armii „Kraków”.

Armia „Kraków” – już bez 7. DP – wycofywała się na wschód. Jej grupy operacyjne, noszące teraz imiona swoich dowódców, maszerowały po obu stronach Wisły: GO „Jagmin” po północnej, a GO „Boruta” po południowej. Krakowska BK odchodziła na wschód samodzielnie, a zmechanizowana 10. BK została po kilku dniach przekazana Armii

„Karpaty”, działającej dalej na południe. 4 września stan faktyczny został potwierdzony rozkazem dowódcy armii: na północ od Wisły dowodził generał Jagmin-Sadowski, a na południe – generał Boruta-Spiechowicz. Rozkaz – zarówno jego treść, w której generał Szylling rezygnował ze swoich uprawnień, jak i forma chaotycznej notatki ołówkiem – zaszkodził obu generałom.

Generał Szylling znajdował się wraz z GO „Jagmin”. Jej podstawowymi związkami taktycznymi były dwie doborowe dywizje: 23. DP oraz 55. DP. Ich elitarność wynikała przede wszystkim z tego, że miały one bronić fortyfikacji śląskich. Swego rodzaju ewenementem była 55. DP. Pobieżny rzut oka na jej strukturę wskazuje, że powinna być ona słabsza od każdej czynnej dywizji. Nominalnie była to dywizja rezerwowa, w jej skład wchodziły pułki rezerwowe, a w nich znajdowały się bataliony Obrony Narodowej. W tym przypadku jednak nazwy „rezerwowy” oraz „Obrona Narodowa” były jedynie elementem kamuflażu, mającego ukryć przed Niemcami siłę śląskich fortyfikacji. Wódz naczelny w zamian za utraconą 7. DP wsparł generała Szyllinga 22. DP. To właśnie jej przyszło odgrywać rolę straży tylnej.

GO „Boruta” składała się – oprócz mniejszych formacji – z 6. DP oraz 21. DP. Działała całkowicie samodzielnie – dostała nawet rozkazy o podporządkowaniu się Armii „Karpaty”. Generał Boruta-Spiechowicz kilkakrotnie próbował zatrzymać Niemców na jednym z płynących z południa na północ dopływów Wisły. Nie udało się to ani nad Dunajcem, ani nad Wisłoką, ani nad Sanem, dokąd GO dotarła 11 września. Obrona linii Sanu – siłami GO „Boruta” oraz Armii „Karpaty” – miała być koordynowana przez generała Kazimierza Sosnkowskiego, ten jednak nie zdołał doprowadzić do współpracy wojsk. Obie dywizje generała Boruty-Spiechowicza

odeszły więc na północny wschód i – choć z 21. DP pozostały już tylko resztki – zdołały połączyć się z pozostałą częścią Armii „Kraków”.

Tymczasem północne zgrupowanie Armii „Kraków”, GO „Jagmin”, maszerowało na wschód po północnej stronie Wisły. Szczęśliwie GO nie była atakowana, ponieważ niemiecka 14. Armia biła się na południe od niej, a 10. Armia – na północ. Panowała swoista dwuwładza: rozkazy wydawał zarówno generał Szylling – ich adresatką była GO „Jagmin” – jak i generał Jagmin-Sadowski – ich adresatkami były dywizje. Rozkazy obu dowódców różniły się oceną sytuacji: jeden oczekiwał porażki, a drugi – sukcesu. Na szczęście obaj wykonywali dokładnie docierające do nich – dość rzadko – rozkazy naczelnego wodza. Marszałek Śmigły nie chciał bowiem ani szukać rozstrzygnięć w bitwach na zachodnim brzegu Wisły, ani pozwolić na paniczny odwrót w stronę środkowej Wisły. Rozkazał więc skierować się do Baranowa, tam przejść przez Wisłę, a następnie – działając już na tyłach Niemców ścigających GO „Boruta” – dotrzeć do Sandomierza i tam przeprawić się przez San.

Wojska dotarły do Baranowa wieczorem 10 września. Tego samego dnia została rozproszona 22. DP, odgrywająca rolę straży tylnej. Generał Szylling wydał więc rozkaz o natychmiastowej przeprawie piechoty na drugi brzeg i przygotowaniu się do zniszczenia taborów i artylerii. Generał Jagmin-Sadowski zdołał go jednak przekonać, że należy poczekać kilkanaście godzin, odeprzeć wroga i zbudować więcej środków przeprawowych. Wówczas uda się uratować i piechotę, i tabor, i artylerię. Tak też uczyniono. Saperzy 23. DP o świcie rozpoczęli budowę mostu i już po południu ruszyła przeprawa. Na drugim brzegu nawiązano nawet łączność z „zagubioną” Krakowską Brygadą Kawalerii. 13 września

Czy rzeczywiście geniusz generała Szyllinga uratował Armię...

armii udało się sforsować kolejną dużą rzekę – San – a w kolejnych dniach nawiązano łączność z GO „Boruta”.

Armia „Kraków” po dwóch tygodniach walk i odwrotów była w miarę bezpieczna. Jej siły liczyły wówczas cztery dywizje piechoty i brygadę kawalerii. Czy był to udany odwrót? Kto nim dowodził? Czemu generał Szylling, który przez dwa tygodnie utracił dwie dywizje, uchodzi za świetnego dowódcę i specjalistę od działań odwrotowych, a generał Bortnowski, który przez dwa tygodnie utracił jedną – za nieudacznika? Na to ostatnie pytanie postaramy się odpowiedzieć w jednym z następnych rozdziałów.

Czy generał Fabrycy zmarnował Armię „Karpaty”, a Sosnkowski ją uratował?

Armia „Karpaty” chroniła południowe skrzydło Wojska Polskiego przed uderzeniem ze Słowacji. Bardzo źle dowodził nią generał Kazimierz Fabrycy, który w pewnym momencie opuścił swoich żołnierzy, uciekł do Lwowa i odmówił dalszej walki. Na szczęście na czele armii stanął generał Kazimierz Sosnkowski, który uratował ją, umiejętnie przeprowadził odwrót i świetnie walczył. Osiągnął też największy sukces spośród dowódców innych armii: tak doszczętnie rozbił pułk SS „Germania”, że Hitler polecił ukarać jego dowódcę śmiercią, a pułk rozwiązać i wykreślić jego nazwę z annałów SS.

Latem 1939 roku okazało się, że osłona południowego skrzydła wymaga większych sił. Zorganizowano wówczas Armię „Karpaty”. Nie dysponowała ona typowymi dla innych armii dowództwami i służbami, zabrakło dla niej dywizjonu myśliwskiego, a i formacje lądowe składały się – oprócz regularnego 1. Pułku Strzelców Podhalańskich – z batalionów

Korpusu Ochrony Pogranicza i Obrony Narodowej, które podporządkowano dwóm brygadam górskim – 2. oraz 3. Improwizowany był również sztab: dowódcą Armii „Karpaty” został lwowski inspektor armii – a więc zajmujący się przede wszystkim zagrożeniem sowieckim – generał dywizji Kazimierz Fabrycy. Był jednym z założycieli Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, dowodził 1. Pułkiem Legionów, a w czasie wojny 1920 roku – różnymi brygadami piechoty. W czasach pokoju był dowódcą dywizji i wiceministrem spraw wojskowych.

Siły Armii „Karpaty” były niewielkie, ale zdawało się, że jej początkowe zadanie – dozorowanie, aby przez przełęcz górskie nie przeszli Słowacy – nie wymaga większych. Przedwczesny odwrót Armii „Kraków” sprawił jednak, że wojska generała Fabrycego znalazły się w kontakcie z Wehrmachtem. Wódz naczelny wzmocnił zatem Armię „Karpaty” odwodowymi dywizjami: najpierw 11. i 24., po dziesięciu dniach również 38., a po kolejnych kilku – 35., skierowaną do Lwowa. Posiłki przybywały stopniowo: 3 września dotarły transporty z formacjami bojowymi, ale tabory i pododdziały specjalistyczne wyładowywały się jeszcze 6 września. Tego samego dnia Armia „Karpaty” zmieniła swoją nazwę na Armia „Małopolska”. Miało to podkreślić, że generał Fabrycy odpowiedzialny jest za działania wojenne w całej południowej Polsce – także Armii „Kraków”.

Nie udało się jednak nawiązać współpracy z Armią „Kraków”, tak samo jak nie udało się zatrzymać Niemców na rzece Dunajec. Opuszczono również linię rzeki Wisłoka, pozostawiając w trudnej sytuacji Grupę Operacyjną „Boruta”. Powszechnie obwinia się o tę decyzję generała Fabrycego, faktycznie jednak było to samowolne działanie dowódcy 11. DP – pułkownika dypl. Bronisława Prugara-Ketlinga.

Pułkownik Prugar-Ketling uniknął w 1939 roku niewoli, przedostał się do Francji, gdzie w 1940 roku walczył jako dowódca polskiej 2. Dywizji Strzelców. Po internowaniu w Szwajcarii w 1945 roku wrócił do kraju, gdzie wstąpił na służbę do „ludowego” Wojska Polskiego i został generałem dywizji. Zmarł w 1948 roku, jeszcze przed główną falą terrorku stalinowskiego. Jako bohatera kampanii 1939 i 1940 roku oraz generała „ludowego” Wojska Polskiego nie wypadało go krytykować żadnemu środowisku kombatanatów i historyków.

Kolejną linią obrony miała być rzeka San. Niemcy zdołali się jednak przeprawić na jej wschodni brzeg, więc dowództwo armii wycofało się z Przemyśla do Lwowa. Również tę decyzję powszechnie się krytykuje, nie zastanawiając się, czy dowódca armii rzeczywiście musi nią dowodzić z pierwszej linii frontu.

Od kilku dni przy sztabie Armii „Małopolska” przebywał generał broni Kazimierz Sosnkowski. Przed laty był jednym z najbliższych współpracowników marszałka Józefa Piłsudskiego, najstarszym stopniem polskim generałem (po 1943 roku został naczelnym wodzem Wojska Polskiego na obczyźnie, powszechnie uważanym za przywódcę piłsudczyków). Jako inspektor armii na granicy wschodniej nie miał przydziału w razie wojny z Niemcami i do generała Fabrycego trafił jako specjalny wysłannik naczelnego wodza. Rankiem 11 września generał Sosnkowski został mianowany dowódcą Frontu Południowego, mającego koordynować działania Armii „Kraków” i Armii „Małopolska” oraz bronić linii Sanu. Na to było jednak za późno. Pojedyncze niemieckie bataliony pojawiły się już nawet pod Lwowem.

Generał Sosnkowski, który był sztabowcem i organizatorem, a ostatnim razem samodzielnie dowodził w 1915 roku połową pierwszej brygady legionów, przejął od generała

Fabrycego sztab armii. Przekonany, że prawdziwy dowódca powinien być ze swoimi żołnierzami, 13 września udał się do Przemyśla. Wziął ze sobą jedynie trzech oficerów sztabowych. Przez kilka kolejnych dni nikt nie wiedział, co się z nim dzieje – ani wódz naczelny, ani sztabowcy we Lwowie.

Tymczasem generał Fabrycy – za wiedzą i zgodą generała Sosnkowskiego, który przecież przejął jego obowiązki – udał się do naczelnego wodza we Włodzimierzu Wołyńskim. Wyjazd ten jest często przedstawiany jako samotna ucieczka tchórzliwego generała, który porzucił mundur i przebrał się w cywilne ubranie. W sztabie naczelnego wodza nikt jednak nie widział w generale Fabrycym przebranego w cywilny garnitur tchórza, tylko całkiem sprawnego dowódcę, któremu udał się 200-kilometrowy odwrót. Wódz naczelny powierzył mu więc kolejne zadanie. Z formacji spływających do południowo-wschodniej Polski generał Fabrycy miał zorganizować nową armię. Nadano jej nazwę... „Karpaty”. Miało to skonfundować niemiecki wywiad, ale konfunduje do dziś wielu historyków.

Oczywiście decyzja wodza naczelnego o powierzeniu nowego zadania generałowi Fabrycemu jest krytykowana jako kolejny przykład utrzymywania na stanowiskach dowódczych skompromitowanych generałów. Czy jednak generał Fabrycy naprawdę się skompromitował?

Decyzja marszałka Śmigłego była częścią szerszego planu. Po utracie linii wielkich rzek – Narwi, Wisły i Sanu – Wojsko Polskie miało oderwać się od nieprzyjaciela i podążać na południowy wschód, aby tutaj odpocząć, zreorganizować się i powrócić do walki. Front Południowy generała Sosnkowskiego miał ochronić ten obszar przed tracącym powoli impet niemieckim atakiem. Armia „Kraków” miała prowadzić działania obronne na północ od Lwowa, Armia „Małopolska” – na

południe, a wsparcia miała udzielić Armia „Karpaty”. Zadanie dowódcy Frontu Południowego polegało na koordynowaniu działań tych trzech armii.

W tym czasie generał Sosnkowski przebywał w Przemyśle, nie mając żadnej łączności z wodzem naczelnym i bardzo słabą z podległymi mu dywizjami. Doniesiono mu jednak, że Niemcy pojawili się pod Lwowem. Doskonale pamiętał, że w 1918 i 1919 roku bohaterska obrona tego miasta i próby odsieczy przyniosły wszystkim uczestnikom sławę wojenną. On również postanowił ratować Lwów. Bez środków łączności nie wiedział jednak, jak wygląda sytuacja wojenna i jakie zadania powinien realizować. Rozkaz naczelnego wodza o marszu na południe od Lwowa otrzymał po kilku dniach, zlekceważył go jednak, uznając, że łatwiej mu będzie realizować poprzedni plan.

Armia „Małopolska” powoli traciła siły, ale nie tylko za sprawą Niemców. Po przejściu przez San weszła na ziemie, z których pochodziła znaczna część szeregowych. Żołnierzom łatwiej było więc dokonać „samodzielnej demobilizacji”. Problem ten szczególnie dotknął 24. DP. Dezerccje w obliczu wroga są bardzo niewygodne do opisywania, ponieważ psują obraz walecznych polskich żołnierzy. Sprawa jest jeszcze bardziej krępująca, gdyż znaczna część, jeśli nie większość, szeregowych żołnierzy 11. i 24. DP była pochodzenia ukraińskiego, czy też – według ówczesnej nomenklatury – ruskiego. Sugerowanie, że za polskie porażki odpowiedzialność ponoszą przedstawiciele mniejszości narodowych, jest bardzo nieeleganckie, podważa osiągnięcia II Rzeczypospolitej, naraża na szwank stosunki międzynarodowe i ma posmak ksenofobii. Najbezpieczniej więc sprawami takimi się nie zajmować.

W nocy z 15 na 16 września trzy dywizje generała Sosnkowskiego przebiły się przez Lasy Janowskie (Janów od 1946

roku nosi nazwę Iwano-Frankowe). Podczas nocnej walki we wsi Mużyłowice – zamieszkaney od XVIII wieku przez kolonistów niemieckich – zdobyto kilkanaście dział i jaszczy oraz ponad setkę ciągników i samochodów. Generał Sosnkowski uznał, że udało mu się doszczętnie rozbić pułk zmotoryzowany SS „Germania”, a pułkownik Prugar-Ketling w swojej relacji z walk jeszcze bardziej przesadził z oceną skuteczności swoich żołnierzy.

W rzeczywistości w Mużyłowicach rozbito tylko jeden z batalionów pułku oraz ochraniane przez niego pododdziały artylerii armijnej: dwie baterie haubic i baterię artylerii przeciwlotniczej. Był to poważny, ale nie śmiertelny cios – pułk „Germania” przetrwał i – podobnie jak dwa inne pułki SS biorące udział w kampanii 1939 roku – został rozbudowany do rozmiarów dywizji. Dywizja nosiła nazwę „Germania” tylko przez miesiąc, później – osobistym rozkazem Adolfa Hitlera – została przemianowana na dywizję „Viking”, jako formacja dla esesmanów ze Skandynawii. Tak właśnie narodził się mit o rozwiązaniu pułku. Równie dobrze miał się dowódca pułku Karl-Maria Demelhuber, który w kolejnych latach wojny doszedł do stanowiska dowódcy korpusu, osiągając bardzo wysoką rangę SS-Obergruppenführera (odpowiednika generała broni).

Gdy pod wieczór 16 września wiadomość o zwycięstwie w Lasach Janowskich dotarła do Sztabu Naczelnego Wodza, wzbudziła tam prawdziwy entuzjazm. Liczyło się nawet nie to, że rozbito pułk SS, ale to, że odnaleźli się zagubiona armia i zagubiony generał.

Rankiem 18 września Armia „Małopolska” dotarła pod Lwów, nawiązała bezpośrednią łączność z jego załogą i szykowała się do obejścia od północy niemieckich sił blokujących miasto. Niemal w tym momencie generałowi Sosnkowskiemu

przekazano rozkaz wodza naczelnego z poprzedniego dnia – ten oznajmiający o sowieckim ataku i nakazujący przebijanie się na Węgry. Generał Sosnkowski postanowił jednak dostać się do Lwowa, i to jak najkrótszą drogą – przebijając się przez niemieckie pozycje obronne.

Nie odniósł sukcesu, a Armia „Małopolska” przestała istnieć. Dlaczego tak się stało, wyjaśnimy w jednym z kolejnych rozdziałów.

Czy niewłaściwa struktura dowodzenia doprowadziła do katastrofy na Mazowszu?

Niemieckie uderzenie z Prus Wschodnich na Warszawę można było łatwo odeprzeć, gdyby walczące tam polskie siły były zorganizowane w jednolity front czy grupę armii. Wtedy dowódca byłby bliżej walczących wojsk, łatwiej byłoby mu kontrolować sytuację, nie dopuściłby też do zamieszania i paniki. Niestety, polski wódz naczelny pragnął sam dowodzić wszystkimi armiami z Warszawy, lekceważąc pośrednie ogniwa dowodzenia.

Najkrótsza droga z Prus Wschodnich do Warszawy liczyła w linii prostej jedynie 115 km. Stwarzało to ogromne zagrożenie dla stolicy. Niemcy, atakując z zaskoczenia, mogliby ją zająć w kilkadziesiąt godzin. Trzeba było zablokować tę drogę inwazji. Z drugiej strony, wysunięcie polskiej obrony tak daleko pod granicę było ryzykowne, ponieważ Niemcy – korzystając z otwartego terenu Mazowsza – mogliby obejść jej pozycje. Dowództwo Wojska Polskiego zamierzało zatem niewielkimi

siłami zapobiec niemieckiemu rajdowi na Warszawę, główną linię obrony ustanawiając jednak wzdłuż Wisły i Narwi.

Do obrony tego kierunku wyznaczono Armię „Modlin”. Dowodził nią Emil Krukowicz-Przedrzymirski – artylerzysta wywodzący się z armii austro-węgierskiej. W wojnie 1920 roku dowodził pułkiem artylerii, a w II Rzeczypospolitej – dywizją piechoty. Był również szefem departamentu artylerii Ministerstwa Spraw Wojskowych, a tuż przed wojną został „generałem do prac Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych”, czyli kandydatem na inspektora armii.

Armię „Modlin” podzielono na dwa ugrupowania. Siły główne – złożone z dwóch dywizji piechoty: 8. i 20. oraz dwóch brygad kawalerii: Mazowieckiej i Nowogródzkiej – zajęły ufortyfikowaną pozycję tuż nad samą granicą, nieopodal Mławy. Nieco dalej – w widłach Narwi i Bugu, w okolicach Wyszkowa nad Bugiem – koncentrowały się kolejne dwie dywizje: elitarna 1. DP Leg i rezerwowa 41. DP. Miały one późne terminy mobilizacji i do czasu pełnej koncentracji pozostawały pod bezpośrednim dowództwem sztabu naczelnego wodza.

Dywizje te określano jako Grupę Operacyjną „Wyszków”. Była to jedna z nielicznych GO bez wyznaczonego sztabu – dowodził nią generał Wincenty Kowalski, komendant 1. DP Leg. W Warszawie uznano bowiem, że nie ma potrzeby marnowania „porządnego” sztabu grupy operacyjnej dla koncentrujących się dywizji. Po zakończeniu koncentracji dowodzenie mogłoby przejść któreś z pozostających w rezerwie dowództw GO – chociażby generała Mirosława Przewłockiego, który faktycznie po kilku dniach trafił do Armii „Modlin”.

Jeszcze dalej na wschód od Armii „Modlin” operowała Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew” generała Czesława Młota-Fijałkowskiego – mała armia z porządnym sztabem, a nawet własnym, dość skromnym lotnictwem. W jej skład

wchodziły załogi fortyfikacji wzdłuż rzeki Biebrzy – w tym załoga „Odcinka Wizna” – a także 18. DP i 33. DP oraz dwie brygady kawalerii: Podlaska i Suwalska.

1 września Armia „Modlin” przyjęła niemieckie uderzenie tuż nad granicą, pod Mławą. Atakowały ją cztery dywizje piechoty, Wschodniopruska Brygada Kawalerii oraz improwizowana formacja pancerna znana w polskiej literaturze pod mocno przesadzoną nazwą „dywizji pancernej Kempf”. Przez dwa dni Polacy skutecznie się bronili, ale trzeciego dnia Niemcom udało się obejść polskie pozycje. W tej sytuacji generał Krukowicz-Przedrzymirski, zamiast zarządzić odwrót, postanowił przeprowadzić kontratak i użyć GO „Wyszków” do uderzenia na skrzydło nieprzyjaciela. Wydał odpowiednie rozkazy, ale było już za późno. Zarówno 8. DP, jak i 20. DP wpadły w panikę. Żołnierze, przerażeni atakami lotniczymi, rzucili się do ucieczki, porzucając broń. Dopiero po kilku dniach obie dywizje udało się zreorganizować w Modlinie i Warszawie, miały jednak ograniczoną zdolność bojową. Rozpierzchły się również brygady kawalerii – Mazowiecka poszła na wschód i przeszła Narew, a Nowogródzka – na zachód, do Płocka.

Wiadomości o dezintegracji Armii „Modlin” dotarły do Warszawy popołudniem 4 września. W sztabie naczelnego wodza uznano to za katastrofę, ponieważ droga do Warszawy stała przed Niemcami otworem. Niemcy byli jednak równie niepewni i skonfundowani co Polacy. Ostatecznie dowodzący armią wschodniopruską generał von Küchler skrzył na wschód, w stronę Wyszkowa. Nie skorzystał z okazji, aby w pościgu zniszczyć polskie dywizje i zająć Warszawę, zagroził jednak GO „Wyszków”.

Niemal przez cały 5 września Polacy nie mogli zorientować się w niemieckich zamierzeniach. Natarcie GO „Wyszków” najpierw odwołano, a następnie postanowiono przeprowadzić

je siłami powiększonymi o 33. DP z SGO „Narew”, a także 5. DP z rezerw naczelnego wodza. Generał Krukowicz-Przedzymirski znajdował się w Modlinie, odcięty od wojsk nad Narwią, dowodzenie przekazano więc generałowi Młotowi-Fijałkowskiemu z SGO „Narew”. Rzeczywistość była jeszcze bardziej skomplikowana niż jej opis, ponieważ wszystkie dowództwa były w ruchu, a rozkazy odbierano z kilkugodzinnym opóźnieniem, gdy już z reguły przestawały być aktualne.

Wydarzenia te sprowadziły falę krytyki na całą polską strukturę dowodzenia. Udowodniano, że nie doszłoby do klęski Armii „Modlin”, gdyby istniały wówczas dowództwa frontów. Krytycy nie zwracają jednak uwagi na to, że zorganizowanie takich dowództw byłoby w tamtych warunkach niezmiernie trudne, i oceniają ówczesne doświadczenia na podstawie swojej późniejszej wiedzy, której nie mieli uczestnicy wydarzeń. Przede wszystkim jednak prawdziwe przyczyny porażki na północy są zupełnie inne.

Organizacja wojenna Wojska Polskiego zakładała wystawienie pięciu armii do walki w pierwszej linii. Temu zadaniu podporządkowane były: struktura pokojowa, liczba formacji armijnych, liczba sztabów czy chociażby fakt, że lotnictwo mogło wystawić pięć armijnych zgrupowań lotniczych. Istnienie pięciu armii nie wynikało z magicznej numerologii, tylko z infrastruktury: na wschodzie Polski istniało jedynie pięć magistrali kolejowych, wzdłuż których można było zaopatrzyć walczące armie. Również na kierunku niemieckim uderzenie mogło przyjść jedynie z pięciu stron.

W Wojsku Polskim związki taktyczne, czyli dywizje i brygady, były podporządkowane bezpośrednio dowódcy armii. Nie było – tak jak w Niemczech czy Francji – pośredniego szczebla korpusu, istniały natomiast dowództwa grup operacyjnych. Niemieckie czy francuskie dowództwo korpusu zajmowało się

zarówno sprawami operacyjnymi, jak i kwatermistrzowskimi, natomiast polskie dowództwo grupy operacyjnej – wyłącznie sprawami operacyjnymi, problemy kwatermistrzowskie pozostawiając dowódcy armii. Również ta różnica wynikała z niedostatków infrastruktury. Liczba linii kolejowych w Polsce była ograniczona, logiczne więc było, że całym zaopatrzeniem płynącym jedną magistralą kolejową powinna zarządzać jedna osoba. Warto zauważyć, że taki sposób dowodzenia – sprawy kwatermistrzowskie w armii, sprawy operacyjne w korpusie – został przyjęty w czasie II wojny światowej przez armię amerykańską i obowiązywał w czasie zimnej wojny.

Często można spotkać się z opinią, że dowództwa grup operacyjnych były improwizowane. Za przykład podaje się GO „Wyszków”, była ona jednak wyjątkiem. Plan mobilizacyjny przewidywał grupy operacyjne, a ich etaty były precyzyjnie ustalone. Sztaby grup operacyjnych miały wystarczające środki techniczne do dowodzenia kilkoma dywizjami. Gdy sztaby takie uzupełniono specjalistami od zaopatrzenia, wówczas grupy operacyjne uzyskiwały samodzielność kwatermistrzowską – mogły działać niezależnie od armii i nazywano je samodzielnymi grupami operacyjnymi. Gdy sztaby takich formacji uzupełniono specjalistami od broni technicznych – na przykład czołgów, lotnictwa itp. – zostawały pełnoprawnymi dowództwami armii.

Łatwo zrozumieć, że liczba dywizji, czołgów czy samolotów jest zależna od stanu finansów państwa. Trudniej zauważyć taką zależność w przypadku sztabów. Pojawia się więc naiwne przekonanie, że zorganizowanie dowództwa armii czy frontu jest bardzo łatwe. Tymczasem na przeszkodzie stoją problemy z infrastrukturą (nie tylko z kolejową, ale i łączności), problemy ze sprzętem dowodzenia i łączności (nawet maszyny do pisania były drogie, a radiostacje dalekiego

zasięgu – jeszcze droższe), a przede wszystkim – braki kadrowe. Sztab armii zatrudniał około setki najwyższej klasy profesjonalistów – generałów, oficerów sztabowych, szyfrantów, maszynistek – którym należało płacić godne uposażenie. Koszt utrzymania sztabu armii był porównywalny z kosztem utrzymania pułku artylerii.

W czasie pokoju w Polsce istniało dziesięć inspektoratów armii. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że połowa inspektorów studiowała problemy wojny z Niemcami, a druga zajmowała się zagrożeniem sowieckim. Jedni więc byli przygotowani do dowodzenia na froncie przeciwniemieckim, a drudzy mieli zostać dowódcami armii na froncie przeciwsowieckim. W marcu 1939 roku wszyscy inspektorzy armii studiujący problemy zachodniego teatru działań wojennych zostali – zgodnie z planem – dowódcami armii.

Warto sobie zadać pytanie: którzy ludzie powinni zostać dowódcami frontów w razie wojny z Niemcami? Zauważmy, że bez przydziału armijnego pozostawali tylko inspektorzy od wschodniego teatru działań wojennych. Tylko oni mieli rangi równe dowódcom armii, ale byli od nich gorzej przygotowani do dowodzenia!

Czy utworzenie jednolitego dowództwa frontu na północnym Mazowszu miałoby wpływ na sytuację wojenną? Doświadczenia, którymi dysponowali w 1939 roku polscy dowódcy, nie były jednoznaczne. Wszyscy pamiętali koniec wiosny 1920 roku i obronę linii Dniepru przed Armią Konną Budionnego. Chociaż Budionny uderzył na styku dwóch polskich armii, ich dowódcy byli w stanie koordynować swoje działania i przez niemal dwa tygodnie Armia Konna nie była w stanie przebić się przez polską obronę. Natomiast utworzenie Frontu Ukraińskiego zamiast ułatwić, tylko skomplikowało dowodzenie, utrudniło współpracę i wprowadziło

niepotrzebne opóźnienie, a powstały bałagan umożliwił Budionnemu zwycięstwo.

Marszałek Śmigły nie był przeciwnikiem łączenia pod jednym dowództwem kilku armii i robił to w miarę potrzeby. Znał jednak z czasów wojny 1920 roku złe i dobre strony takich rozwiązań, ponieważ sam był wówczas dowódcą frontu. Jeśli dowódca frontu – lub grupy armii – był odpowiednio wybrany, to również jego działania były odpowiednie. Najmniej błędów popełnił generał Rómmel, miał on jednak ułatwione zadanie: dowodzenie Warszawą i Modlinem. Generał Kutrzeba nie do końca rozumiał intencje naczelnego wodza, jednak taktycznie dowodził dość dobrze. Generał Sosnkowski fatalnie dowodził Frontem Południowym, a generała Dęba-Biernackiego – dowódcę Frontu Północnego – przedstawimy w jednym z kolejnych rozdziałów.

Bałagan nad Narwią został ostatecznie – przynajmniej częściowo – opanowany, ale i tak zakończył się polską porażką. Porażką przypadkową, wstydliwą oraz niewygodną, i to na wszystkie możliwe sposoby. Niemcom udało się rozbić 33. DP oraz 41. DP. Dokonali tego w nocy z 6 na 7 września, a to przecież Polacy liczyli, że noc będzie ich sprzymierzeńcem. Obie polskie dywizje wpadły w panikę i udało się je odbudować dopiero po tygodniu, tworząc z nich jedną zbiorczą. Panika nie powinna się przytrafić, były to bowiem dywizje zorganizowane z formacji Korpusu Ochrony Pogranicza, a więc żołnierzy specjalnie dobranych i szkolonych. W dodatku cios polskim dywizjom piechoty zadał niemiecki 1. Pułk Jazdy. Było to upokarzające zarówno dla wielbicieli polskiej kawalerii, jak i dla jej krytyków, uznających kawalerię za dowód zacofania Wojska Polskiego. I najbardziej wstydliwą rzeczą: ponad 30 tys. polskich żołnierzy poszło w rozsypkę po ataku przeprowadzonym przez 800 Niemców. 40 do 1?

Paniczny odwrót 33. i 41. DP uniemożliwił zarówno odzyskanie linii Narwi, jak i obronę linii Bugu. Cały ciężar walk spadł na pozostającą w dobrej kondycji 1. DP Leg. Te trzy dywizje stanowiły teraz główną siłę Armii „Modlin” generała Krukowicza-Przedrzymirskiego, ponieważ jej pozostałe związki taktyczne zostały w Modlinie i Warszawie. Na szczęście w dowództwie 3. Armii niemieckiej znów zapanowały chaos i niezdecydowanie. Generał Küchler postanowił powalczyć o laury zdobywcy Warszawy i zawrócił w jej stronę. Ten dziwny manewr pozwolił oderwać się Armii „Modlin” od nieprzyjaciela i – przynajmniej częściowo – odzyskać gotowość bojową.

Generał Krukowicz-Przedrzymirski oceniany jest jako „dość dobry” dowódca. Musiał być dobry – przecież wywodził się z armii austriackiej, nie był więc militarnym ignorantem, który karierę zrobił dzięki służbie w Legionach i znajomości z Piłsudskim. Uległ pod Mławą – ale to tłumaczy się niemiecką przewagą, zapominając o jego błędach. Ceni się go jednak za to, że ze swoją armią wytrwał do końca i kapitulował na czele swoich wojsk. Czy na pewno jednak swoich, skoro znalazły się one w Modlinie i Warszawie?

W pierwszych dniach września to właśnie Armia „Modlin” poniosła największe straty. Utraciła dwie dywizje, a więc więcej niż generałowie Bortnowski i Szylling (pamiętajmy, że 5, 6 czy nawet 7 września uważano, że są one bezpowrotnie stracone!). Generał Krukowicz-Przedrzymirski był też jedynym polskim dowódcą armii, który dwukrotnie doznał upokarzającej porażki – pod Mławą i nad Narwią. Jednak ci, którzy zarzucają naczelnemu wodzowi, że nie odsunął od dowodzenia generałów Bortnowskiego, Rómmela czy Dęba-Biernackiego, nie wspominają ani słowem o generale Krukowiczu-Przedrzymirskim. A chyba właśnie w jego przypadku taka zmiana byłaby uzasadniona i potrzebna.

Czarna sława generała Dęba-Biernackiego

Generał Dęb-Biernacki już przed wojną dał się poznać jako brutal i analfabeta wojskowy. W czasie wojny podejmował szalone decyzje, a nie potrafiąc dowodzić armią, wydawał rozkazy pojedynczym plutonom. Zmarnował całą Armię „Prusy”, a winą za klęskę obarczył swoich żołnierzy. W cywilnym ubraniu uciekł za Wisłę, tam jednak tak omotał naiwnego naczelnego wodza, że ten powierzył mu dowództwo Frontu Północnego. Tutaj także nie potrafił dowodzić i – otoczony przez Niemców – przegrał bitwę pod Tomaszowem Lubelskim. Zamiast jednak się poddać, ponownie uciekł w cywilnym ubraniu.

Generał dywizji Stefan Dęb-Biernacki był jednym z najzdolniejszych polskich dowódców. Należał do Polskich Drużyn Strzeleckich, w czasie I wojny światowej dowodził 1. Pułkiem Legionów, a w 1920 roku – 1. Dywizją Piechoty Legionów. Był bliskim współpracownikiem późniejszego marszałka Śmigłego. Jako jeden z trzech oficerów został odznaczony *Virtuti Militari* V, IV oraz III klasy. Był też jednym z architektów zwycięstwa Józefa Piłsudskiego podczas zamachu majowego,

a później został inspektorem armii w Wilnie. Publikował w naukowej prasie wojskowej artykuły dotyczące taktyki. Wykorzystano to później jako dowód, że miał zbyt ograniczony intelekt do zajmowania się strategią. W tej krytyce pomija się jednak fakt, że generałowie z założenia nie piszą nic o strategii, ponieważ nie mogą ujawnić tajemnic wojskowych.

W 1938 roku oficerowie garnizonu wileńskiego pobili profesora Stanisława Cywińskiego. Uznali, że obraził on pamięć marszałka Piłsudskiego, nazywając go kabotyńcem. Generał Dąb-Biernacki wziął na siebie odpowiedzialność za zachowanie swoich oficerów, czym wzbudził żywą nienawiść opozycji, trwającą zresztą w niektórych środowiskach do dzisiaj. W XXI wieku łatwo zapomnieć, że profesor – „ofiara bestialskiego pobicia” – był osobą budzącą powszechnie kontrowersje, skazaną przez niezależny sąd na więzienie za znieważanie narodu polskiego. Nawet tak spokojny człowiek jak Julian Tuwim poświęcił mu – z powodu innego konfliktu – kilka ustępów swojego *Wiersza*, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w dupę pocałowali: „Item profesor Cy... wileński (Pan wie już za co, profesorze!)”.

Wiosną 1939 roku generał Dąb-Biernacki został wyznaczony na dowódcę armii odwodowej. Przez długi czas nie miała ona nazwy – nazywano ją po prostu Armią „Odwodową” lub Armią „Warszawa”, ponieważ tutaj stacjonowało dowództwo. Tuż przed wojną wybrano nazwę Armia „Prusy” – w oczywistym celu wprowadzenia Niemców w błąd. Również skład oraz miejsce koncentracji armii przez dłuższy czas nie były precyzyjnie ustalone: przewidziane dla niej dywizje kierowano do armii przygranicznych, a to powodowało zmiany celów i miejsca koncentracji. Co więcej, ze względu na konieczność dowiezienia zmobilizowanych jednostek najpierw

do armii pierwszoliniowych, dywizje Armii „Prusy” miały do nich dotrzeć w drugiej fali przewozów kolejowych albo nawet marszem pieszym – już po rozpoczęciu działań wojennych.

Ostatecznie zdecydowano, że armia skoncentruje się na południowy zachód od Warszawy, na południe od Pilicy. Tutaj dotarły trzy dywizje piechoty: 13. 19. i 29. oraz Wileńska Brygada Kawalerii. Dalej na południe miały się zebrać kolejne trzy dywizje: 3. 12. i 26. Jednak ze względu na szybkie postępy ofensywy niemieckiej obie grupy nie zdołały się połączyć i walczyły oddzielnie.

Dla odwodowej Armii „Prusy” nie wystarczyło lotnictwa, więc jej dowódca był pozbawiony najważniejszego środka rozpoznania i musiał polegać na meldunkach swoich sąsiadów oraz informacjach z naczelnego dowództwa. Brak rozpoznania okazał się preludium do klęski armii. Gdy bowiem Armii „Łódź” nie udało się zatrzymać Niemców w bitwie o Góry Borowskie, generała Dęba-Biernackiego poinformowano o tym z opóźnieniem, zaniżając też siły przeciwnika. Dowództwo Armii „Prusy”, przekonane, że w kierunku Warszawy maszeruje powoli jedna tylko dywizja pancerna, postanowiło ją zniszczyć nocą z 5 na 6 września w zasadzce pod Piotrkowem Trybunalskim, na północ od Pilicy. Zasadzkę miała przeprowadzić Grupa Operacyjna generała Rudolfa Dreszera, składająca się z 19. DP oraz Wileńskiej Brygady Kawalerii.

Niemcy pojawili się jednak pod Piotrkowem już nad ranem 5 września. Ani dowódca 19. DP, ani dowódca GO nie poinformowali o tym generała Dęba-Biernackiego. Dowiedział się o tym dopiero w południe, od ludności cywilnej. Natychmiast pojechał organizować kolejne uderzenie, w którym miała brać udział 29. DP. Wieczorem dotarły do niego kolejne hiobowe wieści – pod Piotrkowem znajdowały się

dwie dywizje pancerne. Tak potężnych sił nie można było zaatakować – należało się bronić. Atak odwołano, ale przeznaczone do niego wojska znajdowały się w marszu na pozycje wyjściowe. Generał Dąb-Biernacki próbował osobiście zapanować nad chaosem na drogach. Nie znalazło to uznania w oczach krytyków, którzy uznają to za dowód na wtrącanie się dowódcy w „nieistotne szczegóły taktyczne”. Również zimna krew okazywana przez generała wobec podwładnych nie świadczy – według nich – o spokoju i opanowaniu, tylko o bucie i oderwaniu od rzeczywistości.

Rankiem 6 września okazało się, że generał Dąb-Biernacki nie ma czym dowodzić: zarówno 19., jak i 29. DP zostały rozproszone – nie tyle w wyniku walki, ile paniki – a Wileńska BK samowolnie odeszła na wschód. Kilka godzin później generał Dąb-Biernacki stwierdził w rozmowie juzowej ze sztabem naczelnego wodza, że „akcja na Piotrków dywizji 29. i 19. z powodu demoralizacji wojsk zupełnie się nie udała”. Na zadane w chwilę później pytanie o stan wojska odpowiedział, że z obu dywizji pozostały cztery bataliony, „reszta niezdolna do walki, żołnierze odchodzą na widok kilku czołgów”^{*}.

Nie była to do końca prawda. Otóż żołnierze nie uciekali „na widok czołgów” – uciekali, gdy tylko je usłyszeli. Dlatego m.in. nie udało się powstrzymać Niemców kontratakami polskiego batalionu czołgów. Hałas 50 silników czołgowych spowodował nocą popłoch wśród polskich żołnierzy. W panikę wpadli także czołgiści: kilkanaście godzin później, podczas odwrotu, napotkali polski pułk artylerii, uznali go za Niemców, zamknęli włady do czołgów i rozpoczęli pancerną szarżę, która doprowadziła do rozbicia pułku.

^{*} Jan Wróblewski, *Armia Prusy 1939*, Warszawa 1986, s. 147.

Meldunek dokładnie opisywał sytuację armii i wyjaśniał powody porażki. Przyczynił się jednak do powstania mitu, że generał zrzucił całą winę na swoich żołnierzy. Stwierdził rzekomo, że „nie będzie dla nich narażał swojego honoru żołnierskiego”, przebrał się w ubranie cywilne i uciekł za Wisłę. Działał w takim pośpiechu, że zapomniał nawet bagaży osobistych.

Tymczasem generał Dąb-Biernacki nadal dowodził i ostatnią z pozostałych mu dywizji próbował powstrzymać marsz Niemców na Warszawę. Jednak 13. DP również się rozsypała, od tyłu zaatakowali ją bowiem dywersanci i spadochroniarze niemieccy. W ogóle żołnierze północnego zgrupowania Armii „Prusy” mieli wielkiego pecha do dywersantów i spadochroniarzy niemieckich, którzy non stop atakowali ich podczas odwrotu. Tyle tylko że Niemcy nie skierowali na Mazowsze dywersantów i nie przeprowadzali tu desantów spadochronowych. Skąd więc się wzięli? Być może spadochroniarze istnieli jedynie w wyobraźni spanikowanych polskich żołnierzy? Ale ich ofiarami padali przede wszystkim oficerowie, a nawet dowódcy pułków. Być może więc tymi, którzy strzelali, nie byli Niemcy? To nie są popularne rozważania: wiadomo przecież, że polscy żołnierze walczyli odważnie i bohatersko. Nie mogą być odpowiedzialni za klęskę, to ich dowódcy do niej doprowadzili!

Sprawa ma swoje drugie dno. Wszystkie związki taktyczne północnego zgrupowania Armii „Prusy” wywodziły się ze wschodniej Polski: 19. oraz 29. Dywizja z Wileńszczyzny (podobnie jak Wileńska Brygada Kawalerii), a 13. Kresowa Dywizja Piechoty – z Wołynia. Załamanie się tych formacji było poważnym ciosem w legendę o polskich Kresach i – posłużmy się tu słowami profesora Cywińskiego, które tak rozsierdziły piłsudczyków – zadawało „kłam słowom pewnego

kabotyna, który powiedział, że Polska jest jak obwarzanek: tylko to coś warte, co jest po brzegach, a w środku pustka”.

Ale nawet będąc na dnie, można usłyszeć pukanie od spodu. Jest więc trzecie dno klęski piotrkowskiej. Wszystkie związki taktyczne północnego zgrupowania Armii „Prusy” wywodziły się z szeroko rozumianych Kresów. Struktura etniczna dywizji odzwierciedlała w przybliżeniu strukturę etniczną Rzeczypospolitej: dwie trzecie żołnierzy stanowili Polacy, a jedną trzecią – Białorusini i Ukraińcy. Należy jednak pamiętać, że w dywizji piechoty istnieją formacje wymagające większego poszanowania tajemnicy wojskowej, posługiwania się perfekcyjną polszczyzną czy też lepszego obycia z matematyką i techniką. Z przyczyn oczywistych takimi żołnierzami najczęściej byli Polacy i to oni trafiali do formacji zwiadu, łączności, saperów czy artylerii. Pozostali zostawiali piechurami. Oznaczało to, że Białorusini i Ukraińcy stanowili połowę – jeśli nie więcej – żołnierzy batalionów piechoty.

Jeśli przyjrzymy się formacjom, które przetrwały klęskę pod Piotrkowem i zdołały przeprawić się na wschodni brzeg Wisły, okaże się, że uratowały się sztaby, pododdziały rozpoznawcze, łączności, pionierów, artylerii przeciwpancernej i polowej oraz saperzy. Z batalionów piechoty – jedynie nieliczni. W najlepszej kondycji przez Wisłę przeszła 13. DP, ale jej bataliony nie wykonały rozkazu powtórnej koncentracji – żołnierze postanowili wracać do swoich domów, na Wołyń, co w polskiej literaturze ładnie określa się jako „samorzutną decyzję o powrocie do garnizonów (prawdopodobnie na skutek fałszywych rozkazów przekazywanych przez niemieckich dywersantów)”.

Czyżby żołnierze pochodzenia białoruskiego i ukraińskiego nie chcieli się bić? Liczne badania i studia, książki naukowe, referaty na specjalistycznych konferencjach przekonują

nas, że z mniejszości narodowych wywodzili się dobrzy żołnierze Wojska Polskiego. Jako dowody pokazuje się statystyki dezercji w czasie pokoju i przytacza przykłady bohaterstwa wojennego Białorusinów, Ukraińców i żołnierzy z innych mniejszości. Panuje powszechne przekonanie, że nawet jeśli doszło do masowych dezercji, to dopiero po 17 września. Czy aby na pewno?

Tymczasem generał Dąb-Biernacki „uciekał w cywilnym przebraniu za Wisłę, w takim pośpiechu, że zapomniał o prywatnych bagażach”. W to ostatnie można akurat uwierzyć – generał nie przejmował się takimi drobiazgami jak własne bagaże. Zadbał natomiast o specjalistyczny sprzęt i o podwładnych, którzy później będą tworzyli jego sztab przez resztę kampanii. Po raz kolejny wykazał się również zimną krwią. Siedzibę swojego dowództwa, Spałę, opuścił dopiero wówczas, gdy niemieckie czołówki pancerne znalazły się kilka kilometrów od tej miejscowości. To chyba wrześniowy rekord w kategorii „najmniejszej odległości pomiędzy niemieckimi czołgami a dowództwem polskiej armii”.

Ze Spały dowództwo armii udało się 100 km na południowy wschód, do Zwolenia, a następnie, w nocy z 7 na 8 września, do nieodległych Puław. Puławy faktycznie znajdują się na wschodnim brzegu Wisły, ale dopiero tutaj udało się nawiązać łączność kablową z naczelnym dowództwem w Warszawie. Z Puław generał Dąb-Biernacki nie był w stanie dowodzić dywizjami północnego zgrupowania swojej armii. Pamiętajmy jednak, że wszystko wskazywało na to, że tych dywizji już nie ma, a z armii pozostała jedynie 13. DP. Sztab tej dywizji generał Dąb-Biernacki zdołał jednak odwiedzić po wyjeździe ze Spały i wydać jej rozkaz odwrotu za Wisłę. Cóż więcej miał zrobić? Pozostać przy swoich wojskach i wtrącać się w rozkazy dowódcy dywizji?

W Puławach generał Dąb-Biernacki dowiedział się również, że nie ma co liczyć na południowe zgrupowanie swojej armii. Te trzy dywizje zorganizowano w grupę operacyjną, utworzoną na bazie sztabu Korpusu Interwencyjnego, dowodzoną przez generała Stanisława Skwarczyńskiego. Działał on samodzielnie, a jego zadaniem było sprowadzenie marszem pieszym trzech dywizji nad Pilicę z okolic Lublina. Jednak podczas marszu rozciągnięte kolumny – i to niepełne, ponieważ znaczna część oddziałów nie przekroczyła Wisły – stały się obiektem ataku niemieckiego korpusu szybkiego. Polskie dywizje zostały rozproszone w walkach znanych w Polsce jako bitwa pod Iłżą, a w Niemczech jako *Schlacht bei Radom*.

Zerwała się również łączność ze sztabem naczelnego wodza, który odjechał z zagrożonej Warszawy do Brześcia nad Bugiem. Rankiem 9 września generał Dąb-Biernacki znalazł się w Lublinie, w sztabie generała Tadeusza Piskora, dowódcy Armii „Lublin”, której zadaniem była obrona Wisły. Podporządkowano jej odchodzące za Wisłę dywizje Armii „Prusy”. Było to oczywiste – Tadeusz Piskor został mianowany generałem dywizji dwa lata wcześniej niż Stefan Dąb-Biernacki, stał więc od niego wyżej w hierarchii służbowej. Lublin był miejscem „stosunkowo” bezpiecznym – rozmowa obu generałów odbywała się podczas niemieckiego bombardowania lotniczego.

10 września wieczorem marszałek Śmigły wezwał sztab Armii „Prusy” do Brześcia. Generał Dąb-Biernacki dotarł tam 11 września, uprzednio wydając rozkazy dla wojsk swojej armii, które zdołały przejść za Wisłę. Rozmowa pomiędzy marszałkiem i generałem odbyła się w cztery oczy. Na pewno nie była przyjemna – jeden przegrał bitwę, drugi przegrywał kampanię – ale nie znamy jej przebiegu. Niestety, nie przeszkadza to nawet uznanym autorom konfabulować,

przytaczać jej przebieg, a nawet sugerować, że kolejne stanowisko generał Dąb-Biernacki otrzymał po zaszantażowaniu marszałka Śmigłego tajemnicami ze wspólnej przeszłości.

Na pewno obaj rozmawiali o generale Rudolfie Dreszerze, dowódcy Grupy Operacyjnej swojego imienia w Armii „Prusy”, która poniosła klęskę pod Piotrkowem. Nie będziemy tu oceniać jego odpowiedzialności za wynik bitwy i fatalny przebieg odwrotu ani oskarżać – co jest niezmiernie łatwe wobec każdego generała odciętego od swoich wojsk – o opuszczenie swoich żołnierzy. Z pewnością jednak bez pozwolenia generała Dęba-Biernackiego i bez zaproszenia od marszałka Śmigłego udał się do Brześcia, żeby zrzucić odpowiedzialność na swojego przełożonego. Zauważmy na marginesie, że ten donos na generała Dęba-Biernackiego opłacił mu się w 1940 roku, gdy Władysław Sikorski – premier, wódz naczelny i wróg Dęba-Biernackiego – mianował Dreszera dowódcą 4. Dywizji Piechoty.

Nowe zadanie dla generała Dęba-Biernackiego wynikało z nowego planu kampanii, ustalonego w sztabie naczelnego wodza 10 i 11 września. Jego myślą przewodnią było skupienie maksimum sił w południowo-wschodniej Polsce, na Przedmościu Rumuńskim, jak później nazwano ten obszar. Niemców miały powstrzymywać siły pozostawione na przedpolu: przede wszystkim załogi w Warszawie i Modlinie oraz walczące nad Bzurą armie generałów Kutrzeby i Bortnowskiego. Pozostałe siły zostały podzielone na trzy fronty: Front Południowy generała Sosnkowskiego miał bronić linii Sanu, Front Środkowy generała Tadeusza Piskora miał utrzymywać linię Wisły, a Front Północny – którego dowódcą został właśnie generał Dąb-Biernacki – schodzić powoli na południe.

Front Północny składał się z Armii „Modlin” (wbrew nazwie znajdowała się ona nad środkowym Bugiem),

Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew” oraz wojsk znajdujących się na północ od rzeki Wieprz. Generał Dąb-Biernacki niemal natychmiast pojechał spotkać się z dowódcą Armii „Modlin” generałem Krukowiczem-Przedrzymirskim, ale ten już od wielu dni nie miał kontaktu ze swoimi trzema dywizjami. Łączności z SGO „Narew” również nie było – toczyła właśnie walki z korpusem pancernym Guderiana. W walkach tych została rozbita polska 18. DP, a obie brygady kawalerii schroniły się w Puszczy Białowieskiej. Wojska na północ od rzeki Wieprz były formacjami Armii „Prusy”. Generałowi Dębowskiemu-Biernackiemu nie odebrano więc dowodzenia Armią „Prusy”, a rzekomo nowe zadanie nie było wcale takie nowe.

Stanowisko dowodzenia Frontu Północnego znajdowało się w Lubartowie, ale jako że łączność szwankowała, jego dowódca większość czasu spędzał w rozjazdach. Zadbał o prowiant i odpoczynek dla żołnierzy, którzy przeszli Wisłę, i organizował z nich nowe związki taktyczne. Najpierw zbiorczą brygadę kawalerii pułkownika Zakrzewskiego, a następnie brygady piechoty, których numery odpowiadały resztkom uratowanych dywizji: 3., 13., 19. i 29. Każda z tych brygad miała siłę nieco mniejszą niż połowa dywizji, starano się jednak zachować dawne struktury, aby łatwo odbudować je w przyszłości. Po kilku dniach dołączyła do tych wojsk Armia „Modlin”, z trzema mocno poturbowanymi dywizjami piechoty, a następnie GO generała Andersa, z dwiema brygadami kawalerii i 10 DP. Wreszcie generał Piskor przekazał ze swojej armii 39. DP.

Jak widać, Front Północny miał całkiem okazałą siłę bojową. Zgodnie z rozkazem wodza naczelnego wojska wyruszyły na wschód, aby – okrężną drogą przez Kowel, a nie prostą przez Lwów – dojść do Przedmościa Rumuńskiego.

Sowiecka agresja 17 września zmusiła jednak generała Dęba-Biernackiego do zmiany kierunku marszu. Na wschodzie jego żołnierzy czekała sowiecka niewola (i śmierć), a kierując się na południe, można było dotrzeć do neutralnych Węgier. Utrzymywanie dawnych struktur wojska nie miało już sensu, bo nie było szans na jego odbudowę. Oddziały podporządkowano zatem pięciu dywizjom piechoty oraz trzem brygadam kawalerii.

21 września napotkano pod Tomaszowem Lubelskim niemiecką zaporę. Rozgorzała bitwa. Jako że kilka dni wcześniej toczył tutaj walki Front Środkowy generała Piskora, generałowi Dębowi-Biernackiemu zarzuca się, że nie chciał przyjąć koledze z pomocą albo że robił to bardzo nieudolnie i powoli. W rzeczywistości każdą z tych bitew toczono w zupełnie innej sytuacji wojennej. Generał Piskor walczył pod Tomaszowem m.in. o to, żeby generał Dąb-Biernacki nie musiał zawracać z drogi na Wołyń.

Niemieccy parlamentariusze zaproponowali generałowi Dębowi-Biernackiemu kapitulację, on jednak nawet nie chciał z nimi rozmawiać. Walka Polaków z Niemcami toczyła się przez trzy dni ze zmiennym szczęściem. Wówczas na tyłach polskiego ugrupowania pojawiła się sprzymierzona z Wehrmachem Armia Czerwona. Bitwa była przegrana.

W tej sytuacji generał Dąb-Biernacki rozwiązał Front Północny, polecając dowódcom związków taktycznych działać samodzielnie. Niektórzy – na przykład generał Anders ze swoją grupą operacyjną – wybrali dalszą walkę, po której trafili do sowieckiej niewoli. Inni – na przykład generał Krukowicz-Przedrzymirski, wciąż nominalnie dowodzący Armią „Modlin” – wybrali kapitulację, po której trafili do niemieckiej niewoli (wraz z całą armią). Generał Dąb-Biernacki postanowił rozproszyć swój sztab i nakazał mu przedzierać się

małymi grupkami w stronę węgierskiej granicy. Jemu – po dwutygodniowej epopei – udało się tam dostać.

Decyzja generała Dęba-Biernackiego o przedzieraniu się na Węgry była zgodna z rozkazami naczelnego wodza, honorem żołnierza zakazującym poddawania się wrogowi i polską tradycją powstańczą nakazującą walczyć za wszelką cenę – a pamiętajmy, że z takiego właśnie środowiska wywodził się Dąb. Była również oczywistym przejawem wysokiego morale generała, jego determinacji i odwagi – zarówno fizycznej, jak i cywilnej. Mógł przecież, przytłoczony klęskami, zrezygnować i kapitulować. Z kolei generał Krukowicz-Przedrzymirski nie wykonał rozkazu wodza naczelnego, nie próbował uniknąć niewoli i zrezygnował z niebezpiecznych prób kontynuowania walki. Przywołujemy go nie dlatego, żeby potępić, ale dlatego, że jest przeciwstawiany generałowi Dębowi-Biernackiemu jako ten, który zachował się godnie. Czytelnikom pozostawiamy ocenę, który z nich postąpił właściwie.

Czy generał Dąb-Biernacki uciekał w cywilnym ubraniu? Wiemy, że nie miał ze sobą prywatnych bagaży, te pozostawił bowiem w Spale podczas „panicznej ucieczki”. Sięgnijmy do relacji z 1939 roku: „Byliśmy w przebraniu cywilnym, dźwigając na plecach worki turystyczne, wypełnione przez dobrą panią S. Wystawiono nam w Dublanach coś w rodzaju poświadczeń osobistych wedle dat zaczerpniętych z cudzych paszportów. Ja przedzierzgnąłem się w Wacława Stelmaszczyka, małego urzędnika jednego z sądów grodzkich w Warszawie...”. Tak swój marsz spod Lwowa na Węgry opisał generał Kazimierz Sosnkowski. I nikt nie zarzuca mu, że uciekł w cywilnym przebraniu, bo przecież trudno sobie wyobrazić, żeby 100-kilometrową podróż przez okupowane przez wroga ziemie odbył w generalskim mundurze. Generał Dąb-Biernacki miał do pokonania dystans niemal dwa razy większy,

więc w którymś momencie musiał zmienić mundur na ubrania cywilne, chociażby po to, żeby nie narażać na ryzyko pomagających mu osób.

Generał Dąb-Biernacki przedostał się do Francji, aby kontynuować walkę. Tutaj przyszło mu jednak toczyć ją przeciwko nowemu premierowi i wodzowi naczelnemu generałowi Władysławowi Sikorskiemu. We Francji został osadzony w obozie w Cerizay. Po klęsce Francji udało mu się przedostać do obozu na wyspie Bute. Oba te ośrodki były miejscami odosobnienia dla „nieprawomyślnych” oficerów. Gdy generał Dąb-Biernacki wystąpił w obronie prześladowanych przez premiera Sikorskiego oficerów, wytoczono mu proces przed sądem polowym, skazano na karę pozbawienia wolności i zdegradowano do stopnia szeregowego. Po pół roku znów stanął przed sądem polowym i znów skazano go na pozbawienie wolności i... degradację do stopnia szeregowego. Premier Sikorski tak bardzo bał się wpływów generała Dęba-Biernackiego wśród oficerów, że poprosił Brytyjczyków, aby wsadzili go do cywilnego więzienia wraz z kryminalistami. Generał Dąb-Biernacki spędził tam blisko rok, ale nie został „zresocjalizowany” i do końca życia walczył w obronie dobrego imienia swoich przełożonych i podwładnych. To właśnie z tego powodu powstała wokół niego czarna legenda.

Czy generałowie rzeczywiście byli niewykształceni i nieskuteczni?

Polscy generałowie w 1939 roku byli niewykształceni i nieskuteczni. Nic dziwnego, skoro w II Rzeczypospolitej sanacyjne władze usunęły z wojska niemal wszystkich oficerów zawodowych, którzy specjalistyczne wykształcenie zdobyli w armiach zaborczych. W tym czasie generałami zostawali niemal wyłącznie weterani legionów Piłsudskiego, przede wszystkim z powodów politycznych i dzięki znajomościom.

W jaki sposób należy oceniać polskich dowódców? Choć nie ma jednolitej wykładni, czyni się to powszechnie. Taką modę zapoczątkowała ocena generalicji dokonana w początkach lat 20. przez marszałka Piłsudskiego. Ocena ta jest negatywna przede wszystkim dla... samego marszałka, widać bowiem wyraźnie, że jego oceny nie były trafne. Chyba jeszcze częściej mylił się pułkownik Stefan Rowecki w swoich ocenach poczynionych tuż przed 1939 rokiem. Pomijając specjalistyczne oceny dokonywane przez inspektorów armii, na tych dwóch

świetnych nazwiskach – Piłsudski oraz Rowecki – kończy się lista oficerów, którzy oceny polskiej generalicji wystawili jeszcze przed wojną. Wszystkie inne zostały dokonane już po 1939 roku, a opierały się na niepełnych danych.

Niestety, niemal każda publikacja powojenna dotycząca kampanii 1939 roku musi zawierać ocenę postępowania generałów, podobnie jak każda dyskusja, szczególnie toczona na forach internetowych – także tych opiniotwórczych, czyli wikipediach (przede wszystkim polskiej). Większość polskich generałów jest oceniana *post factum*, z deterministycznym założeniem, że skoro kampania przeciw Niemcom i tak została przegrana, najlepszym dowódcą był ten, który miał najmniejsze straty. Najwyżej oceniano zatem dowódców biernych i unikających walki, najniżej zaś – tych aktywnych i ryzykujących życie żołnierzy. Dziś opinie takie wymagają weryfikacji.

Kanon najlepszych polskich dowódców wydaje się już dawno ustalony, choć można odnieść wrażenie, że jest to „kanon ustawiony”. Wygląda on tak, jakby sędziowie przyznawali punkty w następujących kategoriach: brak służby w Legionach, niepodejmowanie w 1939 roku walki przeciwko Sowiетom, dbanie o jak najmniejsze straty własnych wojsk oraz pójście do niewoli wraz ze swą armią. Dodatkowe punkty można otrzymać za: powrót do PRL, opublikowanie wspomnień przedstawiających własny punkt widzenia, wczesną kapitulację oraz – proszę wybaczyć cynizm – śmierć na polu walki lub w niewoli, niemieckiej niewoli. W razie potrzeby władze polityczne pozwalały sobie na wykreowanie plotki o porzuceniu wojsk, załamaniu nerwowym, przebraniu się w cywilne ubranie. Większość z tych plotek – jeśli nie wszystkie – okazuje się nieprawdą.

Tabela pozwalająca – bez wysiłku intelektualnego i znajomości szczegółów – dokonać oceny polskich dowódców* kampanii 1939:

Dowódca	Brak służby w Legionach	Niewalczenie z Sowietami	Ograniczanie strat wojska	W niewoli ze swoją armią	Inne	Ocena końcowa
Edward Śmigły-Rydz	0	0	0	0	–	0–
Czesław Młot-Fijałkowski	0	1	0	0	+	1+
Emil Krukowicz-Przedzimyński	1	1	0	1	–	3–
Władysław Bortnowski	0	1	0	1	·	2
Tadeusz Kutrzeba	1	1	1	1	+	4+
Juliusz Rómmel	1	1	0	0	+/-	2
Stefan Dąb-Biernacki	0	0	0	0	–	0–
Antoni Szylling	1	0	1	1	+	3+
Kazimierz Fabrycy	0	1	0	0	–	1–
Kazimierz Sosnkowski	0	1	0	0	+	1+
Tadeusz Piskor	0	1	0	1	–	2–
Józef Unrug	1	1	1	1	·	4
Ludomił Rayski	0	1	0	0	–	1–
Wiktor Thommée	1	1	1	1	+	4+
Władysław Langner	0	1	1	1	·	3
Mieczysław Boruta-Spiechowicz	0	0	0	0	+	0+
Franciszek Kleeberg	0	0	1	1	+	2+
Zygmunt Podhorski	0	0	0	1	·	1
Wilhelm Orlik-Rückemann	0	0	1	1	·	2

* Wymienieni zostali – w kolejności – wódz naczelny, dowódcy armii, dowódcy uchodzący za zwierzchników rodzajów sił zbrojnych oraz działających samodzielnie grup operacyjnych.

Proszę teraz wejść w kuluary konferencji naukowych lub zajrzeć na fora internetowe poświęcone wydarzeniom 1939 roku, przejrzeć blogi i komentarze pod artykułami. Poczet najlepszych generałów września otwierają Unrug, Kutrzeba, Thommée i Langner, a zamykają Bortnowski i Dąb-Biernacki. Dokładnie tak jak w tabeli. A przecież poruszane w niej sprawy – z wyjątkiem strat, nie zawsze zależnych zresztą od dowódców – nie są merytorycznie związane z dowodzeniem...

W 1939 roku polscy generałowie mieli niesamowicie trudne zadanie. Zrealizowali je jednak w stopniu co najmniej dobrym. Na pewno sprawdzili się wszyscy dowódcy armii – każdy z nich dowodził sprawnie i tak skutecznie, jak pozwalały mu na to okoliczności. Żaden nie dowodził bezbłędnie, ale żaden też nie popełnił dyskwalifikujących błędów. Każdemu z tych, na których spadło niemieckie uderzenie, można zarzucić utratę przynajmniej jednego związku taktycznego. Większość z nich w którymś momencie kampanii została odcięta od swoich wojsk. Tylko od życzliwości oraz umiaru komentatorów zależy, czy utrata brygady lub dywizji zostanie w ogóle zauważona, a ewakuacja – nazwana paniczną ucieczką.

Wysoką klasę polskich generałów widać wyraźnie podczas porównywania ich z generałami innych armii europejskich. Duńczycy zdecydowali się na kapitulację po godzinie i trzech kwadransach od niemieckiego ataku. Wódz naczelny armii norweskiej został zaskoczony niemiecką agresją w czasie swojej imprezy urodzinowej, na poranne spotkanie swego sztabu przyjechał taksówką i w ubraniu cywilnym, a następnie nie mógł opuścić Oslo, bo... zabrakło dla niego samochodu. Jego odpowiednik w armii holenderskiej kapitulował po niespełna pięciu dniach na wiadomość o bombardowaniu Rotterdamu, gdy Niemcy nie dotarli nawet do głównej linii

obrony. Armia belgijska kapitulowała po 18 dniach odwrotu i stoczeniu jednej większej bitwy. Pewnym odbiciem tej sytuacji jest entuzjazm, z jakim Polacy byli witani w Wielkiej Brytanii w 1940 roku: nieliczni Belgowie i Holendrzy, jacy dotarli na Wyspy, byli powszechnie traktowani jako zdrajcy wspólnej sprawy, którzy przyczynili się do śmierci i niewoli tysięcy brytyjskich chłopców.

O ile Francuzi – wbrew czarnej legendzie – walczyli z dużą determinacją, to generałowie Jugosławii i Grecji wprost dopuścili się zdrady swoich państw. Generał Milan Nedić – uprzednio szef sztabu generalnego i minister armii i marynarki – został premierem serbskiego rządu kolaboracyjnego. Z kolei generał Georgios Tsolakoglou – dowódca jednej z greckich armii – samowolnie podpisał kapitulację wszystkich greckich sił zbrojnych, a następnie został premierem rządu kolaboracyjnego.

Jak się zdaje, tylko jeden generał spośród ponad 500 współpracował z Niemcami czy Rosjanami. Był nim Franciszek Wolfshneider, generał emerytowany jeszcze w latach 20.: w lipcu 1943 roku Kedyw wykonał na nim wyrok śmierci Wojskowego Sądu Specjalnego.

Franciszek Wolfshneider był pochodzenia austriackiego, albo raczej po prostu był Austriakiem, który po I wojnie światowej osiedlił się w Polsce. W przeciwieństwie do innych armii – na przykład czechosłowackiej, w której Francuzi i Rosjanie byli nawet szefami sztabu generalnego – w Wojsku Polskim generałami zostawali obywatele Rzeczypospolitej. Często jednak ich pochodzenie było dość skomplikowane: francuskie, czeskie, słoweńskie czy też żydowskie: obce korzenie mieli na przykład generał dywizji Mieczysław Norwid-Neugebauer, generał brygady Wilhelm Orlik-Rückemann i generał brygady Bernard Mond.

Pochodzenie społeczne polskiej generalicji wiązało się z jej losami historycznymi: co prawda byli wśród generałów tacy, którzy wywodzili się z armii austriackiej i rosyjskiej, lecz większość miała korzenie legionowe. Nieco upraszczając: w armii austriackiej karierę oficerską robili synowie chłopów, w armii rosyjskiej – synowie szlachty, a w Legionach – synowie mieszczań. Tak też wyglądało pochodzenie społeczne polskich generałów: co prawda byli wśród nich tacy, którzy wywodzili się z chłopów, a nawet szlachty, lecz większość miała korzenie mieszczańskie.

Poglądy polityczne polskiej generalicji były w miarę jednolite: propaństwowe i prorządowe. Generałowie często dostawali sugestie zaangażowania się w działalność administracyjną czy polityczną (najdobitniejszym przykładem jest generał Stanisław Skwarczyński, do września szef prorządowego Obozu Zjednoczenia Narodowego). Byli jednak i tacy, którzy działali niemal opozycyjnie.

Podział na oficerów legionowych, „prawosławnych” i „austriaków” miał sens w początkach lat 20. – w dobie demobilizacji – ale w latach 30. praktycznie już nie istniał. Rozbudził go sztucznie we Francji na przełomie 1939 i 1940 roku generał Sikorski, tłumacząc nim odsunięcie na boczny tor generałów i oficerów „legionowych” – lojalnych wobec poprzedniej ekipy rządzącej. Już w latach 20. zadbano o ujednolicenie kadry dowódczej przez jednakowe szkolenie, oparte na francuskiej teorii i polskich doświadczeniach 1920 roku, a realizowane pod okiem komendanta Wyższej Szkoły Wojennej – pochodzącego z armii austriackiej generała Tadeusza Kutrzeby.

Co więcej, znaczną część „generałów nielegionowych” stanowili oficerowie rezerwy armii państw zaborczych, którzy przed 1914 rokiem prowadzili spokojne życie cywilne. Często zresztą w tym czasie byli związani z ruchem

niepodległościowym, strzeleckim czy socjalistycznym – protoplastami legionów. Takie były dzieje Franciszka Dindorfa-Ankowicza (w czasie Wielkiej Wojny – oficera armii austriackiej), Antoniego Szyllinga (w czasie Wielkiej Wojny – oficera armii rosyjskiej), Ludomiła Rayskiego (w czasie Wielkiej Wojny – oficera armii... tureckiej). O ile jednak generał Rayski był powszechnie uznawany za legionistę, o tyle już Franciszek Kleeberg – szef Sztabu Komendy Legionów Polskich – uchodził za „austriaka”, był bowiem cesarsko-królewskim oficerem zawodowym.

Przyjrzyjmy się teraz karierze wojskowej dwóch generałów, z których jeden powszechnie uchodzi za profesjonalistę z armii rosyjskiej, a drugi – za amatora. Ten pierwszy ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Warszawie, później był kierownikiem folwarku doświadczalnego i asystentem w stacji zootechnicznej. Zmobilizowany w 1914 roku do armii rosyjskiej, zakończył wojnę w stopniu sztabkapitana (nieistniejący w Wojsku Polskim stopień pomiędzy porucznikiem a kapitanem). Po wojnie – w 1922 roku – odszedł z wojska i powrócił do zawodu agronoma. Do armii powrócił po trzech latach, skończył roczny kurs w Wyższej Szkole Wojskowej. Ten drugi poszedł na ochotnika do armii austriackiej, gdzie dosłużył się stopnia chorążego, przewidzianego na stanowisko oficerskie w czasie wojny. Ukończył również niższy, a następnie wyższy kurs oficerski Związku Strzeleckiego „Strzelec”. Podczas I wojny światowej dowodził batalionem, pułkiem, brygadą, a po 1918 roku – dywizją, grupą operacyjną, armią, frontem. Który z nich miał lepsze wykształcenie wojskowe? Pierwszy, czyli Antoni Szylling, czy drugi – Edward Śmigły-Rydz?

Absolwenci szkół wojskowych mogą oczywiście uważać się za lepiej wykształconych wojskowo, za elitę armii. Prawda jest jednak nieco inna. Szkoły wojskowe zajmowały się

przede wszystkim kształceniem oficerów broni technicznych, głównie saperów i artylerzystów. Absolwenci wojskowych szkół technicznych mieli wykształcenie specjalistyczne, równe cywilnemu inżynierowi. Szkoły, w których kształcili się oficerowie piechoty czy kawalerii, były pomaturalnymi szkołami zawodowymi. Ich podstawowym zadaniem – zarówno w Polsce, jak i w Europie – było ułatwienie awansu społecznego młodzieży wiejskiej. Absolwent szkoły oficerskiej otrzymywał w niej pewną ogłędę towarzyską, wiedzę o funkcjonowaniu państwa oraz podstawowe przeszkolenie taktyczne, oparte przede wszystkim na topografii i terenoznawstwie. Absolwenci uniwersytetów – bo absolwenci politechnik szli do broni technicznych – mieli wykształcenie ogólne dużo lepsze niż absolwenci szkoły oficerskiej, a przeszkolenie taktyczne uzyskiwali podczas kilkumiesięcznych kursów. Czasem ta specyficzna edukacja wojskowa – strzelecka czy topograficzna – szła dużo łatwiej „cywilom”, którzy w czasach studenckich brali udział w wyprawach turystycznych i polowaniach.

Różnica pomiędzy oficerami zawodowymi i oficerami rezerwy jednak istnieje, i jest ogromna, ale nie bierze się ona z wykształcenia, tylko z praktyki. Oficer rezerwy prowadzi życie cywila, a wojsko jest całym życiem oficera zawodowego, który utrzymuje i rozwija podstawowe zdolności uzyskane w szkole oficerskiej. I to stanowi różnicę, ale różnicę na poziomie dowódców plutonów czy dowódców kompanii. Generał Szylling zaczynał swoją karierę wojskową jako oficer rezerwy, gdy jednak został generałem, miał olbrzymią praktykę dowódczą. Marszałek Śmigły również zaczynał swoją karierę wojskową jako oficer rezerwy, ale dzięki kursom „Strzelca” miał wykształcenie wojskowe dużo lepsze od rówieśników będących oficerami zawodowymi. A później zdobył unikatowe

Czy generałowie rzeczywiście byli niewykształceni i nieskuteczni?

w skali europejskiej doświadczenie na każdym szczeblu dowodzenia.

W niektórych państwach szkoły oficerskie w ogóle nie funkcjonują albo mają znaczenie symboliczne. Oficerami zostają absolwenci uniwersytetów i politechnik cywilnych, którzy przeszli kilkumiesięczne przeszkolenie taktyczne. W ten sposób od wieków funkcjonuje armia brytyjska, w ten sposób od lat funkcjonuje US Army, ten sam model obecny jest w większości państw NATO, a w XXI wieku wprowadzany jest też w Polsce. Cóż – przez stulecia sprawdził się doskonale...

Czy wszyscy niemieccy dowódcy byli profesjonalistami?

Niemieccy generałowie w 1939 roku byli bezbłędnymi profesjonalistami o doskonałym wykształceniu. Nic dziwnego, skoro swoją karierę rozpoczynali w prawdziwych szkołach oficerskich, a następnie służyli w czasie I wojny światowej w doskonałej pruskiej armii. Swojej fachowości dowiedli później, w czasie następnego światowego konfliktu.

O ile błędy polskich generałów – często wyimaginowane, a zawsze przesadzone – znane są dość powszechnie, o tyle o generałach niemieckich nie wiemy zbyt dużo. Nie wiemy nawet, kto dowodził niemieckim atakiem na Polskę!

Organizacja niemieckiej struktury dowodzenia była fatalna już w czasie Wielkiej Wojny lat 1914–1918. W III Rzeszy okazało się, że można ją skomplikować jeszcze bardziej. Wynikało to może nie tyle z niemieckiego charakteru narodowego, ile z zasady wodzostwa, zwanej *Führerprinzip*, oraz totalitarnego charakteru państwa niemieckiego. W strukturach władzy panowała ścisła hierarchia, więc

podwładni musieli posłusznie wykonywać polecenia nieomylnych zwierzchników. Jednocześnie – jak w każdym niedemokratycznym państwie – nie było sprawnych mechanizmów weryfikowania przydatności kadr i awansowania. Nic nie zależało od wyborów, a jedynie od znajomości i układów. Toteż władza zwierzchnia – czy to kajzera, czy führera – starała się tak skomplikować strukturę państwa, aby zawsze pozostać ostatecznym arbitrem dla skłóconych ministrów i generałów.

Struktura dowodzenia wojsk niemieckich w Polsce była równie skomplikowana. Adolf Hitler oficjalnie nosił tytuł *Der Führer und Reichskanzler*. Jako „kanclerz Rzeszy” był szefem administracji cywilnej, natomiast jako „wódz” – zwierzchnikiem sił zbrojnych, czyli Wehrmachtu. Zwierzchnictwo nad wojskiem Hitler realizował w sposób bezpośredni, wydając dyrektywy swoim generałom. Ułatwił to sobie, rozwiązując w 1938 roku Ministerstwo Spraw Wojskowych (Reichswehrministerium) i powołując na jego miejsce Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych (Oberkommando der Wehrmacht). OKW zajmowało się zarówno sprawami kwatermistrzowskimi (niczym polskie Ministerstwo Spraw Wojskowych), planowaniem (niczym polski Sztab Główny) i koordynacją dowodzenia (niczym Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych). Szefem OKW był generał Wilhelm Keitel.

OKW zajmowało się planowaniem wojny przeciwko Polsce, ale nie jej prowadzeniem. To leżało w gestii dowódców poszczególnych rodzajów sił zbrojnych: wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki. Szczególnie ważne było Dowództwo Wojsk Lądowych (Oberkommando des Heeres – OKH), z generałem Waltherem von Brauchitschem jako dowódcą i bardzo ambitnym generałem Franzem Halderem na czele sztabu. OKH podlegały obie grupy wojsk walczących

w Polsce: Grupa Wojsk Południe (Heeresgruppe Süd) oraz Grupa Wojsk Północ (Heeresgruppe Nord). Im z kolei podporządkowane były armie i dwie floty powietrzne, z tym że... nie do końca. Te drugie podlegały bowiem Dowództwu Sił Powietrznych (Oberkommando der Luftwaffe – OKL), nominalnie równemu OKH. Szef OKL Hermann Göring był wówczas nie tylko jedynym w Wehrmachcie marszałkiem polnym, ale również drugą lub trzecią osobą w III Rzeszy. Pozycja OKL bywała więc wyższa niż OKW. Wisienką na torcie był admirał Conrad Albrecht, szef Marinegruppenkommando Ost, zawiadujący wojną morską na Bałtyku, a podlegający Naczelnemu Dowództwu Marynarki (Oberkommando der Marine – OKM). Oczywiście OKM było równe OKH i OKL.

Gdyby jeszcze dowodzenie działało sprawnie, można by tę strukturę nazwać łańcuchem dowodzenia, jednak określenie „płatania dowodzenia” wydaje się właściwsze. We wrześniu 1939 roku nikt nie panował nad dowódcami armii – ani Hitler, ani Keitel, ani Brauchitsch, ani obaj dowódcy grup wojsk. Fedor von Bock dowodził Grupą Wojsk Północ, a Gerd von Rundstedt – Grupą Wojsk Południe. Armie chodziły sobie po Polsce tak, jak uważali za stosowne ich dowódcy, z rzadka zwracane przez rozkazy wyższego szczebla – z reguły płynące z OKH.

Gdy Wojsko Polskie opuściło swoje stanowiska obronne i rozpoczęło odwrót, stało się wyjątkowo podatne na ciosy napastników. Ci jednak udowodnili, że w pełni zasługują na nazwę nadaną im przez Polaków już tysiąc lat wcześniej: Niemiec – od słowa „niemy”, czyli „niemota”. Zamiast zgodnie z dyrektywą Führera rozbić polskie armie, bezmyślnie wykonywali rozkazy, prac do przodu bez sensu i bez celu. Właściwie mieli cel, tyle że bezsensowny: wszyscy chcieli zdobyć stolicę Polski – Warszawę. Jedynie Wilhelm List, dowodzący

14. Armią, walczącą w Małopolsce, był zbyt daleko, żeby wziąć udział w tym wyścigu.

Walter von Reichenau, dowodzący 10. Armią, idącą ze Śląska, pierwszy uderzył na stolicę i odbił się od barykad Ochoty i Woli. Miał jednak to wojenne szczęście, że po drodze pokieroszował Armię „Łódź” i Armię „Prusy”. Johannes von Blaskowitz, dowodzący 8. Armią, idącą od Poznania, w takim pośpiechu parł na Warszawę, że został zaskoczony przez wojska generała Tadeusza Kutrzeby. Georg von Küchler, dowodzący 3. Armią, idącą z Prus Wschodnich, najpierw – zamiast uderzyć na niebronioną Warszawę – szukał szczęścia wojennego na Mazowszu, a później – gdy już to szczęście znalazł – uderzył na Warszawę i zatrzymał się na rogatkach Pragi. W ten sposób pozwolił najpierw ująć rozbitym dywizjom Armii „Modlin”, a następnie wymknąć się rozbitym dywizjom GO „Wyszków”. Günther von Kluge, dowodzący 4. Armią, idącą z Pomorza, również wziął udział w marszu na Warszawę.

Błędy popełniane przez niemieckich generałów wynikały z ich niewielkiego doświadczenia. Przeciętny niemiecki dowódca na szczeblu operacyjno-strategicznym miał 60 lat i był starszy od polskich dowódców armii o 5–10 lat, ale dysponował mniejszym doświadczeniem wojennym, z reguły ograniczającym się do lat 1914–1918, podczas gdy polscy generałowie walczyli w latach 1914–1920, a kilku z nich nawet w wojnie rosyjsko-japońskiej. Nie odbierając generałom niemieckim honoru ukończenia specjalistycznych szkół oficerskich, trzeba jednak zastanowić się, jak bardzo aktualne były w roku 1939 nauki przyjmowane kilkadziesiąt lat wcześniej.

Co więcej, niemieccy generałowie z 1939 roku w poprzedniej wojnie mieli niskie stopnie i pełnili służbę na niskich

stanowiskach. Przeciętny dowódca armii niemieckiej z kampanii polskiej był wtedy kapitanem, szefem oddziału operacyjnego dywizji piechoty. Tymczasem jego polski odpowiednik w 1920 roku był podpułkownikiem, szefem sztabu armii lub dowódcą związku taktycznego. Co więcej, polscy generałowie walczyli już w warunkach, jakie przyszło im spotkać w 1939 roku. Trudno porównywać wyszkolenie teoretyczne generałów obu armii: polskie szkolnictwo wojskowe miało z pewnością mniejsze tradycje niż niemieckie, ale z drugiej strony polscy generałowie mieli Wyższą Szkołę Wojenną w Warszawie oraz École supérieure de guerre w Paryżu, a generałowie niemieccy... jedynie półoficjalne kursy dywizyjne.

Pochodzenie polskich generałów jest skomplikowane, ale podobna jest geneza generałów Wehrmachtu. Pochodzili z pięciu różnych armii: do 1919 każda z czterech armii „niemieckich” (pruska, bawarska, saska i wirtemberska) miała odrębną strukturę, inne zwyczaje, szkolnictwo i – co najważniejsze – własną politykę personalną. Oczywiście to armia pruska nadawała ton (spośród 25 niemieckich korpusów armijnych 1914 roku 19 wywodziło się z Prus, trzy z Bawarii, dwa z Saksonii i jeden z Wirtembergii). W 1938 roku w skład Wehrmachtu włączono również armię austriacką (zwalniając jednocześnie ponad połowę jej generałów). O ile pochodzenie etniczne niemieckich generałów było jednolite, o tyle społeczne – dużo bardziej zróżnicowane niż w Polsce. W niemieckich siłach zbrojnych arystokratów było więcej niż w Wojsku Polskim. Armia niemiecka była również podzielona politycznie; może nie tyle na zwolenników i przeciwników narodowosocjalistycznego porządku, ile na takich, którzy szanowali nową władzę, i tych, którzy nią gardzili. Miało to szczególnie duże znaczenie w końcowych latach II wojny światowej.

Chociaż polscy dowódcy szczebla armijnego popełniali czasem błędy w dowodzeniu swoimi dywizjami i brygadami, to jednak większość ich decyzji operacyjnych była słuszna i mieściła się w strategicznych zamierzeniach wodza naczelnego. Zdanie powyższe dotyczy jedynie polskich generałów, ponieważ styl dowodzenia niemieckich dowódców armii był fatalny, a założenie strategiczne – prymitywne. Nie można inaczej określić czołowego uderzenia na nierozpoznane polskie pozycje obronne, w nadziei na rozbicie przeciwnika o nieznanej sile. Niemcy nie zrealizowali zresztą postawionych im celów wojennych: nie zniszczyli Wojska Polskiego na zachód od Wisły i nie zdołali powstrzymać Francji i Wielkiej Brytanii od wypowiedzenia im wojny.

Niemieccy generałowie popełniali również błędy taktyczne. Z różnych powodów błędy te są słabo pamiętane. Przede wszystkim chyba żaden z polskich historyków czy publicystów nie prześledził krytycznie niemieckiego dowodzenia w kampanii 1939 roku. Poza tym „posanacyjnym” władzom Polski – niezależnie od tego, czy na ich czele stał generał Sikorski czy Jaruzelski – nie zależało na tym, aby niemieckie błędy zauważać. Przecież nieudolni mieli być tylko polscy sanacyjni generałowie. I wreszcie – Wehrmacht miał w 1939 roku dużo większy margines błędu niż Wojsko Polskie.

Prześledźmy więc przebieg wydarzeń z punktu widzenia Niemców. 4. Dywizja Pancerna bezsensownie rzucona do czołowych szturmów na umocnione polskie pozycje utraciła setkę czołgów pod Mokrą – żaden problem: jak Polacy się wycofają, to większość unieszkodliwionych czołgów się wyremontuje. Czołgi rzucone do zajęcia Warszawy w stylu kadeta Bieglera z *Przygód dobrego wojaka Szwejka* („dziś albo wszyscy zginiemy, albo odznaczymy się”) nie zdołają zająć

polskiej stolicy – żaden problem: miasto podda się prędkiej czy później. 2. Dywizja Szybka przez dwa dni płacze się bezcelowo po Mazowszu – żaden problem: w pobliżu jest 3. Dywizja Szybka. 30. Dywizja Piechoty została rozbita przez generała Kutrzebę – żaden problem: odbuduje się ją zimą 1940 roku. Korpus Guderiana utknął pod Brześciem – żaden problem: paliwo dostarczą Rosjanie. 4. Dywizja Szybka ruszyła spod Tomaszowa Lubelskiego na Włodzimierz Wołyński, dając wolne przejście grupie armii generała Piskora – żaden problem: Włodzimierz Wołyński zajmie Armia Czerwona, a czołgi zdążą wrócić do Tomaszowa.

Błędy na szczeblu operacyjnym – czy strategicznym – dowództwo niemieckie popełniało do końca walk. Wiele z nich wynikało z fatalnie działającego wywiadu i rozpoznania. Część z tych błędów miała względnie niewielkie znaczenie – jak na przykład przekonanie, że na Półwyspie Helskim Polacy zainstalowali tuzin najcięższych dział. Inne miały znaczenie śmiertelnie poważne – i to dosłownie, gdyż 1 września Wehrmacht nie dysponował informacjami na temat pozycji Wojska Polskiego, co kosztowało życie i zdrowie kilka tysięcy niemieckich żołnierzy. Niemcy „nie zauważyli” również 100 tys. żołnierzy Armii „Poznań” idących nad Bzurę, ale – choć dość kuriozalny – nie był to największy błąd.

Ani rozpoznanie powietrzne Luftwaffe, ani nasłuch radiowy, ani sztaby armii, ani sztaby grup wojsk, ani OKH, ani OKW, ani analitycy Abwehry, ani agenci wywiadu cywilnego ulokowani u polskich sojuszników – nikt nie miał pojęcia o planie odwrotu Wojska Polskiego do południowo-wschodniej Polski. A skoro Niemcy o tym nie wiedzieli, to ani nie próbowali zająć Przedmościa Rumuńskiego, ani nie podejmowali prób zatrzymania odchodzących na wschód formacji Wojska Polskiego. W literaturze można co prawda znaleźć

informacje o „założeniu głębokich kleszczy” na Wojsko Polskie. Niemcy faktycznie dotarli do Brześcia nad Bugiem, jednak były to ciosy zadawane na oślep, ciosy niemające na celu zatrzymania polskiego odwrotu i ciosy niezbyt skuteczne. Front Północny generała Dęba-Biernackiego zdołał z łatwością pokonać tę rzekomą zaporę – i to dwa razy: najpierw idąc na wschód, a potem wracając na zachód.

Okolicznościami towarzyszącymi założeniu tych „głębokich kleszczy” zajmiemy się w jednym z kolejnych rozdziałów.

Czy Francuzi z premedytacją zdradzili Polaków?

Francja we wrześniu 1939 roku zdradziła Polskę. Zdrada ta miała wiele wymiarów – polityczny, ekonomiczny, militarny. Winę za to ponoszą Polacy, ponieważ sanacyjny reżim sam zerwał kontakty z Francją. Nic więc dziwnego, że przed wojną Francuzi nie chcieli udzielić Polsce pomocy finansowej, że skierowali niemiecką agresję przeciwko naszemu krajowi i że nie udzielili nam pomocy wojskowej.

Rzeczpospolita Polska stała się sojusznikiem Republiki Francuskiej w początkach 1921 roku. Tak naprawdę jednak związki sojusznicze zaczęły się o wiele wcześniej: latem 1917 roku zaczęto organizować Armię Polską we Francji, lepiej znaną jako „błękitna armia” czy „armia Hallera”. Pod koniec Wielkiej Wojny Polacy wyzwolali francuską ziemię i m.in. dzięki temu odrodzone państwo polskie zostało uznane za jedno z państw Ententy i brało udział w konferencji pokojowej w Wersalu jako zwycięzca. Francuzi odwdzięczyli się Polsce bardzo szybko. W początkach 1919 roku, gdy trwała wojna polsko-niemiecka o Wielkopolskę i Pomorze – znana jako powstanie wielkopolskie – niemieckiej ofensywy nie zatrzymało

bohaterstwo żołnierzy polskich, ale francuskie ultimatum przesłane do Berlina.

Gdy w 1921 roku podpisano oficjalny sojusz, Francja rozpoczęła zakrojony na szeroką skalę program pomocy ekonomicznej dla Polski. Dzięki francuskim kredytom udało się przede wszystkim zbudować infrastrukturę komunikacyjną, która uniezależniła Polskę od Niemiec. Olbrzymie pieniądze przeznaczono również na rozbudowę polskiej armii. Francuzi pomagali Polsce nie tylko w czasie wojny przeciwko bolszewickiej Rosji, ale również później. Pomoc ta miała charakter stały. Gdy w 1936 roku wyczerpywał się kredyt zaciągnięty jeszcze w latach 20., Paryż udzielił kolejnej pożyczki.

Stosunki wojskowe – żywe szczególnie w początkach istnienia II Rzeczypospolitej – osłabły w kolejnych latach. Był to jednak naturalny proces wynikający z uzyskiwania samodzielności przez Polskę i zmniejszania się zagrożenia wojennego w Europie. Podobne zachodziły pomiędzy Francją a jej innymi sojusznikami: Czechosłowacją, Rumunią czy Jugosławią. Oczywiście nieorientowane w sytuacji środowiska opozycyjne – zarówno we Francji, jak i w Polsce – wykorzystały ten proces do oskarżeń o „ochładzanie wzajemnych relacji” oraz „osłabianie potencjału obronnego”. Charakterystyczny jest fakt, że te same środowiska polityczne związane ze Związkiem Sowieckim, które w latach 30. namawiały do zerwania stosunków sojuszniczych – bo to ułatwiłoby Moskwie podbój Europy – po II wojnie światowej oskarżały Paryż i Warszawę o sabotowanie jednolitego frontu antyhitlerowskiego.

Faktem jest natomiast, że pomoc materiałowa dla Polski – obiecywana podczas rozmów w sprawie pożyczki w 1936 roku – miała niewielki wymiar. Po pierwsze, Francuzi sami potrzebowali uzbrojenia, bo przez kilkanaście lat po Wielkiej Wojnie nie przeznaczali na nią wielu środków. Po drugie,

zaoferowany Polsce „nowoczesny” sprzęt nie był lepszy – a czasem nawet gorszy – niż ten produkowany w Rzeczypospolitej. Po trzecie wreszcie, w połowie lat 30. gospodarka francuska przechodziła przez nieudane przekształcenia własnościowe. Front Ludowy, rządzący w tym czasie w Paryżu, uznał, że lekarstwem na wielki kryzys będzie nacjonalizacja firm prywatnych, połączenie ich w zrzeszenia przemysłowe i poddanie rygorom gospodarki planowej. Wszyscy ci, którzy pamiętają PRL, wiedzą, że nie mogło to przynieść dobrych rezultatów. Francuzi nie mieli jednak tej świadomości, więc w przededniu II wojny światowej większość programów zbrojeniowych miała kilkuletnie opóźnienie.

Szczególnie istotne były braki w lotnictwie. Jeszcze w 1938 roku myśliwce francuskie były tej samej klasy – lub gorszej – co myśliwce polskie. W 1939 roku pojawiło się trochę nowoczesnych maszyn, inne zakupiono – po bardzo zawyżonej cenie – w Stanach Zjednoczonych. Były one najlepszymi myśliwcami w powietrznej flocie Francji, ale i tak ustępowały niemieckim messerschmittom. Lotnictwo rozpoznawcze było tej samej jakości co polskie czy niemieckie, ale lotnictwa bombowego Francuzi nie mieli wcale. Ich bombowce pamiętały lata 20. i nadawały się wyłącznie do latania w nocy, gdy przeciwnik nie zagrażał w powietrzu.

Warto również pamiętać o różnicach mobilizacyjnych pomiędzy polską i francuską armią. Polacy musieli zmobilizować armię błyskawicznie, w czasie pokoju utrzymywali niemal taką samą liczbę dywizji co w czasie wojny. Francuzi cieszyli się przewagą dużego terytorium i imperium kolonialnym, więc nie musieli się spieszyć. Na terenie metropolii stacjonowało w czasie pokoju niespełna 30 dywizji – niemal tyle samo co w Polsce – jednak w razie mobilizacji każda z tych pokojowych dywizji stawała się bazą dla wystawienia trzech

dywizji wojennych. Ten system pozwalał na wystawienie silnej armii, był jednak dość powolny w rozruchu. Ponadto pokojowe dywizje Armii Francuskiej były co prawda lepiej od polskich nasyczone nowoczesnym sprzętem, ale potrojenie ich liczby sprawiało, że sprzęt ten rozpląwał się wśród mas piechoty i techniczna jakość wojsk francuskich nie była wyższa niż polskich.

19 maja 1939 roku sprecyzowano zapisy sojuszu polsko-francuskiego. Ustalono, że „w przypadku niemieckiej agresji przeciw Polsce albo w przypadku zagrożenia jej interesów żywotnych w Gdańsku, które wywołałoby akcję zbrojną ze strony Polski, armia francuska rozpocznie *a u t o m a t y c z n i e* [podkreślenie nasze: S.K. i T.P.] działanie swych różnych sił zbrojnych w sposób następujący:

- 1) Francja przystąpi natychmiast do działań lotniczych według planu ustalonego poprzednio.
- 2) Gdy tylko część sił francuskich będzie gotowa (około trzeciego dnia po mobilizacji), Francja rozwinie stopniowo dalsze działania zaczepne o celach ograniczonych.
- 3) Gdy tylko zaznaczy się główny wysiłek niemiecki przeciw Polsce, Francja rozwinie działanie ofensywne przeciwko Niemcom swymi głównymi siłami, poczynsz od 15 dnia”.

Francuzi wypowiedzieli wojnę III Rzeszy 3 września o 17.30. Była to tylko formalność: do wojny tej szykowali się równie długo jak Polacy. Tajną mobilizację rozpoczęto już w marcu 1939 roku, 24 lipca przyjęto dyrektywę wykonawczą o uderzeniu na Zagłębie Saary, a 23 sierpnia zmobilizowano w trybie alarmowym 360 tys. rezerwistów i skierowano okręty na stanowiska bojowe. Dlaczego Francuzi wypowiedzieli wojnę dopiero 3 września? Byli bowiem cywilizowanym

państwem demokratycznym: 1 września zwołali na następny dzień posiedzenie parlamentu – deputowanym z prowincji należało dać czas na przybycie do Paryża. 2 września parlament zdecydował o wystosowaniu ultimatum do Berlina i dopiero gdy jego czas upłynął – 3 września o godzinie 17.00 – Francja znalazła się w stanie wojny z Niemcami.

Przyjrzyjmy się, jak Francja realizowała swoje zobowiązania sojusznicze wobec Polski.

Pierwszy punkt został zrealizowany w bardzo nikłym stopniu. Wynikało to z kilku przyczyn. Przede wszystkim był to sam początek wojny, a świat oczekiwał, że będzie się ją prowadziło w sposób cywilizowany. Szczególnie Francuzi – chcący uchodzić za cywilizowanych – musieli unikać oskarżeń o atakowanie ludności cywilnej. Czas dywanowych nalotów na miasta jeszcze nie nadszedł. Prowadzili więc wyłącznie działania rozpoznawcze. Niemcy powstrzymywali się od zwalczania takich wypraw – Hitler miał nadzieję, że Paryż nie zaangażuje się czynnie po stronie Polski, i zażądał od sił zbrojnych nieprovokowania Francuzów. Samoloty rozpoznawcze latały więc nad przygranicznymi ziemiami III Rzeszy, a Niemcy unikali walk.

Drugi punkt umowy został zrealizowany natychmiast. Francuskie oddziały przekroczyły granicę z III Rzeszą o poranku 4 września – niespełna 12 godzin po wypowiedzeniu wojny. Działania prowadzono niewielkimi siłami i niemal od razu natknęto się na poważny problem. Stanowiły go niemieckie *Springminen* – niewielkie odłamkowe miny wyskakujące. Po naciśnięciu zapalnika sprężyna wyrzucała minę na wysokość pasa i tam dopiero następowała eksplozja. Mina była niewielka i nie zabijała, zadawała „jedynie” rany w okolicach krocza. Francuskie dowództwo mogło przeboleć kilkuset żołnierzy zabitych, ale nie wykastrowanych – byłby to

olbrzymi cios dla morale społeczeństwa i poważny problem dla rządu.

Realizacja trzeciego punktu umowy polsko-francuskiej była dużo poważniejszym przedsięwzięciem. Francuzi opracowali bardzo szczegółowy plan przełamania niemieckich fortyfikacji zwanych Linią Zygfryda. W pierwszym etapie zamierzano zdobyć teren przygraniczny i obsadzić linię, która zapewniałaby bezpieczeństwo na skrzydłach i pozwalała atakować w centrum. W drugiej fazie zamierzano użyć ciężkiej artylerii i czołgów. Oficjalnie miał to być atak pozorowany, ale faktycznie była to próba sprawdzenia, czy nie da się przełamać Linii Zygfryda z marszu. Trzecią fazą było potężne uderzenie przełamujące. Warto podać też terminy, w których planowano rozpoczęcie poszczególnych etapów: odpowiednio 12, 17 oraz 30 dzień po zainicjowaniu mobilizacji powszechnej.

Tymczasem wojna na wschodzie przybrała zaskakująco zły obrót. Wbrew obietnicom składanym Francuzom Wojsko Polskie nie utrzymało pozycji nadgranicznych i rozpoczęło odwrót. Polscy dyplomaci zaczęli alarmować władze w Paryżu i prosić o jak najszybszą interwencję. Francuscy generałowie byli temu przeciwni i otwarcie protestowali, musieli jednak wykonywać polecenia władzy cywilnej. A rząd uznał, że z przyczyn politycznych należy rozpocząć uderzenie na Niemcy jak najszybciej, nawet jeśli armia nie jest do tego gotowa. Operacja ruszyła 7 września.

Działania ofensywne prowadziła 2. Grupa Armii, dowodzona przez generała André-Gastona Prêteleta. (1. GA osłaniała granicę z Belgią, a 3. GA – południową część granicy). Generał Prêtelet dysponował połową francuskiej armii polowej: 40 dywizjami – w tym czterema szybkimi – wspartymi 40 batalionami czołgów oraz 80 dywizjonami artylerii ciężkiej

i najcięższej. Z kolei Niemcy mieli na zachodzie swego państwa Grupę Wojsk C, dowodzoną przez bawarskiego generała Ericha von Leeba. Dysponował on czterema armiami – 5. i 7. na południu, Armią „A” na północy, a główne uderzenie miała odpierać 1. Armia generała Ericha von Witzlebena. Dysponował on, podobnie jak generał Prêtelet, połową dywizji swego państwa skierowanych na front zachodni. Był to jednak raptem tuzin związków taktycznych.

O ile liczba i jakość dywizji francuskich jest znana dość dobrze, o tyle wśród historyków wciąż trwa dyskusja o jakości niemieckiej Grupy Wojsk C. Formalnie na zachodzie III Rzeszy były obecne aż 44 dywizje. Faktycznie natomiast tylko 11 spośród nich było dywizjami czynnymi, drugie tyle – dywizjami rezerwowymi drugiej fali, a reszta – dywizjami trzeciej i czwartej fali. Działania wojenne w Polsce prowadziły niemal wyłącznie niemieckie dywizje czynne, a dywizje mobilizowane w drugiej fali pełniły przede wszystkim działania okupacyjne. Skoro dywizje drugiej fali nie nadawały się nawet do walki z Wojskiem Polskim w warunkach niemieckiej przewagi, to jak spisałyby się niemieckie dywizje trzeciej i czwartej fali wystawione na uderzenia francuskich czołgów?

Pierwszy etap francuskiej ofensywy zakończył się 14 września. Brały w niej udział pojedyncze dywizje trzech armii: 3. na lewym skrzydle, 4. w centrum oraz 5. na prawej flance. Odniosły sukces: podeszły pod linie niemieckich umocnień, oskrzydłając Saarbrücken – najważniejsze miasto Zagłębia Saary – od zachodu i południa. Wbrew niemieckim przekazom propagandowym – daje się im wiarę jeszcze dziś – Wehrmacht nie wycofał się bez walki, tylko został zmuszony do odwrotu. Walki były dość ciężkie: Francuzi stracili 27 samolotów, miejscowość Apach parokrotnie przechodziła z rąk do rąk, kilka niemieckich wiosek zostało

zrównanych z ziemią, a od ognia artyleryjskiego ucierpiałły także wsie francuskie. Straty obu stron – dokładne liczby różnią się w zależności od źródeł – wynosiły po kilkuset żołnierzy zabitych i kilka tysięcy rannych. Niedużo? Podobne były polskie straty w bitwie o Monte Cassino.

14 września francuska 2. GA przeszła do obrony. Daje to asumpt do podejrzeń, że podjęto jakieś decyzje o zaprzestaniu ofensywy na Niemcy, ale o tym – o konferencji w Abbeville – napiszemy w kolejnym rozdziale. Przerwanie ofensywy było jednak planowe i wynikało ze zrealizowania pierwszego z zakładanych celów. Należało teraz podciągnąć ciężki sprzęt i jeszcze cięższe zaopatrzenie w pobliże frontu, a także wyjaśnić, jak niemieckie dowództwo zamierza wykorzystać gorączkowo ściągane w kierunku frontu dywizje – dywizje nad Ren przybywały nie tylko z głębi Rzeszy, ale również z Polski. Największe znaczenie miało wycofanie elitarniej 3. Dywizji Górskiej, szykowanej do ataku na Lwów i Przedmoście Rumuńskie.

Kolejna faza francuskiej ofensywy miała się rozpocząć w kolejnych dniach – 17 września. Niestety, 14 września na granicę francusko-niemiecką przyszedł burzowy front atmosferyczny – za kilka dni napłynął także nad Polskę – a wraz z nim olbrzymie opady deszczu. Ustały dopiero 19 września. Warunki atmosferyczne uniemożliwiły działanie lotnictwa – w tym najistotniejsze loty rozpoznawcze – oraz znacznie utrudniły wszelkie przewozy: ówczesne drogi były przede wszystkim gruntowe. W dodatku wieści od francuskiej misji wojskowej w Polsce były coraz bardziej optymistyczne: według szefa misji generała Louisa Faury'ego kryzys został przezwyciężony. Z tych powodów przełożono II etap ofensywy z 17 września na 19, a następnie na 21. Czekano, aż wyklaruje się pogoda.

17 września nastąpiła jednak zmiana: Armia Czerwona zaatakowała Polskę. W Paryżu nie wiadano, jaka jest polityczna waga tych wydarzeń. Gdy politycy radzili, wojskowi szykowali się do uderzenia. Rozkaz odwołujący akcję ofensywną podjęto dopiero 20 września, a następnego dnia premier Daladier wyjaśnił w orędziu swojemu narodowi, czemu tak się stało. Mówił, że Polacy byli nieprzygotowani; że Niemcy skuteczni; że Rosjanie zdradzieccy. I obiecywał zwycięstwo w wojnie. To, że w tych nowych warunkach politycznych ofensywa na Linie Zygfryda została odwołana, nie powinno nikogo dziwić: w skrajnym przypadku francuskie Zgromadzenie Narodowe musiałoby podjąć decyzję o wojnie ze Związkiem Sowieckim.

Zmiana sytuacji politycznej wpłynęła również na sytuację militarną. We Francji pamiętano, że w roku 1914 tylko krwawe poświęcenie żołnierzy ocaliło państwo od upadku. Po 1914 roku istniał front wschodni, który nie tylko angażował Niemców, ale mógł odciążyć armię francuską w chwili niebezpieczeństwa. Po 17 września 1939 roku Francja nie miała potencjału ludnościowego ani przemysłowego umożliwiającego samodzielne pokonanie Niemiec wspieranych przez Rosję. Akces Związku Sowieckiego do paktu antykominternowskiego i udział Armii Czerwonej w ofensywie na Francję również nie były wykluczone.

Dyskusja o zachowaniu się Francji we wrześniu 1939 roku ma przede wszystkim charakter emocjonalny. Do dziś te uprzedzenia wobec Francuzów są żywe: wystarczy przypomnieć dowcip o liczbie biegów we francuskim czołgu: ma on ich sześć – jeden do przodu i pięć wstecz. Propaganda Stalina i Hitlera umiejętnie podsyciła te uczucia, rzekomą „zdradą” uzasadniając nowe porządki narzucone Europie. Czy należy wierzyć Goebbelsowi i Kalininowi, czy raczej faktom i dokumentom?

Ofensywa francuska ruszyłaby 21 września. Stosunek sił – samej amunicji artyleryjskiej zamierzano użyć 70 tys. ton, czyli tyle, ile zużył Wehrmacht w Polsce – wskazuje na to, że Niemcy ponieśliby porażkę – tak jak ponieśli ją we wcześniejszych walkach. Wymiar niemieckiej porażki jest oczywiście nieznany. Być może już uderzenie z 21 września wystarczyłoby do przełamania Linii Zygfryda. Być może uległaby ona dopiero po uruchomieniu sił i środków przeznaczonych do III etapu.

W gruncie rzeczy jednak francuska ofensywa nie była potrzebna. W Berlinie zdawano sobie sprawę, że Francuzi muszą uderzyć. Pozostawienie osamotnionej Polski byłoby nie tylko zadziwiającym precedensem – nikt nie pozostawiał swojego sojusznika bez wsparcia; nie tylko karygodną głupotą – lepiej uderzać na wroga zajętego na innym froncie; ale byłoby także całkowicie nielogiczne. Francuzi zdecydowali się na konfrontację z III Rzeszą po to, żeby uratować swoje wpływy w Europie Środkowo-Wschodniej. Pozostawienie Polski na łup Niemcom dawałoby wyraźny sygnał innym sojusznikom Francji: sojusz z Paryżem to wyrok śmierci, popierajcie Hitlera. Co więcej, Francuzi zdecydowali się na wydanie wojny III Rzeszy po to, żeby powstrzymać Polskę przed dostaniem się pod wpływ Berlina. Nieudzielenie pomocy Polsce dawałoby naczelnym władzom Rzeczypospolitej usprawiedliwienie dla rozpoczęcia rozmów pokojowych z III Rzeszą. Jedynym usprawiedliwieniem Armii Francuskiej byłaby krwawa porażka podczas próby przełamania Linii Zygfryda. Dopiero 100 tys. Francuzów poległych podczas próby udzielenia pomocy Polsce usprawiedliwiłoby przed Bukaresztem, Belgradem, Ankarą i Atenami brak sukcesów i nakładałoby na Warszawę dług. Dług, który można byłoby spłacić tylko walką do ostatecznego zwycięstwa.

Tak więc w Berlinie zdawano sobie sprawę, że Francuzi muszą uderzyć. Niemieckie dowództwo zaczęło przenosić na zachód swoje jednostki – część formacji lotniczych, odwody naczelnego dowództwa i całe dywizje z frontu polskiego – zanim jeszcze uderzyli Francuzi. Dla Niemców francuskie uderzenie było pewnikiem – tak samo jak dla Polaków, Francuzów, Brytyjczyków. Ewentualne opóźnienie francuskiej akcji ofensywnej nie mogło Niemców uspokoić, a wprost przeciwnie: oznaczało bowiem, że długo przygotowywane uderzenie będzie nokautujące i dywizje walczące przeciw Polakom trzeba szykować, aby objęły *Wacht am Rhein* – straż nad Renem.

Czy Brytyjczycy faktycznie bombardowali III Rzeszę wyłącznie ulotkami?

We wrześniu 1939 roku Wielka Brytania zdradziła Polskę. Brytyjskie samoloty bombardowały Niemcy, lecz jedynie... ulotkami. Ostatecznej zdrady dokonano podczas konferencji w Abbeville, gdzie Brytyjczycy i Francuzi postanowili pozwolić Polsce samotnie zginąć. Wspólna ofensywa miała ruszyć dopiero wiosną 1940 roku. Gdy tajni agenci donieśli o tym Stalinowi, ten zdecydował o wejściu Armii Czerwonej do Polski.

O ile stosunki polsko-francuskie miały długą tradycję, sięgającą jeszcze XVIII wieku, o tyle kontakty pomiędzy Londynem i Warszawą były bardzo ograniczone, chłodne, a nawet wrogie. Zmiana nastąpiła dopiero wiosną 1939 roku, wraz z udzieleniem przez Wielką Brytanię gwarancji Rzeczypospolitej.

W czerwcu do Warszawy przybył generał Edmund Ironside, przewidywany na naczelnego wodza Armii Brytyjskiej. Przyjechał w gruncie rzeczy z pustymi rękami, nie miał bowiem Polsce niczego do zaoferowania. Flota Królewska

nie miała większego wpływu na wynik kampanii toczonej w Polsce, Królewskie Siły Powietrzne miały wpływ niewielki, a Armia Brytyjska praktycznie nie istniała – stanowiło ją pół tuzina dywizji przewidzianych do natychmiastowego przetrzucenia do Francji. Na tle ponad setki dywizji francuskich był to nad wyraz skromny udział.

Generał Ironside przekazał zatem Polakom wiadomość, że Armia Brytyjska będzie mogła rozpocząć ofensywę przeciwko Niemcom dokładnie w dziewiątym miesiącu po rozpoczęciu wojny. Nikogo to w Warszawie nie zdziwiło. Takie były ówczesne realia: Wielka Brytania czuła się bezpiecznie na swojej wyspie, była praktycznie bezbronna, więc armię musiała dopiero zorganizować. Dokładnie tak samo jak podczas poprzedniej wojny. Lojalnie poinformowano o tym władze Rzeczypospolitej, ale była to tylko formalność: wiedzieli o tym wszyscy w Europie. Słowo „wszyscy” nie odnosi się tylko do tych, którzy czytali brytyjską prasę, ale do tych, którzy pamiętali przebieg I wojny światowej.

Niejako w ramach przeprosin Londyn obiecał rozpoczęcie – już od pierwszego dnia wojny – zmasowanej ofensywy lotniczej na III Rzeszę.

RAF rozpoczął mobilizację rezerw już 24 sierpnia. Wielka Brytania ogłosiła stan wojny z Niemcami 3 września o godzinie 11.00, a brytyjskiemu lotnictwu natychmiast wydano rozkaz rozpoznania okolic portu Wilhelmshaven. Lot rozpoczął się minutę przed południem. Samolot wrócił do bazy o 16.50, przywożąc 75 fotografii. Niestety, w związku z awarią radia spowodowaną lotem na dużej wysokości pierwszy lot bombowy mógł wyruszyć dopiero przed zmrokiem. 24 bombowce musiały jednak zawrócić z drogi, wyrzucając bomby do morza: szanse na spotkanie zauważonych przez rozpoznanie okrętów były zbyt małe, a pogoda stawała się fatalna.

Atak przeprowadzono następnego dnia. W okolicie Wilhelmshaven wysłano 41 samolotów. Ponad połowa zawróciła – piloci po raz pierwszy startowali z pełnym obciążeniem i mieli problemy z wytrzymowaniem samolotów. Reszta zaatakowała niemiecką flotę, trafiła krążownik Admiral Scheer bombą (która nie wybuchła) i straciła siedem samolotów. Ironią losu jest to, że pomimo wyraźnych rozkazów brytyjskich przełożonych cywile jednak zginęli, a byli to cywile... duńscy. Jeden z bombowców – do dziś niezidentyfikowany – zrzucił bomby na Esbjerg, czyli piąte co do wielkości miasto Danii, położone ponad 150 km od granicy z Niemcami. Zginęły dwie osoby.

Do pierwszego nalotu Bomber Command skierowało siedem dywizjonów. W Anglii dysponowano wówczas 24 dyonami operacyjnymi, zaangażowano zatem blisko 30% jednostek. Porównując działania bombowców brytyjskich do wydarzeń w Polsce, należy zauważyć podobną strukturę: spośród blisko 100 wyprodukowanych bombowych łosi, wojsko przejęło około 70, a w dywizjonach bojowych było 36 sztuk. Lepiej sytuacja wyglądała z karasiami – w sumie w Brygadzie Bombowej było 86 maszyn w czterech dyonach i samodzielnej eskadrze. Pierwsze bombardowania Brytyjczycy i Polacy wykonali drugiego dnia wojny (odpowiednio 4 i 2 września). Polacy użyli 18 karasi spośród 86 samolotów, a więc niespełna 20% – podobnie jak Brytyjczycy. Polskie straty wyniosły siedem z 18 samolotów, brytyjskie – siedem z 41 (ale tylko 18 samolotów Bomber Command pojawiło się nad celem).

Podobne działania – z podobnymi rezultatami – kontynuowano w kolejnych tygodniach. Oczywiście wówczas, gdy pozwalała na to pogoda.

Także załogi nocnych bombowców brytyjskich nie pozostawały bezczynne. Do akcji ruszyły już pierwszej nocy.

W akcji wzięło udział 10 samolotów, które przenosiły po 500 tys. ulotek przeznaczonych do rozrzucenia nad Hamburgiem, Bremą i Zagłębiem Ruhry. Trzy spośród nich nie wróciły do swoich baz. Loty z ulotkami określano kryptonimem „Nickel” i prowadzono przez całą wojnę. Już po pierwszej operacji okazało się, że loty bojowe przynoszą zupełnie inne doświadczenia niż pokojowy trening. Swoją drogą, każdy dowódca, który w czasie pokoju przeprowadziłby nocne grupowe loty trwające kilkanaście godzin na wysokościach, gdzie temperatura spada kilkadziesiąt stopni poniżej zera, zostałby natychmiast wyrzucony z sił zbrojnych za niepotrzebne ryzykowanie życiem swoich podwładnych.

Skutki zrzucaania ulotek są trudne do oceny. Ośmieszane już w czasie wojny jako przykład brytyjskiej głupoty i wyrachowanej zdrady, miały jednak wiele sensu. Działania propagandowe prowadzone są do dzisiaj i nawet w XXI wieku nie zrezygnowano ze zrzucaania ulotek z samolotów. Oczywiście trudno dokładnie policzyć, na ile działania „Nickel” zmniejszyły poparcie dla polityki Hitlera wśród ludności niemieckiej. Jednak działania te bardzo tanim kosztem absorbowały uwagę niemieckiego lotnictwa, alarmami przeciwlotniczymi przerywały sen mieszkańcom III Rzeszy, przynosiły też wiele doświadczeń załogom i dowództwu Bomber Command. Często zapomina się, że nawet w XXI wieku odrzutowe bombowce NATO działające nad Bliskim Wschodem wraz z bombami i raketami zrzucają miliony ulotek.

Dlaczego Brytyjczycy nie zaatakowali niemieckich miast? Przede wszystkim z powodów politycznych. Już pierwszego dnia wojny prezydent USA Franklin Delano Roosevelt zaapelował do walczących państw, aby nie rozpoczynały nieograniczonej wojny powietrznej, a ataki lotnicze skierowane były jedynie na cele o charakterze wojskowym. Błyskawicznie

zareagował na ten apel Berlin, który publicznie wyrzekł się atakowania bezbronných cywilów. Hitler osiągnął w ten sposób sukces propagandowy, stawiając się w jednym szeregu z Rooseveltem, jako obrońca cywilizacji i praw. W tej sytuacji alianci musieli dołożyć wszelkich starań, żeby nie zostać przedstawieni jako barbarzyńcy mordujący niemiecką ludność cywilną. Nie chodziło bynajmniej o abstrakcyjną wyższość moralną, ale o całkiem wymierne interesy prowadzone przez Atlantyk. Jeszcze bardziej musiała uważać Francja, która opierała rozbudowę Armée de l'Air na dostawach samolotów ze Stanów Zjednoczonych.

Prawdziwa wojna powietrzna okazała się zupełnie inna, niż ją sobie wyobrażano. Była nie tylko wielkim rozczarowaniem, ale wprost fiaskiem brytyjskiego wysiłku wojennego. Najprawdopodobniej właśnie dlatego brytyjski premier Neville Chamberlain zaproponował spotkanie francuskiemu premierowi Édouardowi Deladierowi.

12 września 1939 roku w miasteczku Abbeville nieopodal kanału La Manche spotkali się dwaj premierzy oraz przedstawiciele trzech rodzajów sił zbrojnych z obu państw – w tym generał Maurice Gamelin, naczelny dowódca Armii Francuskiej i zwierzchnik przebywających na jej ziemiach dywizji brytyjskich – oraz dwaj protokolanci. Protokoły spisywano w dwóch językach, a wszystkie wersje – trzecią była oficjalna francuska – różnią się nieco między sobą. Francuska wersja przedstawia Brytyjczyków jako wahających się i niezorientowanych, a brytyjska nadaje taki ton wypowiedziom Francuzów. Rezultaty tego spotkania skrywa mgła tajemnicy. Przy najmniej w Polsce.

Jest to co najmniej dziwne. Protokoły już dawno temu opublikowano zarówno we Francji, jak i Wielkiej Brytanii. Polacy jednak uparli się, żeby ich nie znać. Czy to w publicystyce,

czy to w hasłach encyklopedycznych, czy nawet w artykułach naukowych nie odwoływano się do faktycznego przebiegu rozmów, ale do plotek na ich temat. Dopiero w 2016 roku w czasopiśmie „Wojsko i Technika – Historia” Maciej Szopa opublikował tłumaczenie angielskiej relacji z przebiegu rozmów.

Krótkie, trzygodzinne spotkanie poświęcono tematowi wspólnym dla obu państw, przede wszystkim prowadzeniu wojny morskiej (bo tylko tu mogli zabłysnąć Brytyjczycy). Sprawa Polski pojawiła się na krótką chwilę, na początku spotkania, gdy referowano dotychczasowy przebieg wojny. Z oczywistych powodów obraz sytuacji nie napawał optymizmem. Konferencja odbyła się jeszcze przed 16 września, a dopiero wówczas sojusznicze misje wojskowe w Rzeczypospolitej zameldowały Paryżowi i Londynowi o przetrwaniu kryzysu przez Wojsko Polskie.

Fragment poświęcony Polsce zakończył się konkluzją, że wspólne francusko-brytyjskie uderzenie zostanie przeprowadzone za dziewięć miesięcy – wiosną 1940 roku. Powszechnie uważa się to za zdradę Polski przez jej zachodnich aliantów, nie zwracając uwagi na fakt, że Polacy wiedzieli już o tym od dawna, a domyślał się tego cały świat.

Ustalenia poczynione w Abbeville nie miały zresztą większego znaczenia. Gdy premier Chamberlain powrócił do Londynu, stał się celem ataków opozycji, która zarzuciła mu, że brak Polaków na spotkaniu jest niemal zdradą, szczególnie że Wielka Brytania nie czyni wystarczających kroków, aby pomóc sojusznikowi. Archibald Sinclair, który wysunął te oskarżenia, został po obaleniu Chamberlaina ministrem lotnictwa w rządzie Winstona Churchilla. Podobne opinie pannaowały wśród wojskowych – generał Ironside wprost stwierdził, że zaangażowanie Wehrmachtu i Luftwaffe w Polsce daje

niesamowitą przewagą alianckim siłom zbrojnym, szczególnie zaś lotnictwu brytyjskiemu. 15 września w Londynie zaczęto przygotowywać się do nieograniczonej wojny powietrznej, czyli do bombardowania niemieckich miast.

Francuzi niemal w ogóle nie zwrócili uwagi na konferencję, uznając ją za pusty gest, a morale Chamberlaina – za niskie. Siedemdziesięcioletni brytyjski premier był o 15 lat starszy od Deladiera i innych uczestników spotkania, zmęczony i toczony – choć sam tego jeszcze nie wiedział – śmiertelną chorobą (zostało mu niewiele ponad rok życia). Niemal natychmiast po powrocie do Paryża generał Gamelin wydał rozkaz o kontynuowaniu operacji zaczepnej w Zagłębiu Saary.

Jak widać, prawdziwe skutki konferencji w Abbeville polegały na eskalacji konfliktu – kontynuowaniu ofensywy w Zagłębiu Saary, rozpoczęciu nieograniczonej wojny powietrznej z Niemcami i udzieleniu pomocy materiałowej dla Polski. Co interesujące, liczono również na pewną pomoc Związku Sowieckiego – najwidoczniej i w Paryżu, i w Londynie wiadomości o tajnym protokole do paktu Hitler–Stalin nie uznawano za wiarygodne.

Niestety, alianckich planów pomocy dla Rzeczypospolitej nie zrealizowano – 17 września Polska została bowiem zaatakowana przez Związek Sowiecki. Decyzję o dacie ataku podjęto w Moskwie najprawdopodobniej 9 września. Sowiecka agresja wymusiła całkowitą zmianę polityki francuskiej i brytyjskiej, w tym także polityki informacyjnej. Premierzy obu państw zadeklarowali publicznie, że klęska Polski nie ma większego znaczenia dla dalszych losów wojny. Było to posunięcie oczywiste, ale doskonale mieściło się w narracji snutej przez nazistowską i sowiecką propagandę – narracji o zdradzie Francji i Wielkiej Brytanii.

Czy w połowie września losy kampanii były już rozstrzygnięte?

W połowie września 1939 roku prawie cała Polska była w niemieckich rękach. Niemcy zajęli przecież Kraków, Poznań, oblegali Warszawę, a nawet Lwów. Opór tlił się jedynie na wschodnich skrawkach państwa. Niemieckie wojska zdołały nawet wtargnąć na Przedmoście Rumuńskie, rujnując polskie plany obronne. Wystarczy spojrzeć na dowolną mapę, żeby się o tym przekonać.

Spójrzmy zatem na mapę. Na taką, którą najczęściej zamieszcza się w książkach, artykułach, stronach internetowych. Przedstawiają one cały kraj – od Odry na zachodzie po Bug na wschodzie. Ale czy na pewno jest to cały kraj? Czy te mapy przedstawiają Polskę w jej granicach z 1939 roku?

Przez lata istnienia Polski Ludowej – od roku 1944 do 1990 – komunistyczna cenzura starannie pilnowała, aby terytorium Polski ograniczać wyłącznie do jej piastowskiego dziedzictwa. Dodajmy – do specyficznego rozumianego piastowskiego dziedzictwa, tożsamego z granicami PRL, a więc

również z Pomorzem Szczecińskim i Mazurami. Pozwalało to z jednej strony utrzymywać mit o „ziemiach odzyskanych”, a z drugiej – unikać pytań o losy polskich ziem na wschodzie. Pozwalało to również na manipulacje wokół kampanii polskiej 1939 roku.

Działania wojenne 1939 roku pokazywano wyłącznie na mapach, których wschodnią krawędź stanowiła rzeka Bug. Co gorsza, nakaz cenzury stał się przyzwyczajeniem nawet po jej likwidacji w 1990 roku. W książkach, podręcznikach szkolnych, atlasach, ilustracjach prasowych nadal ilustruje się przebieg działań wojennych w 1939 roku mapami połowy Polski. Dopiero w drugim dziesięcioleciu XXI wieku w szkolnych atlasach historycznych pojawiły się mapy pokazujące przebieg działań wojennych w całej II Rzeczypospolitej.

Można powiedzieć, że nie czyni to wielkiej różnicy – przecież działania wojenne faktycznie toczyły się na tym terenie. Ale nie jest to prawda – tutaj toczyły się działania wojenne przeciwko Niemcom. Bo przecież przeciwko Sowietom Polacy walczyli na tej drugiej, wschodniej części mapy, rzadko pokazywanej publicznie. I o to m.in. chodziło – o wykazanie, że cała Polska została zajęta przez Niemców, a także o ukrycie prawdy, jak wielka część II Rzeczypospolitej została zajęta przez Rosjan. Pozwalało również uniknąć pytania, dlaczego Polska – ofiara niemieckiej agresji, która wygrała wojnę dzięki pomocy Związku Sowieckiego – utraciła 20% swojego terytorium?

Geografia II RP – zupełnie inna niż III RP czy PRL – miała istotne znaczenie strategiczne. Dzisiaj Warszawa leży raptem 150 km od wschodniej granicy. Natomiast w 1939 roku 150 km dzieliło Warszawę od granicy... z Niemcami, a do tej ze Związkiem Sowieckim było co najmniej 450 km! Co więcej, II Rzeczpospolita nie miała kształtu kwadratu,

Czy w połowie września losy kampanii były już rozstrzygnięte?

a raczej trójkąta, którego podstawę stanowiła długa granica wschodnia, a wierzchołek skierowany był na zachód. Dlatego też „ucinięcie” II RP na Bugu ogranicza Polskę do mniejszej części terytorium.

Ograniczenie II RP do jej zachodnich ziem sprawia, że nie widzimy, jak duża była głębia operacyjna. Wojsko Polskie cofało się za Bug, przeszło w odwrocie 300 km, ale miało przed sobą jeszcze 300. To raczej Wehrmacht, patrząc z perspektywy Niemców, prowadził 300-kilometrowy pościg, a miał przed sobą kolejne 300 km do pokonania. A nawet więcej, biorąc pod uwagę to, że gros sił niemieckich znajdowało się na zachód od Warszawy, a polskie armie koncentrowały się na wschód od Lwowa.

Walki w pierwszej połowie września toczyły się na Pomorzu, Śląsku, Mazowszu, w Wielkopolsce, Małopolsce Zachodniej i części Lubelszczyzny. 17 września ziemie te w mniejszym lub większym stopniu były kontrolowane przez Niemców. Musieli jeszcze zająć – bagatela – niemal całą Lubelszczyznę i Podlasie, Wileńszczyznę, Nowogródczyznę, Polesie, Wołyń, Podole i Małopolskę Wschodnią, a także Gdynię i Hel, Mazowsze pomiędzy Warszawą i rzeką Bzura. Ponadto oczyścić Góry Świętokrzyskie z wciąż walczących tam polskich rozbitków.

Mapy przedstawiające zasięg wojsk niemieckich mają jeszcze kilka charakterystycznych cech. Otóż pokazują one, dokąd doszły najdalej wysunięte patrole rozpoznawcze, czyli kilkunastu lub kilkudziesięciu żołnierzy na koniach lub motocyklach. To, że siły główne dywizji znajdowały się kilkadziesiąt kilometrów bliżej, wydaje się nie mieć żadnego znaczenia – pierwszy niemiecki żołnierz w polskim miasteczku wystarczy, by było ono traktowane jako zajęte przez Wehrmacht. Takie podejście musi się bardzo podobać niemieckim

neonazistom. Nie zwraca się uwagi na to, że patrole bardzo często cofały się do swoich sił głównych, a i siły główne często opuszczały zajęte już tereny. Najbardziej chyba znane przykłady można znaleźć na zachodnich przedpolach Warszawy: przeszły tamtędy niemieckie siły pancerne idące na stolicę, potem polskie oddziały Armii „Łódź” i „Prusy”, następnie ścigające je formacje niemieckiej piechoty, a później znów polskie oddziały Armii „Poznań” i „Pomorze”.

Warszawa jest znanym i interesującym przykładem również z nieco innego powodu. Zastanówmy się nad tym, kiedy została oblężona przez Niemców? 8 września, gdy dotarli do niej niemieckie czołgi? A może 13–15 września? (Tak „dokładna” data jest najczęściej podawana w artykułach i książkach, najprawdopodobniej dotyczy ona – odpowiednio – przybycia niemieckiej piechoty od zachodu oraz niemieckich patroli rozpoznawczych od wschodu). A może 17 września, kiedy rozpoczął się niemiecki szturm od strony wschodniej? A może dopiero po 22 września, gdy do Warszawy dotarły formacje Armii „Poznań”?

Równie interesujące jest pytanie, kiedy Niemcy sforsowali środkową Wisłę. Może już 9 września, gdy pod Górą Kalwarią na wschodni brzeg rzeki przeszło rozpoznanie niemieckiej 1. Dywizji Pancernej? A może dopiero tydzień później, gdy na wschód odeszły broniące przepraw polskie wojska? A może Niemcy w ogóle nie zdołali tego uczynić? W wymiarze strategicznym to ostatnie przypuszczenie ma całkiem dużo sensu, bo niemieckie siły walczące w centralnej Polsce – pod Warszawą i nad Bzurą – nie zdołały ani wywalczyć swobody, ani zadbać o materiałowe przygotowanie takiego manewru. Wojska niemieckie, które walczyły na wschód od Wisły, pochodziły ze skrzydłowych armii i dotarły tam od południa i od północy.

Dokąd więc w połowie września 1939 roku dotarły niemieckie armie? Jeśli spojrzymy na to z perspektywy sztabu naczelnego wodza Wojska Polskiego, łatwo będzie zrozumieć, dlaczego wieczorem 16 września zapanowała w nim optymistyczna atmosfera.

Otóż większość sił niemieckich znajdowała się... pod Warszawą. Tam stały główne siły trzech spośród pięciu armii – 8. oraz 10. walczyły nad Bzurą, a 3. blokowała Warszawę od wschodu i południa. Dopóki trwał polski opór w Warszawie, te trzy armie miały mocno ograniczoną zdolność manewru.

Kolejna, 4. Armia, była rozrzucona szeroko na północy – jej dywizje walczyły pod Gdynią, strzegły wschodnich rubieży Prus Wschodnich, a korpus pancerny Guderiana walczył o Brześć nad Bugiem. Na pierwszy rzut oka ten ostatni manewr był bardzo niebezpieczny, jeśli jednak przyjrzymy mu się dokładniej, to stwierdzimy, że Guderian utknął w Brześciu nie tylko bez paliwa, ale również bez szans na jego otrzymanie (lotnictwo transportowe zajęte było do końca września ewakuacją rannych). Warto też dodać, że utknął tam całkowicie bez sensu – za daleko od polskich wojsk zarówno Frontu Północnego, jak i Frontu Środkowego, czy tych walczących w okolicach Warszawy.

Jedynie niemiecka 14. Armia – dodajmy dla skrupulatnych: wraz z dwiema skrajnymi dywizjami 10. Armii na przedpolach Lublina – manewrowała i walczyła. Jej pięć czy sześć korpusów – każdy z nich liczył po dwie dywizje – było rozrzuconych wzdłuż szerokiego na blisko 300 km frontu, biegnącego teoretycznie od Lublina po Karpaty. Teoretycznie, w praktyce bowiem pomiędzy Lwowem i Karpatami działała tylko jedna niemiecka dywizja – drugorzutowa 57. DP (elitarna 3. Dywizja Górską została wycofana na tyły i odjeżdżała nad Ren).

Gdyby generał Sosnkowski, dowodzący trzema dywizjami Armii „Małopolska”, wykonywał rozkazy naczelnego wodza i skierował się na południowy wschód, wówczas samotna niemiecka 57. DP nie stanowiłaby żadnego zagrożenia. Jak pamiętamy, generałowi Sosnkowskiemu zamarzył się jednak biały pióropusz tego, który przyjdzie z odsieczą Lwowowi, i rozkazu marszałka Śmigłego nie wykonał.

Niemcy z 57. DP mieli więc okazję zrujnowania polskich planów obronnych i wtargnięcia na teren Przedmościa Rumuńskiego. Była to jednak okazja czysto iluzoryczna.

Zgodnie z rozkazem naczelnego wodza z 11 września 1939 roku Wojsko Polskie zamierzano skoncentrować w Małopolsce Wschodniej, „by połączenia z Rumunią były utrzymane”. Zwyczajowo obszar ten określa się jako Przedmoście Rumuńskie. Nie był on nigdy dokładnie określony. Za jego zachodnią granicę niektórzy uznają rzekę Stryj. Wyznaczono ją nie dlatego, że Stryj miał większe znaczenie taktyczne niż pozostałe dopływy Dniestru, tylko dlatego, że rzeka ta... stanowiła granicę pomiędzy okręgami korpusów: X (przemyskim) na zachodzie i VI (lwowskim) na wschodzie, i tam ustawiono kordon żandarmerii wyłapujący deztererów, maruderów i cywilów. I właśnie ten kordon na Stryju przekroczyły oddziały rozpoznawcze niemieckiej 57. DP.

Tymczasem w sztabie naczelnego wodza koncepcja Przedmościa Rumuńskiego zmieniała się niemal każdego dnia – w zależności od wiadomości z frontu. W ten sposób wyznaczono niejako trzy jego kręgi. Pierwszy, zewnętrzny, ograniczony linią górnego Dniestru, biegł do Lwowa i dalej zakręcał w stronę Krzemieńca. Drugi – przyjęty w polskiej literaturze jako Przedmoście Rumuńskie, niezgodnie zresztą z definicją tego terminu – biegł rzeką Stryj do Dniestru i dalej na wschód. Wreszcie trzeci, wzdłuż rzeki Prut, był ostatnim

Czy w połowie września losy kampanii były już rozstrzygnięte?

polskim bastionem i stanowił faktyczne przedmoście granicznej rzeki Czeremosz.

„Przedmoście Rumuńskie” było więc bardzo nieprecyzyjnym terminem. Dla dowódców Wojska Polskiego miało dużo mniejsze znaczenie, niż dziś mu się przypisuje. Było jednym z wielu pojawiających się pomysłów, a jego sława wynika z tego, że okazało się ostatnim pomysłem, który pojawił się przed sowieckim najazdem. Po bardzo pesymistycznym 13 września nadszedł bardzo optymistyczny wieczór 16 września, więc być może już 17 września dowództwo zdecydowałoby się na znaczne rozszerzenie bronionego terytorium. Być może obroną objęto by teren znacznie mniejszy. Pole manewru marszałka Śmigłego-Rydza i jego sztabu stało się całkiem duże, tym bardziej że możliwości Niemców stawały się coraz bardziej ograniczone.

Prawda i legenda o walkach pod Tomaszowem Lubelskim

Bitwa pod Tomaszowem Lubelskim stoczona pod koniec września 1939 roku była rozpaczliwą próbą przebicia się resztek Armii „Kraków” na wschód. Próbą nieudaną ze względu na fatalne dowodzenie generała Tadeusza Piskora i nieudolność generała Stefana Dęba-Biernackiego, który spóźnił się z przybyciem na pole walki.

Generał dywizji Tadeusz Piskor, jak wielu innych oficerów, rozpoczął karierę wojskową w Związku Strzeleckim. W Legionach dowodził różnymi batalionami, ale przede wszystkim okazał się zdolnym sztabowcem. W wojnach o niepodległość i granice był oficerem sztabu późniejszego marszałka Śmigłego oraz adiutantem marszałka Piłsudskiego. Po 1920 roku dowodził pułkiem i dywizją, był również przez pięć lat szefem sztabu generalnego. W początku lat 30. został inspektorem armii odpowiedzialnym za północno-wschodnią granicę Rzeczypospolitej.

4 września 1939 roku wódz naczelny powierzył mu dowodzenie Armią „Lublin”. Została ona zaimprovizowana do obrony środkowego biegu Wisły. W jej skład wchodziła

Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa, 39. Dywizja Piechoty oraz mniejsze formacje strzegące przepraw na rzece. Były to siły zbyt małe do obrony rozległego frontu, toteż po czterech dniach starań, 13 września, Wehrmachtowi udało się niewielkimi siłami sforsować Wisłę. Na wschodnim brzegu rzeki Niemcy działali bardzo niemrawo. Pokonanie dystansu 40 km dzielących Wisłę od Lublina zajęło im sześć dni.

Armia „Lublin” odeszła od Wisły, ponieważ wykonała swoje zadanie. Kilka dni oporu uratowało sąsiadów generała Piskora: generał Dąb-Biernacki zdołał zebrać i zreorganizować Front Północny, a generał Szylling wyprowadził z okrążenia Armię „Kraków”. Generał Piskor oddał więc 39. DP Frontowi Północnemu, a sam – już jako dowódca Frontu Środkowego – koordynował współpracę Armii „Lublin” i „Kraków”.

Do nowych działań Front Środkowy przystępował w trzech ugrupowaniach. Dwa stanowiły „krakowskie” grupy operacyjne: „Jagmin” oraz „Boruta”, a trzeci – Armia „Lublin”. Polskie siły były poważne. GO „Jagmin” składała się z dwóch dywizji piechoty: 23. i 55. oraz resztek 21. Dywizji Górskiej. W skład GO „Boruta” wchodziła 6. DP i resztki 22. DGór. Wreszcie siłę Armii „Lublin” stanowiła Warszawska BPanc-Mot oraz „grupa Sandomierz”, czyli dywizja utworzona z tych pułków Armii „Prusy”, które nie brały udziału w jej walkach. W skład wojsk generała Piskora wchodziła również Krakowska Brygada Kawalerii.

Front Środkowy – nie licząc kawalerii, drobnych pododdziałów marszowych, wartowniczych, asystentacyjnych, załadowych – dysponował blisko 50 batalionami piechoty, ponad 100 czołgami oraz ponad 200 działami. Zgodnie z rozkazem naczelnego wodza zadaniem Frontu Środkowego było jak najszybsze przedostanie się na Przedmoście Rumuńskie.

Niestety, najkrótszą drogę zagradzały stojące w Tomaszowie Lubelskim wojska niemieckie. Zapadła zatem decyzja, aby się przebijać. Warto prześledzić, jak realizowano to zadanie na szczeblu taktycznym.

Rankiem 17 września, nie wiedząc jeszcze o sowieckim uderzeniu, polscy generałowie rozważali w Hutkach koło Krasnobrodu sposób realizacji zadania. Polacy mieli ułatwione zadanie, gdyż z przejętego rozkazu znali zamierzenia związków taktycznych niemieckiej 14. Armii: w Tomaszowie Lubelskim stały pododdziały 4. Dywizji Lekkiej, a w Narolu – kombinowany pułk pościgowy z 28. DP. Polacy mieli dużą przewagę, która oddawała inicjatywę w ich ręce. Mieli komfort wyboru czasu i miejsca ataku, a nawet i tego, czy atak jest potrzebny.

Generał Szylling zaproponował marsz przez pola leżące na południe od Tomaszowa Lubelskiego, przez słabo obsadzony Narol. Generał Piskor uważał początkowo, że lepszym rozwiązaniem będzie kontynuowanie odwrotu na wschód. Pozwoliłoby to uniknąć boju oraz kłopotliwego zwalczania niemieckich oddziałów rozpoznawczych operujących na drodze do Lwowa. Ostatecznie zdecydowano się na przebicie sobie drogi przez Tomaszów Lubelski na Lwów. Wyprowadzało to polskie wojska na dobre drogi, które ułatwiłyby dalszy marsz, szczególnie kolumnom zmotoryzowanym. Pozwoliłoby więc na wykorzystanie całości sił Warszawskiej BPanc-Mot i zadanie Niemcom poważnych strat.

W Tomaszowie Lubelskim stała niemiecka 4. Dywizja Lekka, czyli zmechanizowana. Jej dowódcy spodziewali się jednak, że Polacy będą omijać Tomaszów od wschodu, i tam wysłali znaczną część swoich sił. Te, które pozostały w mieście, były unieruchomione brakiem paliwa. Polskie

ugrupowanie miało więc niemal dziesięciokrotną przewagę w piechocie oraz pięciokrotną w artylerii, a nawet niewielką przewagę w broni pancernej. W Narolu stał kombinowany pułk pościgowy z niemieckiej 28. DP, a reszta dywizji powoli nadciągała z południowego zachodu. Za nią szła 8. DP, a z północnego zachodu nadciągały kolejne dwie dywizje – 27. DP oraz 68. DP – ale były one znacznie oddalone i z polską ariergardą styczność miały jedynie ich pododdziały rozpoznawcze.

Bitwa rozpoczęła się rankiem 18 września. Jak wspominał dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej: „natarcie rozwinęło się szybko i łatwo”. Wojska podchodzące pod Tomaszów zostały jednak powitane przez Niemców wiadomościami o najeździe sowieckim, które były nadawane przez gigantofony kompanii propagandowej. Była to pierwsza wiadomość o tym wydarzeniu i odebrała wolę walki zarówno żołnierzom, jak i dowódcom. Polacy zdołali jednak wtargnąć do miasta i zmusić do odwrotu Niemców z 4. DŁek. Wówczas pojawiły się siły główne tej dywizji, zawrócone na zachód na wiadomość o sowieckiej pomocy.

Pod Tomaszów dotarła również niemiecka 2. Dywizja Pancerna, której kilka dni wcześniej postawiono zadanie zdobycia Lwowa. Skoro jednak Lwów miała zająć sojusznicza Armia Czerwona, to w nocy z 17 na 18 września 2. DPanc dostała rozkaz zaprzestania marszu, koncentracji swoich rozrzuconych sił i jak najszybszego zwrotu na północny zachód. Niemieckie wojska opuściły zatem Zamość i Żółkiew, skoncentrowały się i późnym wieczorem 18 września przeszły do kontrataku, który zmusił Polaków do opuszczenia Tomaszowa.

Polscy dowódcy nie mogli zrobić nawet tego, co rozpatrywali przed bitwą, czyli przerwać walki, oderwać się od

nieprzyjaciela i obejść go od wschodu – tam była bowiem Armia Czerwona. Marsz na wschód Polski byłby marszem w kierunku sowieckiej niewoli (i Katynia). Po 17 września taktyczna możliwość walki o Tomaszów stała się koniecznością: była to bowiem jedyna szansa na zrealizowanie rozkazu naczelnego wodza i przebicie się na Węgry. Jedynym rozwiązaniem było ponawianie kolejnych prób czołowych szturmów na Tomaszów, kosztem życia żołnierzy. Tymczasem ich morale słabło z każdą godziną, sowiecki atak sprawiał bowiem, że coraz więcej z nich nie widziało sensu w kontynuowaniu walki.

W ciągu trzech kolejnych dni pod Tomaszów dotarły wszystkie okoliczne niemieckie dywizje, w dodatku ze wschodu zaczęły napływać wysunięte formacje Armii Czerwonej. W tej sytuacji 20 września generał Tadeusz Piskor kapitulował wobec Niemców. 21 i 22 września do niemieckiej niewoli trafiło 30 tys. polskich żołnierzy. Liczba ta nie oznacza bynajmniej liczebności Frontu Środkowego podczas bitwy, tylko pod jej koniec. Różnica jest bardzo istotna. Zgodnie z relacją z 14. Armii w trakcie trwania bitwy – w dniach od 17 do 21 września – pod Tomaszowem Lubelskim do niewoli trafiło 50 tys. polskich żołnierzy – nie z powodu strat bitewnych, ale z powodu załamania się morale i opuszczania szeregów Wojska Polskiego.

Spójrzmy jeszcze na mapę. Odległość pomiędzy Tomaszowem Lubelskim a Lwowem wynosi 90 km, czyli trzy dni marszu. Maszerowały tam – rozciągnięte na blisko 100 km – kolumny niemieckiej 2. DPanc. Gdyby Polakom udało się przebić przez Tomaszów Lubelski, to jej sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia: na północ od niej operował polski Front Północny, na południe – Front Południowy, a na zachód – Front Środkowy. Jednak generał Piskor wcale nie

musiałby atakować. Mógłby pójść na południe, aby połączyć swoje siły z walczącym pod Lwowem generałem Sosnkowskim, obejść to miasto, korzystając z osłony, którą dawał jego garnizon, albo iść na wschód, żeby połączyć się z generałem Dębem-Biernackim.

Gdyby...

Rzekoma ucieczka naczelnego wodza

Polakami dowodził marszałek Rydz – nieudacznik bez większych dokonań, ale za to z olbrzymimi ambicjami. Podczas walk popełnił mnóstwo błędów. 17 września szosą na Zaleszczyki uciekł przed Niemcami do Rumunii. Tchórzliwie opuścił walczące wojska, postępując wbrew tysiącletniej polskiej tradycji.

Przed wszystkim Polakami dowodził nie Edward Rydz albo Rydz-Śmigły, lecz Śmigły-Rydz! Zasady poprawnej polszczyzny nie pozostawiają tu żadnych wątpliwości. Jeśli ktoś posługuje się przydomkiem zaszczytnym – herbowym, honorowym, artystycznym czy nawet zwyczajowym – to stawia się go pomiędzy imieniem a nazwiskiem rodowym. Powiemy więc Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Stefan Grot-Rowecki, Stanisław Cat-Mackiewicz, Piotr Liroy-Marzec. Wydaje się, że od tej zasady jest tylko jeden wyjątek: drugi marszałek Polski powszechnie określany jest jako Edward Rydz-Śmigły.

To nie jest błąd ani niedopatrzenie, ale świadomy chwyt propagandowy, by odebrać mu choć część czci i honoru. Chwyt tak prostacki, jak prostackie są żarty z nazwisk i imion.

Miał sprawić, by postać marszałka kojarzyła się raczej kulinarnie niż bojowo.

Tymczasem naczelnym wódz w kampanii 1939 roku miał przeszłość, której nie sposób nazwać inaczej niż godną i wspaniałą. Urodził się w Brzeżanach w 1886 roku w bardzo ubogiej rodzinie. Wcześnie osierocony przez oboje rodziców potrafił zdać maturę i dostać się na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. W 1908 roku wstąpił do Związku Walki Czynnej, odbył służbę wojskową w armii austriackiej, a w roku 1913 został mianowany komendantem Związku Strzeleckiego we Lwowie. Wówczas zaczął używać pseudonimu „Śmigły”.

W czasie I wojny światowej służył w 1. Brygadzie Legionów, gdzie szybko okazał się najlepszym spośród wojskowych podwładnych Józefa Piłsudskiego. Przez kolejnych 20 lat stał za każdym jego sukcesem. To Śmigły zamienił Polską Organizację Wojskową w narzędzie, które rozbroiło w listopadzie armię austriacką i niemiecką. To Śmigły zorganizował pierwszy republikański rząd Rzeczypospolitej, zwany rządem Daszyńskiego. To Śmigły wyzwolił Wilno, Dyneburg, Kijów. To Śmigły zatrzymał Armię Konną Budionnego. To Śmigły sprowadził dywizje, które przesądziły o polskim zwycięstwie w bitwie warszawskiej, i to on przeprowadził uderzenie nad Niemnem, które zadecydowało o polskiej granicy wschodniej. To wojskom przysłanym przez Śmigłego Józef Piłsudski zawdzięczał zwycięstwo podczas wydarzeń majowych 1926 roku. Był dowódcą, który nie przegrał żadnej bitwy – najlepszym polskim wodzem co najmniej od czasów Jana III Sobieskiego.

Po śmierci Józefa Piłsudskiego w 1935 roku Edward Śmigły-Rydz został jego następcą na stanowisku generalnego inspektora sił zbrojnych, a w listopadzie 1936 roku mianowano go marszałkiem Polski. Szybko stał się jednym z symboli

odrodzonej Rzeczypospolitej. Rząd starał się wykreować go na następcę Józefa Piłsudskiego, opozycja przyjęła tę narrację i rozpoczęła ataki polityczne na jego osobę. Sam Śmigły – choć brał udział w wielu państwowych inicjatywach – zajmował się przede wszystkim obowiązkami wojskowymi. Był zresztą osobą bardzo skromną, skrytą, a przede wszystkim – zapracowaną. Nie prowadził dziennika, nie spisał wspomnień ani relacji.

Po 1939 roku szybko stał się osobą znienawidzoną we wszystkich środowiskach politycznych. Endecja widziała w nim następcę Piłsudskiego. Komuniści widzieli w nim tego, który powstrzymał ich w 1920 roku. Zwolennicy Sikorskiego – premiera polskiego rządu na uchodźstwie – widzieli w nim symbol sanacji. Nawet zwolennicy sanacji i Piłsudskiego widzieli w nim osobę, która zawiodła ich oczekiwania.

Powszechnie obarcza się go odpowiedzialnością za klęskę Wojska Polskiego w 1939 roku. Wynika to jednak ze specyficznego podejścia do podziału tej odpowiedzialności. Wszelkie złe decyzje przypisywane są wodzowi naczelnemu, a wszelkie dobre – wyłącznie jego podwładnym. W kampanii 1939 roku marszałek Edward Śmigły-Rydz dowodził bardzo zdecydowanie, wykazał się determinacją, odpowiedzialnością i odwagą cywilną. Konsekwentnie realizował plan wojny: bitwę graniczną, odwrót na linię wielkich rzek, a następnie w stronę Przedmościa Rumuńskiego.

17 września o świcie Armia Czerwona zaatakowała Polskę. Opór stawiały formacje Korpusu Ochrony Pogranicza – wszystkie pozostałe związki taktyczne Wojska Polskiego walczyły przeciwko Wehrmachtowi. Przygotowania do inwazji Rosjanie rozpoczęli tuż po 23 sierpnia 1939 roku. Plany opracował szef sztabu generalnego Armii Czerwonej komandarm Boris Szaposhnikow. 3 września sowiecki rząd wydał

przygranicznym okręgom wojskowym rozkazy osiągnięcia gotowości bojowej. 6 września zarządzono mobilizację, dwa dni później określono zadania specjalnych grup operacyjnych NKWD, a następnego dnia podjęto decyzję o rozpoczęciu działań wojennych w nocy z 12 na 13 września. Później termin ataku zmieniono na 17 dzień miesiąca.

Zaleszczyki to miasto powiatowe położone na południowo-wschodnim krańcu II Rzeczypospolitej. Słynne z wielu powodów. Tam kończyła się, bądź zaczynała, najdłuższa podróż kolejowa przez Polskę: prawie 1400 km do Gdyni. Tam był polski biegun ciepła i uprawiano najlepsze w Rzeczypospolitej winorośle. W Zaleszczykach mieściły się wspaniałe domy wypoczynkowe, ze względu na klimat porównywalny z austriacko-włoskim Merano czy francuską Riwierą. Wreszcie w 1938 roku otwarto tu most prowadzący do Rumunii, dzięki czemu miasto znalazło się – co pamiętano po roku – w kręgu zainteresowań rządu.

We wrześniu 1939 roku ludność Zaleszczyk potroiła się – przybyło ponad 15 tys. uchodźców, przede wszystkim ludzi dobrze sytuowanych. Na szosie przed miastem parkowały setki samochodów, sprawiających wrażenie porzuconych w popłochu. W Zaleszczykach znaleźli schronienie również wszelkiego rodzaju działacze polityczni oraz ewakuowany z Warszawy korpus dyplomatyczny.

Jednym z tych działaczy był Stanisław Stroński – publicysta związany z ruchem narodowym i człowiek pałający nienawiścią do ludzi o odmiennych poglądach. To on, starając się ukryć prawdziwych autorów zwycięstwa w bitwie warszawskiej 1920 roku, ukuł termin „cud nad Wisłą”. To również on rozpoczął wymierzoną przeciwko Gabrielowi Narutowiczowi kampanię prasową, która zakończyła się morderstwem prezydenta. Stroński napisał też cykl jadowitych artykułów

o ewakuacji polskiego rządu do Rumunii, używając osławionego później określenia „szosa na Zaleszczyki”. Został później wynagrodzony przez Władysława Sikorskiego stanowiskiem wicepremiera. Mało kto zwraca uwagę na to, że „szosa zaleszczycka” to opowieść o ucieczce samego Strońskiego.

Prezydent, rząd i naczelne władze wojskowe przeszli przez granicę w zupełnie innym miejscu – w Kutach nad Czeremoszem, nieopodal Kosowa Huculskiego. Na wiadomość o rosyjskim najeździe prezydent Ignacy Mościcki udał się do Kut, gdzie zwołał posiedzenie Rady Ministrów. Po południu rząd dowiedział się, że sowiecka kolumna zmechanizowana dotarła do Śniatyna, 30 km od Kut. Podjął wówczas decyzję wjazdu do Rumunii, którą zrealizował w nocy z 17 na 18 września.

Czy rząd powinien zostać w Polsce? Kto by na tym zyskał? Odpowiedź jest jedna: zyskaliby z pewnością ci, którzy przejęli po nim władzę. Władysław Sikorski ze swoimi poplecznikami nie musiałby przeprowadzać zamachu stanu, żeby zostać premierem i naczelnym wodzem. Przy okazji Iosif Stalin i jego komunistyczni agenci w Polsce mieliby wspaniały symbol upadku burżuazyjnej Rzeczypospolitej. Symbol niezwykle ważny, bo przecież zgodnie z marksizmem-leninizmem państwo komunistyczne może powstać jedynie na gruzach państwa burżuazyjnego. Niestety – dla nich niestety – Śmigły był na tyle nieuprzejmy, że nie chciał zginąć w kraju. Przez kolejnych kilkadziesiąt lat starali się zatem przekonać polskie społeczeństwo, że zachował się nie fair. Nie fair w stosunku do sikorszczyków i komunistów.

Śmierć Śmigłego byłaby nie tylko bezcelowa, ale i szkodliwa dla Rzeczypospolitej. I w tym momencie moglibyśmy właściwie zakończyć wszelkie rozważania. Kontynuujmy je jednak, aby pokazać manipulacje propagandowe.

Wszystkie regulaminy wojskowe podkreślają, że żołnierz nie może oddać się do niewoli. Jeszcze większą zbrodnią jest dobrowolne pójście na śmierć. „Celem wojny nie jest umrzeć za ojczyznę, ale sprawić, żeby za ojczyznę zginął ten bękart po przeciwnej stronie” – napisał niegdyś generał George S. Patton. Śmigły nie był zresztą „zwykłym” żołnierzem. Był marszałkiem Polski, generalnym inspektorem sił zbrojnych, wodzem naczelnym i następcą prezydenta. Był instytucją, która zapewniała istnienie państwa. Czy ważniejsza była jego ciągłość, czy też śmierć wodza mająca być „symbolem bohaterskiej walki do końca”?

Bohaterski wódz znajdujący śmierć na polu bitwy jest wizją romantyzmu. Romantyzmu jednak bardzo spłyconego i prymitywnego. Wraz z Ordonem wysadzającym w powietrze swoją redutę zginęła przecież „nieprzyjaciół kupa, [która] [...] laźła, jak robactwo na świeżego trupa” (Konstanty Julian Ordon dożył zresztą późnej starości). Bezsensowna śmierć opiewana jest tylko w produkcjach „polskiej szkoły filmowej”; powstałych zresztą właśnie po to, żeby ośmieszyć polską walkę o niepodległość, opór stawiany agresorom i tradycje II Rzeczypospolitej. Śmierć Śmigłego byłaby tak głupia, jak głupia jest scena z *Lotnej* Andrzeja Wajdy, w której polscy kawalerzyści giną, próbując odrąbać szablami lufy ciężkich czołgów Tygrys.

Śmierć Śmigłego byłaby też wbrew polskim tradycjom. Kilkakrotnie następował *finis Poloniae* i za każdym niemal razem przywódcy państwa opuszczali kraj, żeby kontynuować walkę. Tak uczynili przecież Mieszko II, Władysław Łokietek, Jan Kazimierz, August Mocny. Jedynie jurgieltnik Stanisław August Poniatowski za pierwszym razem podpisał targowicę, a za drugim oddał się pod opiekę carycy Katarzynie i zmarł w Petersburgu, otoczony pogardą. Polskę opuścili również

rząd i armia Księstwa Warszawskiego, kontynuując walkę u boku Napoleona, a także rząd i armia Królestwa Polskiego po wojnie polsko-rosyjskiej 1831 roku (zwanej powstaniem listopadowym). Królestwo Polskie opuścił również Józef Piłsudski, gdy okazało się, że rewolucja 1905 roku nie przemieni się w powstanie narodowe. Dlaczego Polski nie miałby opuścić Edward Śmigły-Rydz, aby kontynuować wojnę u boku sojuszników?

Przejście przez granicę państwa neutralnego, aby na czele armii kontynuować walkę – bo przecież Śmigły przeszedł przez granicę Rumunii wraz z wojskiem, po to by kontynuować walkę, a nie żeby odpoczywać – jest postępowaniem naturalnym, pożądanym i bardzo często stosowanym. W książkach i podręcznikach tłumaczących podstawy prawne funkcjonowania polskiego rządu na wychodźstwie podawany jest *casus* Belgów, którzy uczynili tak w 1914 roku, operując z terenów Francji. To półprawda – powinniśmy powoływać się na Serbów z 1915 roku. Ale dlaczego po ten przykład się nie sięga? Bo Serbowie opuścili swój kraj, przeszli przez teren neutralnej Albanii i kontynuowali walkę po dotarciu do Grecji. A wraz ze swoimi żołnierzami opuścił ojczyznę król Serbów Piotr I Karadziordziewić. Czyn ten sprawił, że został uznany za bohatera, który nie ustawał w walce o wolność swojego ludu. Przypominanie tej postaci nie pomaga w nagonce na Śmigłego, więc się jej nie przypomina.

Warto przy tym pamiętać, że uznanie społeczne i wdzięczność historii w czasach II wojny światowej zyskali ci przywódcy, którzy zdecydowali się uciec z kraju podbitego przez wroga. Bohaterem Belgów został premier Hubert Pierlot, który uciekł do Wielkiej Brytanii, a nie król Leopold III, który pozostał ze swoim wojskiem w Belgii. Skrajnym przypadkiem

jest Charles de Gaulle, przywódca Wolnych Francuzów, który zdecydował się na dezercję i ucieczkę z kraju.

I wreszcie, poddanie się dowódcy z reguły oznacza poddanie się dowodzonych przez niego wojsk. Dobrym przykładem są losy generała Jonathana M. Wainwrighta, formalnie dowodzącego wojskami alianckimi na całych Filipinach, faktycznie zaś – niewielkimi siłami na wyspie Corregidor. Gdy generał Wainwright podpisał kapitulację tamtejszej twierdzy, zarówno Japończycy, jak i alianci uznali to za kapitulację całych Filipin. Bez wątpienia podobnie byłoby w przypadku Śmigłego.

Czy mógłby – jak proponowali niektórzy – poczekać na Rosjan, oddać w ich kierunku kilka symbolicznych strzałów i dopiero później przejść przez granicę? Ale czy w takim przypadku granica wciąż byłaby otwarta? W takiej chwili każdy dowódca posterunku granicznego strzela do każdego, kto mógłby naruszyć integralność terytorialną państwa, niezależnie od tego, jaki mundur nosi.

17 września 1939 roku był chyba najcięższym dniem życia Śmigłego. Decyzja, którą podjął, była racjonalna i odpowiedzialna. Nie ma żadnych wątpliwości, że marszałek był odważny. Udowodnił to całym swoim życiem. Miał odwagę nie tylko w obliczu fizycznych niebezpieczeństw – czego dowiódł po wielokroć, zarówno przed 1939 rokiem, jak i później – ale również odwagę cywilną. Nie wahał się podejmować decyzji, czy to rzucając do z góry przegranego boju 100 tys. żołnierzy, czy to opuszczając Polskę. Nie ma bowiem żadnych wątpliwości, że stojąc nad Prutem, wiedział, w jak małosłowny sposób może być oceniana decyzja o opuszczeniu Polski.

Z Sowietami nie walczyć...

Największą zbrodnią Rydza było to, że zamiast wypowiedzieć wojnę Związkowi Sowieckiemu, wydał rozkaz zabraniający walczyć z Rosjanami. Dlatego Rzeczpospolita Polska nigdy nie znalazła się w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim.

Rankiem 17 września w sztabie naczelnego wodza w Kołomyi było dla wszystkich jasne, jakie są cele Rosjan. Nikt się nie łudził, że pomogą w walce z Niemcami. W południe, po rozważeniu wszystkich możliwych opcji, marszałek Śmigły zdecydował o kolejnych krokach: Wojsko Polskie musi opuścić kraj i kontynuować wojnę ze wsparciem sojuszników.

Decyzję naczelnego wodza zakomunikowano wojskom w następujących słowach: „Sowiety wkroczyły. Zarządzam ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z Sowietami nie walczyć, tylko w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia naszych oddziałów. Zadanie dla Warszawy i Modlina, które mają się bronić przed Niemcami, bez zmian. Oddziały, do których podeszły Sowiety, powinny z nimi pertraktować w celu wyjścia z garnizonów do Rumunii lub Węgier”.

Jak widać, nie jest to rozkaz zabraniający walki z Sowietami, a jedynie wyznaczający zadania formacjom Wojska Polskiego. Jeśli zacytuje się pierwszych 15 słów i zakończy cytata na zdaniu „Z sowietami nie walczyć” – niekoniecznie dla manipulacji, ale oszczędności czasu i miejsca – wówczas rzeczywiście można odnieść wrażenie defetyzmu i kapitulantstwa. Słowa Śmigłego brzmią fatalnie, szczególnie gdy tych 15 słów okraśi się komentarzem, że „Rydz powinien wypowiedzieć wojnę Związkowi Radzieckiemu, ale tego nie zrobił”.

Nie zrobił, gdyż marszałek Śmigły nie powinien wypowiadać wojny Związkowi Sowieckiemu. Po pierwsze, zgodnie z prawem międzynarodowym napadnięte państwo nie musi wypowiadać wojny agresorowi. Związek Sowiecki 17 września 1939 roku zaatakował Polskę, a tym samym oba państwa znalazły się w stanie wojny. Dokładnie tak samo jak 1 września Niemcy. I jedni, i drudzy napadli na Polskę bez wypowiedzenia wojny, Rzeczpospolita nie wypowiedziała wojny III Rzeszy i nie musiała tego robić wobec Związku Sowieckiego.

Po drugie, Edward Śmigły-Rydz był wodzem naczelnym. Prowadzenie polityki zagranicznej nie należało do jego kompetencji. O niej decydował naród poprzez swoich przedstawicieli w parlamencie czy też prezydenta. Wojny nie mogli wypowiedzieć również minister spraw zagranicznych ani prezes Rady Ministrów, którzy – tak samo jak Śmigły – byli jedynie urzędnikami państwowymi. Jakakolwiek próba przejęcia inicjatywy z ich strony byłaby formalnym pogwałceniem konstytucji i zamachem stanu.

Rzeczpospolita nie musiała wypowiadać wojny żadnemu agresorowi, prezydent Ignacy Mościcki wygłosił jednak dwa orędzia. W pierwszym z nich, 1 września 1939 roku, powiedział: „Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął

działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i Historii”. W drugim, 17 września, stwierdził: „Gdy armia nasza z bezprzykładnym męstwem zмага się z przemocą wroga od pierwszego dnia wojny aż po dzień dzisiejszy, wytrzymując napór ogromnej przewagi całości bez mała niemieckich sił zbrojnych, nasz sąsiad wschodni najechał nasze ziemie, gwałcąc obowiązujące umowy i odwieczne zasady moralności”.

W pierwszym orędziu ani razu nie padło słowo „wojna”, nikt jednak nie ma wątpliwości, że wojna wybuchła. Dopiero w następnym słowo to się pojawiło: „Z przejściowego potopu uchronić musimy uosobienie Rzeczypospolitej i źródło konstytucyjnej władzy. Dlatego, choć z ciężkim sercem, postanowiłem przenieść siedzibę Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelných Organów Państwa na terytorium jednego z naszych sojuszników. Stamtąd, w warunkach zapewniających im pełną suwerenność, stać oni będą na straży interesów Rzeczypospolitej i nadal prowadzić wojnę wraz z naszymi sprzymierzeńcami”.

Stan wojny pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Związkiem Sowieckim był po 17 września 1939 roku oczywisty – także dla naszych aliantów. Gdy na przełomie 1939 i 1940 roku Francuzi i Brytyjczycy szykowali się do zbrojnego uderzenia na Rosję, Wojsko Polskie miało bardzo ważną rolę. Brytyjskie okręty wojenne u wybrzeży Norwegii i Finlandii miały działać pod polską banderą. Francuzi zorganizowali Samodzielną Brygadę Strzelców Podhalańskich do walki w Finlandii i na północy Rosji oraz Samodzielną Brygadę Strzelców Karpacczych do walki na Kaukazie i na południu Rosji. Oczywiście zmiana rządu i przejęcie władzy przez generała Sikorskiego doprowadziły do pewnych komplikacji, ale nie miały one istotnego znaczenia.

Zamieszanie wprowadziły dopiero próby unormowania stosunków polsko-sowieckich. Pierwszą z nich był układ Sikorski–Majski, podpisany 30 lipca 1941 roku w nadziei, że oba państwa będą prowadziły wspólną wojnę przeciwko Niemcom. Po ujawnieniu zbrodni katyńskiej Moskwa zerwała jednak stosunki z rządem polskim i postanowiła utworzyć marionetkowy rząd złożony z komunistów. Z oczywistych przyczyn również następcy tego rządu – zawdzięczający swoją pozycję w Polsce sowieckiej agresji z 17 września – negowali stan wojny pomiędzy II RP a ZSRS. Było to zgodne z propagandą Moskwy, która głosiła, że państwo polskie przestało istnieć, a Armia Czerwona wkroczyła, by zapewnić bezpieczeństwo Białorusinom i Ukraińcom.

Niektórzy z obserwatorów polskiej sceny politycznej uważają nawet, że taką wymowę miała również mała konstytucja uchwalona w 1992 roku. Za fundament nowej Polski uznawała ona bowiem dziedzictwo PRL i jej konstytucję, nie udzielając odpowiedzi na pytanie, co się stało z dziedzictwem II Rzeczypospolitej oraz kiedy – i dlaczego – konstytucja kwietniowa przestała obowiązywać w Polsce.

Dość dokładnie natomiast możemy określić, kiedy zakończył się stan wojny Polski z Niemcami. „Dość dokładnie”, ponieważ nie podpisano traktatu pokojowego pomiędzy oboma państwami. W 1945 roku na konferencji poczdamskiej, mającej uregulować stosunki europejskie, ustalono bowiem, że Polska musi porozumieć się z rządem zjednoczonych Niemiec. Niemcy zjednoczyły się 3 października 1990 roku. „Traktat między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o potwierdzeniu istniejącej między nimi granicy” podpisano w Warszawie 14 listopada 1990 roku.

„Rozpoczynając wojnę, rozumiałem dobrze, że będzie ona z konieczności przegrana na froncie polskim, który uważałem

za jeden z odcinków wielkiego frontu antyniemieckiego. Zaczynając w niebywałych warunkach walkę, czułem się też jak dowódca odcinka, który ma być poświęcony, aby dać czas i możliwość organizacji i przygotowania innych”.

Tak brzmią pierwsze słowa relacji marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza spisanej w Dragoslavele 24 grudnia 1939 roku. Natomiast jego ostatni rozkaz, wydany 20 września 1939 w Craiovej, zaczyna się następująco:

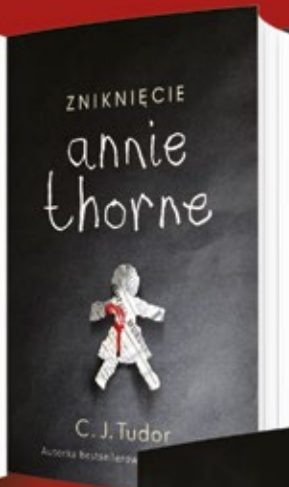
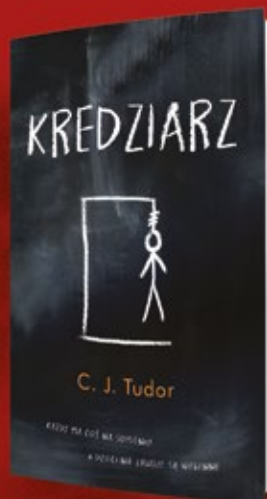
„Żołnierze! Najazd bolszewicki na Polskę nastąpił w czasie wykonywania przez nasze wojska manewru, którego celem było skoncentrowanie się w południowo-wschodniej części Polski tak, by mając do otrzymywania zaopatrzenia i materiału wojennego komunikację i łączność przez Rumunię z Francją i Anglią, móc dalej prowadzić wojnę.

Najazd bolszewicki uniemożliwił wykonanie tego planu”.

SPIIS TREŚCI

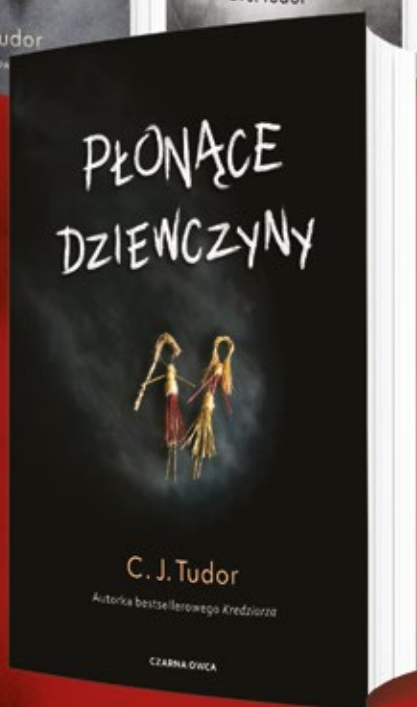
Wstęp	5
1. Agresor był tylko jeden	13
2. Agresor był jeden, może dwóch	19
3. Czy „kampanię wrześniową” naprawdę wygrała III Rzesza?	25
4. Czy wszystko skończyło się 6 października?	31
5. Czy sanacja była faszystowska?	37
6. Alianci poświęcili Polskę dla swoich interesów?	45
7. Umierać za Gdańsk	53
8. Niemiecka „przestrzeń życiowa”	59
9. Czy sojusz polsko-niemiecki był rozważany przez władze Rzeczypospolitej?	65
10. Sojusz z Niemcami byłby korzystny dla Polski?	67
11. Legenda Wehrmachtu	75
12. Czy Wojsko Polskie było zacofane?	83
13. Mit silnej i niepokonanej Armii Czerwonej	89
14. Polskie plany wojny z Niemcami	95
15. Czy Polacy naprawdę nie wiedzieli o tajnym protokole paktu Ribbentrop–Mołotow?	101
16. Wojna rozpoczęła się atakiem na Wieluń	105
17. Niemiecki atak był zaskoczeniem?	113
18. Podwójny mit Westerplatte	121
19. Niezasłużona sława admirała Unruga	129
20. Z szablą na czołgi	141

21. Czy generał Bortnowski był winny klęskom na Pomorzu i nad Bzurą?	147
22. Fałszywa legenda generała Kutrzeby	155
23. Generałowie Rómmel i Thommée	161
24. Czy rzeczywiście geniusz generała Szyllinga uratował Armię „Kraków”?	167
25. Czy generał Fabrycy zmarnował Armię „Karpaty”, a Sosnkowski ją uratował?	175
26. Czy niewłaściwa struktura dowodzenia doprowadziła do katastrofy na Mazowszu?	183
27. Czarna sława generała Dęba-Biernackiego	191
28. Czy generałowie rzeczywiście byli niewykształceni i nieskuteczni?	205
29. Czy wszyscy niemieccy dowódcy byli profesjonalistami?	215
30. Czy Francuzi z premedytacją zdradzili Polaków? ...	223
31. Czy Brytyjczycy faktycznie bombardowali III Rzeszę wyłącznie ulotkami?	235
32. Czy w połowie września losy kampanii były już rozstrzygnięte?	243
33. Prawda i legenda o walkach pod Tomaszowem Lubelskim	251
34. Rzekoma ucieczka naczelnego wodza	257
Epilog: Z Sowietami nie walczyć... ..	265



C.J. Tudor

PONOWNIE UDOWADNIA,
ŻE JEST JEDNĄ
Z NAJLEPSZYCH AUTOREK
THRILLERÓW KRYMINALNYCH



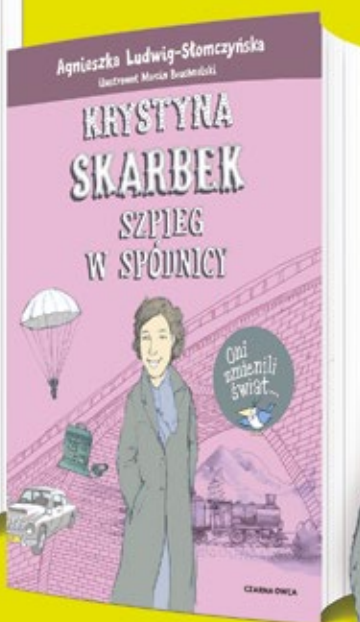
30 lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl



NIETUZINKOWE CHARAKTERY! ARCYTRUDNE PROJEKTY! NIEZWYKŁE POMYSŁY! PONADPRZECIĘTNA ODWAGA!



W przygotowaniu kolejni bohaterowie serii

ONI ZMIENILI ŚWIAT:

– **ERNEST MALINOWSKI**

– konstruktor i budowniczy Centralnej Kolei Transandyjskiej

– **SIMONA KOSSAK**

– ekolożka zafascynowana światem roślin i zwierząt Puszczy Białowieskiej

30
lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl

**KATASTROFA
KLIMATYCZNA**

**CZY MOŻEMY
JĄ JESZCZE
ZATRZYMAĆ?**



30^{lat}
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl

FINAŁOWA ODSŁONA

**PRZEŁOMOWEJ SZPIEGOWSKIEJ TRYLOGII
Z ELEMENTAMI THRILLERA POLITYCZNEGO**



30
lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

KUP W NASZEJ KSIĘGARNI

inverso.pl